NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

ALEX KAVA

PŁOMIENIE ŚMIERCI

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Alex Kava

PŁOMIENIE ŚMIERCI

Dla Miss Molly
(czerwiec 1996 – maj 2011).
Byłaś ze mną od początku,
U moich stóp albo obok mnie.
Tęsknię za tobą, psino.

CZWARTEK

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Waszyngton DC

Cornell Stamoran próbował nadłamanym paznokciem rozerwać foliowe zabezpieczenie zakrętki Jacka Danielsa. Spojrzał na butelkę i z trudem przełknął ślinę. Gardło miał suche. Oblizał spierzchnięte wargi. Tak, ten widok łatwo budził mimowolne reakcje.

Kiedy był wspólnikiem w jednym z najbardziej znanych biur rachunkowych w stolicy, pijał Jacka z colą. Stopniowo zmniejszał ilość coli, aż w ogóle się jej pozbył, na długo zanim nabrał zwyczaju trzymać butelkę whisky w dolnej szufladzie biurka. Wtedy nie patrzył już nawet, czy to Jack, Jim czy Johnnie.

Zapewne nie był pierwszym księgowym, który strzela sobie porannego drinka w zaciszu gabinetu, ale nie znał innego, który zamienił gabinet i biurko na upragniony pusty karton, na którym z boku widniało logo Maytag.

Przez pierwszy tydzień bezdomności Cornell sypiał za pomnikiem na Wzgórzu Kapitolińskim. Pieprzona ironia losu – wcześniej jeździł w tej okolicy na tylnym siedzeniu limuzyn klientów. Zabawne, jak szybko życie zamienia się w gówno i nagle człowiek docenia kartonowe pudło i ciepły koc.

Zwykle, gdy musiał wybrać się do centrum, Cornell chował pudło między gigantyczny pojemnik na śmieci i brudną ceglaną ścianę. Tam, na obrzeżach dzielnicy

magazynów, panował spokój. Nikt człowiekowi nie zawracał głowy. Chociaż czasami można było zwariować z nudów. Co najmniej raz w tygodniu robił wycieczkę do centrum. Zbierał świeżutkie pety, trochę żebrał. Czasami siadywał w bibliotece i zagłębiał się w lekturze. Nie mógł wypożyczać książek. Gdzie by je trzymał, do diabła? A gdyby nie zwrócił ich w porę? W nowym życiu nie chciał mieć cienia zobowiązań ani ponosić krzty odpowiedzialności. Właśnie przez te pułapki wylądował na ulicy.

A zatem raz w tygodniu zostawiał cenną własność – pudło i dwa koce, które ktoś przez pomyłkę wyrzucił do śmietnika. Do brudnego czerwonego plecaka chował kilka wartościowych drobiazgów i nosił ze sobą przez cały dzień. Jeśli nie miał ochoty iść na piechotę ponad jedenaście kilometrów, musiał wcześnie wstać i złapać autobus dla bezdomnych. Tak właśnie zrobił tego ranka. Niestety nie zdążył na ostatni wieczorny powrotny autobus. Od dawna już nie zwracał uwagi na to, która jest godzina. Czas przestał dla niego istnieć.

Jakie to ma znaczenie? Przecież nikt na niego nie czeka, z nikim się nie umawia. Do diabła, nie nosił nawet zegarka. Złocony Rolex był jedną z pierwszych rzeczy, które oddał w zastaw. Tego dnia jednak szczęście mu dopisało. Dokładnie mówiąc, wpadł na nie niespodziewanie, kiedy czarna limuzyna omal go nie potrąciła.

Samochód podjechał po jakąś laskę i jej faceta, obydwoje byli odstawieni, pewnie wybierali się do Kennedy Center

albo na koktajl. Kobieta zaczęła przepraszać Cornella, szturchając łokciem towarzysza, aż sięgnął po portfel. Cornell, zamiast patrzeć na portfel, zastanawiał się, jakim cudem wszystkie młode laski kończą u boku starych zgredów.

Nieważne. Przecież doskonale wiedział, jak to się dzieje.

Parę lat temu mógłby konkurować z tym dupkiem. Teraz był godnym litości włóczęgą. Choć przekonywał się w duchu, że kobieta dostrzegła cień jego nieodpartego czaru. Z takim wdziękiem podniósł się z chodnika, wciśnięty między krawężnik i zderzak. Szczęście, że się nie posikał. Jeszcze czuł gorąco silnika.

Ta kobieta – było na czym oko zawiesić. Nawiązał z nią kontakt wzrokowy. Tak, naprawdę popatrzyła mu w oczy. Potem znacząco, choć dyskretnie, się uśmiechnęła. Gdy Cornell oblizał wargi, kiedy jej facet odwrócił wzrok, lekko się zaczerwieniła. Gość pochylił łysą głowę i grzebał w portfelu. Pewnie drania ogarnął gorzki żal, że nie ma banknotów o mniejszych nominałach niż pięćdziesiąt dolców.

Ten uśmiech, ten rumieniec krzyczały do Cornella, że w innym miejscu, innym czasie ona chętnie dałaby mu więcej, niż proponował jej gach. Tak sobie w każdym razie wyobrażał. Świadomość ich sekretnej transakcji dodała mu otuchy, odbudowała drobną część tego, co stracił, a za czym nie tęsknił do chwili, gdy ta olśniewająca kobieta przypomniała, że kiedyś był kimś innym. Że teraz jest niewiele więcej wart od śmiecia, który można kopnąć na

bok. Jakaś jego część znienawidziła ją za to, ale docenił cholerne pięćdziesiąt dolców.

Od miesiąca nie widział tyle kasy. Jakby chciał tej lasce i sobie udowodnić, że pod warstwą brudu i potu wciąż jest tamtym facetem, czarującym, inteligentnym, zabawnym, Cornell wszedł do baru na rogu. Usiadł przy ladzie, zamówił zupę i grillowany ser. Kiedy płacił rachunek, poprosił o resztę w jednodolarowych banknotach. Kelnerka dokładnie obejrzała banknot, mrużąc oczy, a potem z równą uwagą przyjrzała się jego twarzy.

Tylko się uśmiechnął, gdy w końcu wydała mu resztę. Schował pieniądze do bocznej kieszeni wytartych bojówek, zadowolony, że guzik wciąż się trzyma i kasa jest bezpieczna.

Kiedy podano mu jedzenie – parującą zupę i roztopiony ser na białej porcelanie – siedział jak sparaliżowany i patrzył. Od dawna nie widział nic tak pięknego. Na talerzu znajdowała się paczka małych krakersów i plasterek korniszona, sztućce były owinięte czystą białą serwetką. Płócienną serwetką. Takie to wszystko wydało mu się obce, że przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, jak się posługiwać prawdziwymi, a nie plastikowymi sztućcami, jakie dają w darmowej garkuchni.

Nie rozglądał się. Słyszał szczęk naczyń i gwar głosów, szum kuchennych sprzętów i skrzypienie krzeseł na linoleum. Bar był pełen klientów, Cornell czuł na sobie baczny wzrok.

Ułożył sztućce na blacie, jeden obok drugiego, i położył serwetkę na kolanach. Ignorował cudze spojrzenia, udając, że smród nie pochodzi od niego. Starał się dbać o czystość na tyle, na ile było to możliwe, raz w miesiącu chadzał nawet do samoobsługowej pralni, ale prysznic stanowił już wyzwanie.

W końcu Cornell sięgnął po łyżkę do zupy, nie rozglądając się, żeby sprawdzić, co dalej. Pozwolił, by jego palce sobie to przypomniały. Boleśnie świadomy każdego ruchu, starał się niczego nie rozlać, nie plasnąć, nie siorbnąć, jadł bardzo powoli.

Teraz, gdy pokonywał długą drogę powrotną do kartonowego domu, ostrożnie pociągał z nowiutkiej butelki. Jedzenie, choć wyśmienite, rozstroiło mu żołądek. Whisky pomoże. Zawsze pomagała, niczym lekarstwo, które natychmiast pozbawiało go niemal wszelkich przykrych dolegliwości i wspomnień. Tego wieczoru alkohol nadał długiemu spacerowi szybszego tempa i uchronił Cornella przed chłodem zbliżającej się nocy.

Ledwie skręcił w alejkę, zauważył, że coś jest nie tak. Powietrze pachniało inaczej. Czymś zjełczałym, ale nie śmieciami, które leżą cały dzień w śmietniku. Czuł też woń spalenizny.

Nie, raczej dymu.

Zmarszczył nos. W pobliżu nie było restauracji. Ceglany budynek, przy którym urządził sobie kryjówkę, stał pusty. Panowała tam cisza. Tego tylko szukał. Pojemnik na śmieci zwykle nie śmierdział i nie był przeładowany. Zwrócił na to

uwagę, gdy postanowił tam zamieszkać, między ścianą budynku i wielkim kontenerem.

W tym momencie Cornell zdał sobie sprawę, że jego pudło zniknęło. Pomimo że je chował, fragment klapy zawsze wystawał, choćby nie wiem jak się starał. Atak paniki ścisnął mu żołądek. Objął mocniej butelkę i przyspieszył kroku. Nie wypił jeszcze wiele, ale w głowie mu się zakręciło i lekko się zatoczył. Jedyne dwa koce, jakie miał, wraz z rozmaitością ukrytych w fałdach różnych skarbów, których nie chciał nosić w plecaku, znajdowały się w pudle.

Z każdym krokiem zapach nabierał mocy. Było to coś kwaśnego i metalicznego, ale wonią przypominało także benzynę do zapalniczek. Czyżby ktoś rozpalił ognisko, by się ogrzać?

Pożałują, jeśli okaże się, że palą jego pudło!

Wtedy ujrzał klapę kartonu i oblał się zimnym potem. Poczuł wielką ulgę. Pudło było na miejscu. Po prostu zostało wepchnięte nieco dalej za pojemnik na śmieci. Okazało się jednak, że nie jest puste.

Kurwa mać!

Nie wierzył własnym oczom. Jakiś gnojek leżał sobie rozwalony w jego domu, tylko nogi mu wystawały. Wyglądałby jak kupa starych szmat, gdyby nie te nogi.

Cornell pociągnął spory łyk Jacka Danielsa. Porządnie zakręcił butelkę i ostrożnie postawił przy ceglanej ścianie. Podwinął rękawy do łokci i ruszył, tupiąc z wściekłością.

Nikt mu nie zabierze pieprzonego domu.

– Hej, ty! – wrzasnął, chwytając intruza za kostki. – Wynocha stąd!

Pociągnął za nogi, czerpiąc siłę ze złości. Ze zdumieniem stwierdził jednak, że nie wymaga to wysiłku. Nie napotkał też na żaden opór. Odciągnął gnojka od pojemnika na śmieci. Porośnięta splątanymi włosami głowa sunęła po brudnym chodniku. Zanim puścił nogi nieproszonego gościa, prawie nim rzucił.

W tym momencie zrozumiał, dlaczego drań się nie opierał.

W ustach poczuł smak żółci. Cofnął się gwałtownie, aż się potknął. Złapał równowagę, spróbował odetchnąć głęboko i zwymiotował.

Ten ktoś miał zmasakrowaną twarz, a właściwie jej nie miał. W miejscu oczu i ust widniały dziury z postrzępionymi brzegami. Do pulpy zmiażdżonych kości i porwanej skóry kleiły się zmierzwione włosy.

Cornell padł na kolana, zwrócił zupę i grillowany ser, które z whisky utworzyły cuchnącą mieszankę. Usiłował się podnieść, ale nogi odmówiły posłuszeństwa i wylądował znów na chodniku w kałuży wymiocin. Oczy go piekły, widział jak przez mgłę, jednak nie mógł oderwać wzroku od tej makabry.

W panice nie zauważył wypełniającego z wolna wąskie przejście dymu. Próbował się wytrzeć i wtedy dopiero zobaczył, że wpadł nie tylko w wymiociny. Na ziemi rozlewała się połyskująca plama, jakby komuś wyciekł jakiś płyn w drodze do śmietnika.

Wówczas zrozumiał, że to, co ma na kolanach i rękach, to benzyna. Podniósł wzrok i ujrzał mężczyznę, który wylewał benzynę ze stalowego kanistra. Cornell poderwał się na nogi. Mężczyzna go spostrzegł. Nie spanikował ani nie wpadł w złość, lecz zrobił coś zaskakującego: uśmiechnął się i zapalił zapałkę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Newburgh Heights, Wirginia

Maggie O’Dell usiłowała przebić wzrokiem gęstą mgłę, miała zawroty głowy. Nim zapadła czarna jak smoła ciemność, błyskało światło – białe i ostre jak laser i niebieskie jak płomień z palnika w kuchence. W lewej skroni czuła rytmiczne pulsowanie. Z ciemności dobiegały ciche zbolałe jęki. Aż się wzdrygała, ale nie mogła się ruszyć. Ciężkie ręce odmówiły posłuszeństwa. Nogi zdrętwiały. Wpadła w panikę.

Dlaczego nie czuje nóg?

Przypomniała sobie piekący ból przeszywający ciało, kiedy została rażona prądem.

Ogarnęła ją jeszcze większa panika. Serce zaczęło walić. Oddech przyspieszył.

Rozległ się huk. Maggie miała wrażenie, że skóra jej głowy płonie.

Wtedy poczuła niepokojący zapach. Nie kordytu, tylko dymu. Coś naprawdę płonęło. Czuła swąd palących się włosów. Spalonego ciała. Dym i popioły. Słyszała szelest marszczącej się pod wpływem temperatury plastikowej folii. Nagle w pogrążonym w półmroku pokoju Maggie ujrzała ojca w wyłożonej satyną trumnie, leżał spokojnie i cicho, podczas gdy płomienie za trumną lizały ścianę.

Ten sen przychodził do niej wiele razy. Mimo to dziwiła się, że znów widzi ojca, tak blisko, że wystarczyło zerknąć za skraj koronki, by zobaczyć jego twarz.

– Źle ci zrobili przedziałek, tatusiu. – Maggie uniosła rękę. Cieszyła się, że wreszcie może nią poruszyć.

Zaczesała włosy zmarłego jak należy. Nie bała się płomieni. Całą uwagę skupiła na swoich palcach. Prawie dotknęła twarzy ojca, kiedy zamrugał powiekami i otworzył oczy.

W tym momencie gwałtownie odskoczyła.

Błyski światła, zabarwione na niebiesko, pochodziły z ekranu telewizora, w którym wyłączyła głos. Powieki Maggie drgnęły, wciąż ciężkie; podjęła rozpaczliwą próbę, by je podnieść. Usiadła prosto i poczuła pod dłonią gładką powierzchnię skórzanej sofy. W głowie nadal się kręciło, serce waliło, rozglądała się, szukając cieni, spodziewała się, że w kątach pokoju ujrzy tych, którzy w jej śnie głośno jęczeli.

Nikogo tam nie było.

Nikogo poza Deborah Kerr, która wypełniała ekran telewizora. Jej twarz wyrażała panikę równą panice Maggie. Aktorka biegła plażą w samym środku burzy. Gdzieś tam znajdował się ranny Robert Mitchum.

Widziała ten film wiele razy, a mimo to za każdym razem odczuwała strach głównej bohaterki. „Bóg jeden wie, panie Allison” należał do ulubionych filmów Maggie. Niedawno broniła go w dyskusji z przyjacielem Benjaminem Plattem podczas jednego z ich filmowych maratonów poświęconych

klasyce filmu. Właśnie dlatego znów po niego sięgnęła. Ale tego wieczoru była sama. Tylko ona i Deborah.

Maggie oparła się o miękką skórzaną sofę i pomasowała lewą skroń. Pot przykleił jej włosy do czoła. Serce powoli wracało do normalnego rytmu, ale znajome pulsowanie trwało. Pod palcami wyczuła ściągniętą skórę. Blizna już nie bolała, nawet przy naciskaniu. Pulsujący ból nie ustawał. Ukłucia w lewej skroni zapowiadały koszmarną migrenę, która przez długi czas będzie ściskać głowę w kleszczowym uchwycie i omal nie doprowadzi Maggie do szału.

Nawet sen – który przychodził rzadko i często w krótkich seriach – niewiele pomagał. Nie miała pojęcia, czy bezsenność jest skutkiem nocnych koszmarów, czy też groźba koszmarów nie pozwala jej zasnąć. Wiedziała jedynie, że ilekroć zasypia, choćby na krótko, towarzyszą mu wspomnienia ujęte w filmowe kadry – powtarzające się w kółko specjalnie zmontowane odcinki filmu grozy. Najnowszy zawierał zdjęcia sprzed czterech miesięcy: dwaj chłopcy zaatakowani w ciemnym lesie, porażeni prądem. To ich przerażone i zbolałe jęki słyszała we śnie.

Znów wymacała bliznę pod włosami. To tylko kolejna blizna, powtarzała sobie, szkoda jednak, że nie może o niej zapomnieć. Gdyby nie nawracające bóle, nie myślałaby o niej przynajmniej przez dzień czy dwa.

W październiku minionego roku została postrzelona. Dokładnie mówiąc, kula drasnęła skroń. Może oczekuje zbyt wiele, chcąc tak szybko wrócić do normalnego życia.

Pragnęła, by wszyscy wokół niej o tym zapomnieli. Dlatego nikomu nie mówiła o bólach głowy.

Jej szef, zastępca dyrektora Raymond Kunze, już i tak uważał, że „naraziła na szwank swoją reputację”, „zmieniła się” i jest „czasowo niezdolna do pracy”. Uparcie nakłaniał ją do poddania się badaniom psychologicznym. Dotąd zdołała ich uniknąć, czy raczej odsunąć je w czasie. Zyskała tylko tyle, że czuł się odpowiedzialny, bo to on wysłał ją na ten objazd, podczas którego mało nie straciła życia. Oczywiście nie przyznał głośno, że czuje się odpowiedzialny. Zamiast tego odpuścił jej badania, twierdząc, że ma słabość do świąt. Zabawne, bo kiedy Maggie pomyślała o Kunzem i Bożym Narodzeniu, od razu do głowy przychodził jej złośliwy Grinch, który skradł święta. Teraz, już dawno po świętach, spodziewała się, że szef znów zacznie nalegać na badanie.

Deborah znalazła Roberta Mitchuma, a Maggie zdała sobie sprawę, że wciąż czuje woń spalenizny. Czy dym nie stanowił elementu jej snu? Czyżby w domu coś się paliło?

W ciemnym rogu ekranu telewizora dostrzegła jakiś ruch. Nie płomienie, ale cień ruchu, który nie należał do filmu. Jakieś odbicie. Zarys postaci. Mężczyznę przechodzącego w pokoju za jej plecami.

Ktoś był w domu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Psy zniknęły.

Powinna wcześniej to zauważyć. Zawsze leżały u jej stóp.

Niespokojnie rozejrzała się po pogrążonym w półmroku salonie. Wciąż siedziała na sofie. Lepiej, by się nie zorientował, że go dostrzegła. Mógł jej nie zauważyć, w końcu był w kuchni.

Wciąż zerkała na róg ekranu telewizora. Jeśli mężczyzna zechce podejść ją od tyłu, zobaczy go.

Czy aby na pewno?

Film toczył się swoim rytmem, odbicie w rogu ekranu się zmieniało.

Usiłowała sobie przypomnieć, gdzie ma broń. Wierny służbowy smith and wesson znajdował się na górze w sypialni. W holu, w dolnej szufladzie komody leżał sig sauer. W domu nigdy nie czuła potrzeby korzystania z broni. Gdy tylko wprowadziła się do tego piętrowego budynku w stylu Tudorów, zainstalowała najnowocześniejszy system alarmowy. Zadbała o to, by od zewnątrz chroniły ją naturalne i sztuczne bariery. Nie wspominając o dwóch nadopiekuńczych psach, które nie wpuściłyby do środka obcego. Po raz pierwszy Maggie zrobiło się niedobrze ze strachu.

Gdzie Harvey i Jake?

Nie mogła nawet myśleć o tym, że któryś z nich został ranny albo nie żyje.

Z kuchni dobiegł cichy dźwięk i nagle zrobiło się tam jaśniej. Intruz otworzył lodówkę.

Maggie skuliła się na sofie.

Czekała. Nasłuchiwała.

Potem spuściła nogi na podłogę, żałując, że nie ma wykładziny ani dywanu, które wytłumiłyby kroki. Ale właśnie dlatego ich nie miała. Nie dlatego, że lubiła piękne drewniane podłogi, ale z tego powodu, że dywany i wykładziny zagłuszają kroki. Dzięki Bogu była w skarpetkach.

Nie spuszczała wzroku z rogu ekranu telewizora, patrząc teraz pod innym kątem, widziała co innego. Dostrzegła przygarbioną postać. Mężczyzna zaglądał do lodówki. Chwyciła ze stolika szklany przycisk do papieru. Cicho ruszyła do drzwi, trzymając się ściany, żeby nie rzucać cienia.

Coś ty zrobił z moimi psami, draniu?

Wściekła podeszła bliżej.

Poczuła jego zapach. Śmierdział dymem i spalonym drewnem. Wcale jej się nie zdawało.

Sięgnął ręką w głąb lodówki, nieświadomy jej obecności, bezbronny. Ścisnęła mocno przycisk do papieru i uniosła rękę, gotowa uderzyć w głowę intruza. Wzięła głęboki oddech i rzuciła się naprzód. Mężczyzna, przestraszony, odwrócił się gwałtownie. Ręka Maggie znieruchomiała w połowie drogi.

– Cholera jasna, Patrick. Mało nie umarłam ze strachu.

– To jest nas dwoje.

– Mogłam rozwalić ci głowę.

Brat Maggie przykucnął, ledwie trzymał się na nogach. Przysiadł na piętach. W świetle lodówki dojrzała na jego czole plamę sadzy. Zaciskał palce na uchwycie drzwi.

– Nie chciałem cię budzić – oznajmił, z trudem się podnosząc. Był strażakiem, młodym mężczyzną, w świetnej formie, a jednak siostra zdołała wprawić go w śmiertelne przerażenie.

– Spodziewałam się ciebie dopiero pod koniec tygodnia.

– Skończyliśmy wcześniej. Powinienem był zadzwonić. – Dodał z uśmiechem: – Przepraszam. Nie przywykłem do tego, że muszę do kogoś dzwonić.

Maggie z kolei nie przywykła do obecności innych w swoim domu.

Wciąż się poznawali. Zaprosiła przyrodniego brata, by z nią zamieszkał, kiedy w grudniu skończył studia na Uniwersytecie stanu New Haven. Z dyplomem z pożarnictwa w kieszeni nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zacznie pracować, i zatrudnił się jako strażak w prywatnej firmie. Pracodawca podpisał kontrakty w trzynastu stanach, zatem większość czasu chłopak spędzał poza domem, a dom siostry stał się dla niego bazą między wyjazdami.

Dopiero w ostatnich latach dowiedzieli się o swoim istnieniu. Matka Maggie przez ponad dwadzieścia lat ukrywała przed nią zdradę ojca. Matka Patricka powiedziała mu jedynie, że jego ojciec zginął bohaterską śmiercią. Ani słowem nie wspomniała, że ma przyrodnią

siostrę. Po tragicznej śmierci mężczyzny, którego obie kochały, kiedy zostały same z dziećmi, kobiety umówiły się na to milczenie.

Teraz dwoje pozbawionych ojca, już dorosłych dzieci uczyło się, jak być rodzeństwem.

– Mogę zjeść kawałek pizzy? – Wskazał na pudełko, po które sięgał na górną półkę lodówki.

– Jasne.

Maggie wiedziała, że nie będzie łatwo. Bardzo sobie ceniła prywatność. Prawdę mówiąc, lubiła mieszkać sama i lubiła – nie, to było coś więcej – pragnęła samotności. Niemal zaraz po tym, jak Patrick się pojawił, zaczęła się między nimi walka. Nie miała nic wspólnego z typową dla rodzeństwa rywalizacją czy nawet walką o terytorium, o pieniądze czy brudne skarpety w nieodpowiednich miejscach. Gdyby tylko było to takie proste!

Nie, Maggie nie akceptowała nowego szefa Patricka. Co gorsze, kwestionowała etykę mającej siedzibę w Wirginii korporacji i nie rozumiała, dlaczego brat nie podziela jej opinii.

Agencja Ochrony Braxtona sprzedawała ekskluzywne, kosztowne polisy ubezpieczeniowe – cadillaki w dziedzinie polis – oferując ochronę elicie właścicieli domów, których było na to stać. Ta specjalna ochrona oznaczała między innymi, że firma zatrudniała prywatną straż pożarną na wypadek, gdyby zaszła taka potrzeba. Innymi słowy, Patrick zdecydował się być kimś w rodzaju najemnika. Tak jak

rewolwerowiec do wynajęcia. Tyle że zamiast rewolwerem operował strażackim wężem.

Maggie nie pojmowała własnego zachowania – właściwie dlaczego się czepiała? Patrick chciał szybko zdobyć doświadczenie. Co w tym złego? Po co czekać na pożar w jednostce państwowej straży, kiedy można od razu zabrać się do dzieła i uczestniczyć w szerzących się w zastraszającym tempie katastrofach? Jeżeli ludzi na to stać, czemu nie mieliby kupić sobie takiej specjalnej ochrony? I tak ciągnęły się sprzeczki, a raczej dyskusje między rodzeństwem.

– A jak to jest – pytała – kiedy musisz minąć płonący budynek, żeby na wszelki wypadek polać wężem jakiś dom parę kilometrów dalej?

Patrick zwykle wzruszał ramionami i patrzył na nią z chłopięcym uśmiechem, którym przypominał ojca. Teraz patrzył jak wyczerpany i głodny dwudziestopięciolatek.

Zapewne właśnie wrócił z akcji. Na czole i brodzie widniały plamy sadzy. Włosy miał wciąż wilgotne od potu. Opadający zwykle na czoło kosmyk, taki jak u ojca, nawet po tej samej stronie, sterczał do góry. Maggie z trudem się powstrzymywała, by go nie wygładzić, tak jak robiła za każdym razem, gdy śnił jej się ojciec w kasku. To stąd ten powrót nocnych koszmarów. Czuła zapach dymu. Patrick śmierdział dymem.

– Przyjechałeś prosto po akcji? – spytała, starając się przypomnieć sobie, gdzie spędził miniony tydzień.

– Taa.

Położył otwarte pudełko z resztką pizzy na blacie kuchennej wyspy i otworzył puszkę dietetycznej pepsi. Usiadł na wysokim stołku, po czym nagle z niego zeskoczył, jakby stołek płonął.

– Przepraszam, pewnie śmierdzę. – Z kawałkiem pizzy w jednej ręce i pepsi w drugiej spojrzał, czy ubrudził stołek.

– Nie przejmuj się. Siadaj.

Wzięła kawałek pizzy i także usiadła.

Patrick się zawahał. Maggie złościło, że nadal zachowywał się przy niej z taką niepewnością i uprzejmością. Prawie jakby spodziewał się, że zmieni zdanie. Że wymieni zamki. Winiła za to siebie. Dzieliło ich dwadzieścia lat, to ona miała być tą dojrzałą i dorosłą. Co za żart. Jeśli chodzi o stosunki rodzinne, czuła się kompletnie zagubiona. Celowo trzymała ludzi na dystans. Długo była sama, a od rozwodu z nikim nie mieszkała.

Poza Harveyem i Jake’iem.

Zerwała się ze stołka.

– Gdzie psy?

Wróciła panika ze snu, odbijając się w jej głosie.

– Wypuściłem je na podwórko od tyłu. – Patrick wstał.

Maggie trzema krokami doskoczyła do drzwi, wyłączyła alarm i włączyła światło na patio.

– Jake się przekopywał. – Starała się uspokoić. – Jeden z sąsiadów groził, że go zastrzeli, jeśli znajdzie go znów na swoim podwórzu.

– Żartujesz? Facet zwariował? – spytał Patrick.

Stał jednak obok niej, kiedy otworzyła drzwi.

Oba psy wypadły z ciemnych krzaków, biały i czarny, jeden obok drugiego, z wiszącymi językami i nosami uwalanymi ziemią.

– Chyba Harvey mu pomagał – zaśmiał się Patrick.

Maggie się uśmiechnęła, choć wciąż czuła ucisk w piersi. Cztery miesiące temu Jake uratował jej życie. Chciała, żeby czuł się tu bezpiecznie, by wiedział, że w końcu znalazł dom. On jednak wciąż próbował uciekać, jakby naruszyła jego suwerenność. Może to błąd, że zabrała go z otwartych przestrzeni Sandhills w Nebrasce. Chciała go uratować, tak jak uratowała Harveya, ale może Jake tego nie potrzebował.

Psy wychłeptały wodę z jednej miski, na dnie zostało błoto. Rodzeństwo wróciło do jedzenia pizzy, kiedy zadzwoniła komórka.

Maggie sprawdziła, która godzina. Była pierwsza siedemnaście w nocy. To na pewno nic dobrego. Z jakiegoś powodu pomyślała o matce, ale wiedziała, że to tylko katolickie poczucie winy, bo nie powiedziała, że Patrick u niej mieszka. Oczywiście, to żadna sprawa. Matka rzadko ją odwiedzała. W końcu Maggie sięgnęła po telefon i zobaczyła numer na ekranie.

– Witam, detektyw Racine – powiedziała na powitanie.

– Cześć, wybacz, że cię budzę.

– Nie ma za co. Już wstałam.

Była zaskoczona, ponieważ Julia Racine nie miała w zwyczaju przepraszać, niezależnie od pory dnia i nocy. Musiało się stać coś nadzwyczajnego, by złagodzić obyczaje

detektyw z wydziału zabójstw. Maggie miała okazję obserwować to zaledwie parę razy.

– Dzwoniłam już do Tully’ego. Nasz robaczek świętojański wziął się znów do roboty – rzekła Racine prawie jednym tchem. – Tym razem zostawił nam ciało.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Waszyngton DC

R.J. Tully pokazał odznakę mundurowemu policjantowi, który stał przy otaczającej miejsce zbrodni żółtej taśmie. Mężczyzna kiwnął głową, a Tully pochylił się i przeszedł pod taśmą. Żałował, że nie włożył czegoś cieplejszego niż prochowiec.

Skąd, u diabła, ta plama na klapie?

Nieważne. Miał ograniczony wybór. Spędzał noc u Gwen Patterson, co wciąż było dla niego czymś nowym. Córka Tully'ego, Emma, wyjechała na drugi semestr do college'u, więc nie miał wymówki, żeby biec do siebie. A jednak posiadanie dwóch kompletów ubrań w dwóch domach bardzo by mu nie odpowiadało. Przez trzynaście lat był żonaty, od ponad pięciu lat mieszkał sam. Może za bardzo przywykł do odzyskanego stanu kawalerskiego, żeby być w stałym związku.

Gwen szlachetnie oddała mu szufladę i część szafy, prawie trzydzieści centymetrów obok jej delikatnych i kolorowych strojów. Jego część szafy wyglądała żałośnie. Wisiały tam tylko koszula i spodnie na zmianę. Niczego więcej nie zostawił. Uważał, że to nie w porządku. Jakby bawił się w dom w cudzym domu. Bardzo mu się to nie podobało, niezależnie od tego, jak mocno kochał swoją wybrankę.

Kiedy dzwonek telefonu obudził ich oboje, Tully powinien był ociągać się z wyjściem. Powinien okazać żal, rozczarowanie, czy coś w tym rodzaju... cokolwiek, byle nie ulgę.

Dzięki Bogu zaspana Gwen nawet tego nie zauważyła.

Odsunął się na bok, przepuszczając dwóch strażaków, którzy minęli go biegiem w kłębiącym się dymie. Zgadywał, że przed wschodem słońca będzie to już alarm drugiego stopnia. W ciągu niespełna tygodnia nauczył się więcej na temat pożarów, niż chciał wiedzieć.

Na miejsce dotarł błyskawicznie, ponieważ o tej porze jazda samochodem z mieszkania Gwen w Georgetown zabrała mu niespełna dziesięć minut. Gdyby jechał ze swojego domu w Reston, w stanie Wirginia, trwałoby to od pół godziny do czterdziestu minut.

Wykorzystał to, że przyjechał pierwszy, i znalazł osłonięty od wiatru zakątek. Płomienie za plecami ogrzewały zimne nocne powietrze. To akurat mu odpowiadało, Tully zapomniał, że ma na sobie cienki trencz. W ciągu dnia było wyjątkowo ciepło jak na luty, za to wieczory wciąż przypominały, że zima jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa.

Poprawił okulary. Wyjął pióro i pomacał kieszenie, szukając czegoś, na czym mógłby pisać. Ostatecznie zdecydował się na paragon ze sklepu. Potem stanął pod dębem, gdzie było bezpiecznie, i zaczął obserwować zbierających się gapiów.

David Berkowitz zwany Synem Sama przyznał się do setek podpaleń. Wyznał, że nim zastrzelił pierwszą ofiarę, wzniecił wiele pożarów. Podkładał ogień, potem stawał na uboczu, gdzie nikt go nie widział. Patrzył z radością na płomienie i chaos i masturbował się.

Tully przyglądał się twarzom w świetle płomieni, starając się nie słuchać trzasku i świstu za plecami. Operatorka kamery i dziennikarz zajęli już pozycje w pobliżu żółtej taśmy.

Jakim cudem tak szybko się tu dostali? Skąd wiedzieli?

Zapisał: „Kto wezwał straż?”.

Potem spojrzał dalej, poza grupę gapiów. Szukał cieni, bacznie przypatrywał się alejkom i chodnikom. Przebiegł wzrokiem szczyty domów i dachy. Sprawdził wszystkie okna, rzędami, jedno po drugim, w sąsiednich budynkach. O ile się orientował, znajdowały się w nich magazyny, nie mieszkania, więc byłoby dziwne, a przynajmniej niezwykłe, gdyby zobaczył jakiś ruch czy światło na którymś z pięter.

Przemieścił się i stanął z drugiej strony drzewa. Powtórzył to wszystko, co robił przed chwilą, patrząc teraz na sąsiedni kwartał budynków. Wtedy go uderzyło, że kilku gapiów wygląda na bezdomnych. Przywykł do widoku handlarzy narkotyków, prostytutek, dostawców pracujących w nocy i taksówkarzy – zwanych przez niego nocną zmianą. O tej porze byli przeważnie jedynymi ludźmi na ulicy. Nie przywykł do widoku bezdomnych, z zapadniętymi policzkami i pustymi oczami, przypominali mu zombi.

– Hej, Tully!

Wołanie tak go przestraszyło, że aż się wzdrygnął i mało nie podskoczył. To pewnie przez te myśli o zombi.

Obejrzał się przez ramię. Detektyw Julia Racine miała na sobie dżinsy i rozpiętą skórzaną kurtkę – każdy mógł zobaczyć jej odznakę i broń. Racine zawsze udawała większą twardzielkę, niż była w rzeczywistości. Tym razem rozpięła kurtkę w zimną noc. Idąc pewnym krokiem, przeczesała palcami krótkie sterczące włosy, wciąż mokre po prysznicu.

– Co tam robisz? – spytała.

Nie spodziewała się odpowiedzi ani na nią nie czekała. To właśnie Racine do niego zadzwoniła. Tak się po prostu witała. Już się do tego przyzwyczaił.

– On tu jest – rzekł niemal szeptem, nie ruszając się z miejsca. Wrócił wzrokiem do sąsiednich budynków.

Nie był pewien, czy Julia w ogóle go usłyszała. Podeszła i stanęła z rękami w kieszeniach, tak blisko, że czuł zapach. Kokos z limonką. Pewnie tak pachniał jej szampon. Tully pomyślał, że ten zapach zaprzecza wizerunkowi twardzielki w rozpiętej kurtce, która mówi: „Jestem taka twarda, że zimno mam za nic”. Lubił pracować z kobietami między innymi dlatego – chociaż za skarby świata by tego nie przyznał – że pachną lepiej niż faceci.

– Pięćdziesiąt pięć procent podpalaczy ma poniżej osiemnastu lat – oznajmiła obojętnie, nawet na niego nie zerkając, jak zwykle rzeczowa.

Przyglądała się grupkom ludzi, podczas gdy Tully wędrował wzrokiem od okna do okna, od piętra do piętra.

– Naczytałaś się za dużo bezwartościowych statystyk.

Zatrzymał spojrzenie na trzecim piętrze ceglanego narożnego budynku. Przysiągłby, że dojrzał w oknie błysk światła. Czy pochodziło z wnętrza budynku, czy tylko w szybie odbijały się płomienie?

– Ciało jest na zewnątrz – poinformowała. – W przejściu za pojemnikiem na śmieci.

– Na zewnątrz?

Zdziwił się. Podczas dotychczasowych pożarów nie było ofiar śmiertelnych. Ciało zwykle oznacza kolejny krok w działaniach podpalacza, eskalację. Pożar nie daje mu już takiego samego kopa co dawniej, więc zaczyna podkładać ogień w budynkach mieszkalnych. Ale skoro ciało leży na zewnątrz, nie jest ofiarą podpalenia.

– Komuś udało się wydostać, ale za późno?

Racine potrząsnęła głową i wyjęła notes. Zaczęła go kartkować. Tully trzymał rękę w kieszeni, wymacał zgniecione paragony. Czemu wciąż zapomina zabrać ze sobą notatnik?

– W sprawie ciała mieliśmy osobne zgłoszenie – oświadczyła, znajdując odpowiednie zapiski.

Spojrzał na jej notatki. Nawet charakter pisma Julii był czytelny i porządny, nie takie skróty i bazgroły jak u niego.

– Ten człowiek powiedział – cytuję: sztywniak z połową twarzy leży w alejce za śmietnikiem.

– Za pojemnikiem na śmieci? Nie w pojemniku?

Przewróciła jeszcze kilka kartek i wróciła do poprzedniej.

– Nie. Obok. Szef strażaków powiedział, że ciało tej kobiety nie jest spalone. Musimy poczekać, aż wejście do strefy pożarowej będzie bezpieczne.

– To zmienia sytuację – rzekł Tully.

– Taa, na pewno.

Stali obok siebie w milczeniu, zajęci obserwowaniem okolicy. Mijały sekundy. Za ich plecami strażacy nawoływali się i wykrzykiwali polecenia. Sadza i iskry unosiły się w powietrzu niczym maleńkie fajerwerki na tle nocnego nieba. Podczas poprzedniego pożaru ktoś wspomniał, że wyglądają jak świetliki. Zaraz potem zaczęli nazywać podpalacza świetlikiem. Zdaniem Tully'ego nie było w tym sensu.

Racine przerwała ciszę.

– Więc twoim zdaniem ten dupek gdzieś tu jest, gapi się i wali konia?

Tak właśnie uważał Tully jeszcze nie tak dawno, ale wiedział, że to nie takie proste, zwłaszcza skoro gość zaczął zabijać i nawet nie wrzucił ciała do ognia. Nie spojrzał na Julię, ale się uśmiechnął.

– Naczytałaś się za dużo Freuda.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Maggie zaparkowała przecznicę dalej. Znów czuła pulsujący ból głowy, z tej samej strony, w tym samym miejscu, rytmiczny stukot w lewej skroni. Chwilę siedziała za kierownicą. Czarne chmury dymu kłębiły się nad okolicą. Patrzyła na płomienie strzelające z okien i pożerające dach czteropiętrowego budynku. Ten widok ją sparaliżował, choć była dość daleko. Przyspieszył bicie serca i odebrał dech, jakby ktoś wypompował powietrze z płuc.

Odetchnęła głęboko, starając się uspokoić. Zamknęła oczy i delikatnie czubkami palców masowała powieki. Potem przesunęła palce na skronie i nadal lekko masowała, wykonując małe kółka. Nie zwracała uwagi na bliznę.

To tymczasowe, powiedziała sobie. Nic jej nie będzie. Chyba się nie spodziewała, że po draśnięciu kulą natychmiast wróci do normy?

Próbowała skupić uwagę na celu swojego przyjazdu, ale wciąż myślała tylko o tym, jak groźnie wygląda ogień. Płomienie przypomniały jej kolorowe ilustracje bram piekła w katechizmie, z którego uczyła się religii w szkole. Piekła, gdzie trafiają gwałciciele i zabójcy. Gdzie zło spotyka kara. To nie jest miejsce, do którego spieszą ci, których kochamy, i skąd nie wracają.

Nie po raz pierwszy zastanowiła się, jak ojciec, a teraz jeszcze Patrick, był w stanie biec w szalejący ogień, podczas gdy instynkt nakazywał ucieczkę.

Wiedziała, że to strach przed stratą kolejnej ważnej dla niej osoby – strach ściskający żołądek – wywołał ostatnie koszmarne sny. Lęk i niepewność zakłócały sen, który przychodził pomiędzy regularnie powtarzającymi się okresami bezsenności. Diagnoza była prosta. Ostatnie koszmary spowodowało to, że z Maggie zamieszkał Patrick, który niezwykle przypominał ojca. A także, oczywiście, nowa, niebezpieczna praca brata, która ich ojca kosztowała życie.

Tej nocy, przez moment, kiedy Patrick stał w kuchni i podniósł na nią wzrok – tuż przed tym, nim o mały włos nie rozwaliła mu głowy – Maggie uderzyło jego podobieństwo do ojca. Thomas O'Dell był tylko sześć lat starszy niż Patrick teraz, gdy wbiegł do płonącego budynku, i taki na zawsze zapisał się w pamięci córki, dwunastoletniej wówczas dziewczynki.

Takie to proste. Podstawy psychologii.

Maggie już się właściwie przyzwyczaiła do nocnych koszmarów, jednego z powodów swojej bezsenności. Może wykonując określony zawód, nie powinna oczekiwać, że choć raz porządnie się wyśpi. Zarabiała na życie, ścigając morderców, a żeby ich złapać, czasami musiała wejść w ich skórę, wyobrazić sobie, co czują i myślą, zajrzeć im w głąb duszy.

Dawno temu jej mentor, zastępca dyrektora Kyle Cunningham, własnym przykładem uczył ją, jak sobie z tym radzić. Wyspecjalizował się w kategoryzowaniu i szeregowaniu. Każdy zabójca i każda ofiara mieli w jego

umyśle osobną szufladkę, oddzielał ich od siebie, a także od emocji i wspomnień, jakie w nim budzili.

Był mistrzem porządkowania życia, rozdzielania różnych jego aspektów. Takim mistrzem, że kiedy zmarł, Maggie sobie uświadomiła, jak niewiele wie o jego prywatnym życiu. Dziesięć lat z nim pracowała, podziwiała go i szanowała, ale nigdy się nie dowiedziała, czy Cunningham i jego żona mają dzieci, czy trzymają w domu jakieś zwierzęta albo na przykład jakie jest ich ulubione miejsce na wakacyjne wyprawy. Teraz, kiedy go już nie było, nie mogła go zapytać, co zrobić, kiedy któraś z jej szczelnie zamkniętych szufladek zaczyna przeciekać. Jak powstrzymać przelewanie się zawartości szufladki do podświadomości? Przez miniony rok usiłowała zapobiec zalaniu snu koszmarami. A teraz znów Patrick i podpalacze...

Wzięła głęboki oddech i wielkim wysiłkiem woli opuściła bezpieczne wnętrze samochodu. Zapięła pasek kurtki i wsunęła ręce głęboko do kieszeni, żeby nie zmarzły. Wciąż pamiętała okropne zimno i wilgoć z poprzedniego pożaru. Jej ubranie śmierdziało dymem, choć włożyła ochronny kombinezon.

Jeszcze gorsze było przemoknięcie, stopniowe, po trochu. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że prowadząc śledztwo w miejscu podpalenia, poczuje się, jakby znalazła się w deszczu popiołu i lodowatej wody połączonej z pianą. Wszystko to skapywało z wypalonych szkieletów budynków. Z krokwi, które ledwie się trzymały, i fragmentów sufitów

zaprzeczających prawu grawitacji. Przypominało to błądzenie po ciemnych wnętrznościach umierającego stworzenia, które wciąż jęczy, syczy i krwawi.

Nie, nie bała się widoku krwi. Niejeden raz była nią zbryzgana, uwalana, przewracana w niej, a nawet czuła, jak wypływa z niej własna krew. W końcu miała do czynienia z mordercami i terrorystami. Badała ich motywy – żądzę władzy, zemstę, chciwość, seksualne zaspokojenie.

Ale podpalenie? To było jej pierwsze doświadczenie z podpalaczem i miała problem z ustaleniem motywów osoby, która celowo podkłada gdzieś ogień.

Wezwano ją tu, podobnie jak Tully'ego, jako specjalistę od profili przestępców. Do końca tego nie rozumieli, ale szef w minionym roku wysyłał ich na dosyć dziwne misje. Maggie domyślała się, że w grę wchodzi polityka. Dla zastępcy dyrektora Raymonda Kunzego polityka zawsze była ważna. Przysługa, spłata długu, jakaś ustawa, którą trzeba przepchnąć, albo skandal wymagający zatuszowania. Nigdy nie sądziła, że będzie pracowała dla człowieka, którego nie tylko nie szanuje, ale któremu także nie ufa.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że mają do czynienia z typowym seryjnym podpalaczem. Wybrał magazyn i wzniecił pożar w środku nocy, gdy nikogo tam nie ma. Właśnie dlatego Tully i Maggie sądzili, że podkłada ogień, żeby zwrócić na siebie uwagę. I mieć z tego frajdę. Tak naprawdę nie chce nikomu zrobić krzywdy. Lubi przyglądać się wywołanemu chaosowi i cieszy go poczucie władzy, jakie to daje.

Wybrał kolejny budynek magazynowy. A jednak tej nocy było inaczej. Racine powiedziała, że jest ciało. To wszystko zmienia.

Maggie szła powoli, przyglądała się temu, co się tam działo, z odległości, próbowała objąć wzrokiem cały teren. Starała się uspokoić i zapanować nad instynktem, który kazał jej stamtąd uciekać. Dosłownie zmuszała swoje ciało do marszu w stronę ognia, wbrew sygnałom, które wysyłał organizm – od przyspieszonego pulsu po rwący się oddech. Już czuła gorączkę płomieni, co wcale nie pomagało.

Niemal natychmiast poczuła zapach dymu, który nasilał się z każdym krokiem. Słyszała gwałtowny syk, trzask i uderzenia, kiedy płomienie stopniowo pochłaniały budynek, którego resztki waliły się na ziemię. Przypominało to dźwięki przy wycinaniu drzew – lekki trzask, potem świst i wreszcie łomot.

Działające na nerwy widoki, dźwięki i zapachy.

Skup się na pracy, powiedziała sobie. Obserwuj. Szukaj śladów, jakie mógł zostawić.

Szła teraz przez pusty teren budowy. Buldożery, zębate koparki, wywrotki i ciężarówki w tym pejzażu wyglądały nie na miejscu. Przenosiła wzrok z jednego sprzętu na drugi. Wszystkie były pogrążone w ciemności i opuszczone na noc. Na tablicy jakiś metr od chodnika znajdowała się informacja, że powstaje tutaj siedziba czegoś, co nazywa się „Dom spotkań”. Nawet gdyby nie dostrzegła napisu drobnym drukiem: „w porozumieniu z Departamentem Mieszkalnictwa i Urbanistyki”, odgadłaby, że w sąsiedztwie

magazynów, gdzie przebywa sporo bezdomnych, budowano zapewne kolejne schronisko. Na razie widniało tam kilka betonowych bloków i sprzęt budowlany w rozmiarze XXL i kolorze żółtym.

Szła dalej ulicą, zerkając w boczne uliczki i bramy. Podniosła wzrok na zardzewiałe schody przeciwpożarowe i instynktownie prawą ręką sięgnęła pod kurtkę. Jej dłoń trafiła na skórzaną kaburę przypiętą ciasno po lewej stronie. Położyła palce na kolbie rewolweru, zaglądając do zaparkowanych przy krawężniku pojazdów.

Była już blisko ognia, syk płomieni zdominował nocną ciszę. Ruch samochodowy został skierowany inną trasą. Ulica opustoszała. Żadnych głosów ani kroków. Za ciemnymi oknami Maggie nie dostrzegła żadnych sylwetek, żadnego ruchu, z zamkniętych na noc magazynów nie dobiegał żaden dźwięk. Wszyscy, którzy znaleźli się w tej okolicy, gromadzili się za żółtą taśmą otaczającą miejsce zbrodni kilkadziesiąt metrów dalej. Prawdę mówiąc, nie dostrzegła tam żywego ducha, a jednak przystanęła w pół kroku. Powoli obróciła się wokół własnej osi.

On tam był.

Czuła na sobie czyjś wzrok. Tak jej mówił szósty zmysł. Instynkt. Nie potrafiłaby tego racjonalnie wytłumaczyć.

Stała kompletnie nieruchomo i znów zaczęła przyglądać się budynkom. Patrzyła na drzwi i okna. Czy stamtąd ją obserwuje? Podniosła wzrok na dach. Spojrzała na pusty plac budowy, który właśnie zostawiła za sobą. Nie widziała żadnego ruchu ani cienia. Nie słyszała kroków.

– Hej, O’Dell!

Ktoś z tyłu ją zawołał. Gwałtownie odwróciła głowę i zobaczyła Julię Racine, która przeszła pod żółtą taśmą i szła w jej stronę. Maggie ani drgnęła, przeniosła spojrzenie w innym kierunku, nie była gotowa opuścić pustej ulicy.

Kątem oka dojrzała cień odrywający się od słupa latarni. Cień ruchu, nic więcej. Teraz nie miała już pewności. Czasami przez to pulsowanie w skroniach widziała niewyraźnie.

To wkurzające. Ale to minie. Musi minąć, przekonywała się Maggie. Na pewno nie pozwoli, żeby Julia Racine cokolwiek zauważyła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pożar nie bardzo go obchodził. To tani sposób na przyciągnięcie uwagi.

Chociaż fajnie to wygląda.

Prawie jak fajerwerki w ciemną lipcową noc. Zapala się lont, czuć zapach siarki, lecą iskry, a zaraz po nich następuje skrząca się eksplozja koloru. Jak tysiące spadających gwiazd. Dobre wspomnienia.

Wciąż pamiętał mamę, która smażyła kurczaka na świąteczny piknik. Razem z bratem cały ranek pomagali zabijać głupie nieszczęsne ptaki, które kłapały dziobami, a ich paciorkowate oczy gapiły się na niego nawet wtedy, gdy odrąbał im głowę. Ten widok go fascynował.

O tym właśnie pomyślał, kiedy po raz pierwszy ją zobaczył.

Ulica od jakiegoś czasu była pusta. Wszyscy poszli gapić się na ogień, przyciągani jak ćmy do światła. Wyszli z wnęk drzwiowych, wygramolili się z ciepłych kanałów, żeby tylko rzucić okiem. Pokręcił głową, patrząc na tę żałosną paradę szmaciarzy.

Ta kobieta nie zaliczała się do nich. Nie była stąd.

Zanim jeszcze zobaczył, jak sięgnęła pod kurtkę, wiedział, że to glina. Uznał, że jest atrakcyjna. Nie, nawet więcej niż atrakcyjna. Naprawdę ślicznotka. Mogłaby wykonywać dziesiątki innych zawodów. Ale on rozpoznał ten pewny siebie krok, tę postawę. Wciąż poruszała głową, subtelnie,

lecz nieustająco – w górę i w dół, w lewo i w prawo. Przyglądała się wszystkiemu w tak naturalny sposób, jakby oglądała wystawy sklepowe. Robiła to dokładnie i sprawnie, ale z takim wdziękiem i opanowaniem, jakie kojarzą się z dojrzałością, tak mógłby się zachowywać ktoś od niej starszy.

Tak, była dobra, a jednak wciąż go nie dostrzegła.

Co prawda, kto by się przyglądał placowi budowy po godzinach pracy? Trudno się spodziewać, że ktoś będzie się krył za spycharką czy stał za stertą kostki brukowej ze zmasakrowanego tego dnia chodnika.

Poza tym nie musiał się chować. Zazwyczaj wtapiał się w tło, nie wzbudzając podejrzeń. Mówiąc prawdę, mógłby postawić tej kobiecie drinka w miejscowej knajpie dla gliniarzy, a ona nigdy by nie pomyślała, że ma do czynienia z kimś innym niż z zainteresowanym jej pracą mieszkańcem miasta, który oddaje jej szacunek. Niejeden raz już to robił. Lubił tak spędzać czas, lubił ich słuchać. Najciekawsze informacje zdobywał wprost od gliniarzy. Szczegóły, które pomagały udoskonalić jego metody czy też podpowiadały nowe pomysły na kolejne przedsięwzięcia.

Tak, lubił gliniarzy. Szanował ich. A nawet podziwiał. Pewnie zostałby gliną, gdyby nie odnosił takich sukcesów w swojej profesji. Teraz zarabiał za dużo kasy, żeby w ogóle brać pod uwagę zatrudnienie w organach bezpieczeństwa. Był dobry w tym, co robił, i cieszył się wzięciem. Lubił takie życie. Miał mnóstwo czasu na zainteresowania, na

powodowane ciekawością przygody – w końcu był niespokojnym duchem.

Obserwował ją, jak przeszła całą przecznicę, a potem nagle się odwróciła.

Dobra jest! Niech ją szlag!

Pozostał w cieniu i się uśmiechnął. Nie spodziewał się, że znajdzie tu kogoś, kto wzbudzi jego ciekawość. Nie w takim miejscu. Podobała mu się ta policjantka. Podobało mu się, że chyba wyczuwała jego obecność. To zapowiadało się interesująco. Prawdziwe wyzwanie.

Była pewna siebie, inteligentna, nieugięta. Lubił twarde kobiety. A zwłaszcza lubił słyszeć ich krzyk.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Hej, wszystko w porządku?

Julia Racine podeszła do koleżanki. Jej głos brzmiał tak cicho i łagodnie, że Maggie prawie jej nie poznała.

Nienawidziła tego tonu, tego zatroskanego spojrzenia. Irytowało ją i natychmiast budziło czujność. Odkąd w październiku zeszłego roku została postrzelona, zbyt wiele osób traktowało ją tak, jakby na ich oczach miała się rozpaść czy stracić nad sobą panowanie. Nie mogła już tego znieść.

– W porządku.

– Nie wyglądasz najlepiej – Racine wymierzyła kolejny cios. Tak przynajmniej odebrała to Maggie.

Najlepsza przyjaciółka Maggie, Gwen Patterson, poradziła jej, żeby ignorowała takie traktowanie. Ludzie okazują jej troskę. Wkurzanie się na to potwierdza jedynie zasadność ich troski, ich podejrzeń. To Maggie dodała „podejrzeń”. Gwen mówiła wyłącznie o trosce.

– Chyba kogoś widziałam. Za latarnią.

Julia się obejrzała, ale po krótkiej chwili wróciła wzrokiem do koleżanki.

No świetnie! Teraz już wszyscy uznają ją za paranoiczkę, która widzi nieistniejące rzeczy w ciemności.

– Mówiłaś przez telefon, że ciało jest na zewnątrz – chciała zmienić temat, zetrzeć wyraz współczucia z twarzy policjantki. – Gdzie ono jest? Możemy je zobaczyć?

– Między płonącym budynkiem i tym sąsiednim.

Ruszyła naprzód. Racine poszła jej śladem. Maggie miała nadzieję, że detektyw zacznie myśleć o sprawie, a nie o jej odkrytej znów słabości.

– Musimy zaczekać, aż strażacy skończą – oznajmiła Julia. – Oby tylko nie zmyli i nie zadeptali wszystkich śladów. Twierdzą, że na razie jest zbyt niebezpiecznie, żebyśmy tam weszli.

Potem wzruszyła ramionami i skrzyżowała ręce na piersi, jakby miały jeszcze długo poczekać.

Maggie chciała zapytać, dlaczego w takim razie policjantka nie zadzwoniła później albo nie powiedziała, że nie trzeba się spieszyć.

Cierpliwość Maggie była na wyczerpaniu, czasami z trudem się opanowywała; nie umiała nawet powiedzieć, dlaczego po pięciu latach znajomości Julia Racine wciąż tak łatwo ją wkurza. W końcu jednak zostały przyjaciółkami... w pewnym sensie.

Z początku lekkomyślność i brawura Racine działały jej na nerwy. Młoda detektyw podejmowała zbędne ryzyko, wymądrzała się i tyranizowała innych, wspinając się po szczeblach kariery, jakby uważała, że w ten sposób musi nadrobić bycie kobietą. A przy tym cały czas sprawiało to wrażenie, jakby krzyczała: „Tak, jestem kobietą, i co z tego?”.

Nawet teraz, patrząc na jej rozpiętą kurtkę, Maggie zastanawiała się, czy Julia popisuje się odznaką i bronią, czy pełnymi piersiami w obcisłej bluzce? A może jednym

i drugim? Wciąż rzucała wyzwanie. To była jej wersja słów Brudnego Harry'ego: „No dalej, zrób mi frajdę".

Maggie przez całą zawodową karierę zachowywała się dokładnie odwrotnie. Starała się nie zwracać na siebie uwagi, wtopić się w tłum kolegów. Nosiła kostiumy ze spodniami, które przypominały garnitury jej szefa. Spędzała dodatkowe godziny na strzelnicy, ćwiczyła i dbała o formę, żeby mogła się bronić i zabezpieczać partnera. Nie chciała taryfy ulgowej. W przeciwieństwie do Racine wcale nie pragnęła, żeby koledzy widzieli w niej kobietę.

Maggie znów zaczęła się rozglądać, udawała, że obserwuje okolicę i próbowała ukryć to, że bezustannie szuka drogi ucieczki. Omijała wzrokiem ogień. To szkodzi oczom tak samo jak patrzenie prosto w słońce. Kiedy dojrzała Tully'ego, z trudem powściągnęła westchnienie ulgi.

Wysoki i szczupły R.J. Tully był jednym z niewielu znanych Maggie mężczyzn, którzy dobrze wyglądają w prochowcu. Tej nocy, z zaciśniętymi zębami i wzrokiem skupionym na kimś czy na czymś, przypominał bardziej szpiega z filmu o Bondzie niż agenta FBI. Coś po drugiej stronie ulicy przyciągnęło jego uwagę.

Ruszyła do niego i usłyszała, że Racine za nią idzie.

– Co jest? – spytała Maggie, kiedy wreszcie się obejrzał.

Wskazał głową na chodnik, nie posługując się rękami, by nie zwracać na siebie uwagi. Dłonie wciąż trzymał w kieszeniach płaszcza.

Natychmiast zorientowała się, na co tak patrzył.

Samochody stacji telewizyjnych usiłowały znaleźć miejsce do parkowania. Ci, którym się to udało, ruszyli ze swoim sprzętem tak blisko ogrodzonego terenu, jak tylko było to możliwe. Zauważyła chyba z tuzin ekip telewizyjnych. Jedna operatorka kamery i jeden reporter już pracowali, ustawieni w najlepszym punkcie, tuż przy żółtej taśmie. Grupka gapiów za ich plecami sugerowała, że przybyli tam i rozstawili się, nim ludzie zauważyli ogień.

– Jak długo tu są? – spytała.

– Byli tu już, jak przyjechałem – odparł, po czym oboje z Maggie spojrzeli na Racine.

– Tak, wydaje mi się, że byli też przede mną.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jedną ręką Samantha Ramirez trzymała kamerę, a drugą poprawiła niesforny kosmyk włosów, wciskając go z powrotem pod czapkę z daszkiem. Zrzuciła płaszcz, a mimo to pot spływał po czole. Kolejna strużka płynęła po plecach. Stojąc tyle czasu tak blisko ognia, czuła się jak Zła Czarownica z Zachodu, powoli się topiła. Mieli już mnóstwo materiału, ale Jeffery nalegał, żeby nie wyłączała kamery.

– Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy.

Zawsze tak mówił. Zazwyczaj się nie mylił. Dzięki temu mieli szczęście po huraganie Katrina nagrać niespodziewaną akcję ratunkową z dachu. Czasami szczęście im nie dopisywało, na przykład gdy stali się obiektem nieprzewidzianego ataku wściekłości. Samantha została wciągnięta w tłum młodych protestujących mężczyzn na ulicach Kairu i nagrała głównie ślady swoich stóp. To powinno stanowić dla niej wystarczające ostrzeżenie, by powiedziała: „Nigdy więcej”, gdyby nie dodatkowy materiał, pokazujący wściekłego Jeffery’ego Cole’a, który pobiegł za Samanthą i wyrwał broń z rąk zaskoczonego żołnierza.

Karabin maszynowy wystrzelił nad głowami mężczyzn, którzy chwycili kamerzystkę za ramiona. Kiedy kule świstały w powietrzu, a oni zaciskali palce na jej bluzce, rwąc ją na strzępy, bezlitośnie poszturchiwali. Dopiero później, kiedy Sam i Jeffery wrócili bezpiecznie do domu, do

Stanów, i przeglądali nagrany w Kairze materiał, Samantha zobaczyła wyraz twarzy Jeffery’ego, który kazał protestującym ją puścić. Spojrzenie, które mówiło, że następna seria strzałów nie zostanie wycelowana w powietrze.

– Ja chronię ciebie, a ty mnie – oznajmił jej wtedy, a ona od tamtej pory czuła się zobowiązana i nie dyskutowała.

Mówiąca po hiszpańsku matka, która mieszkała z Samanthą i pomagała jej w opiece nad sześcioletnim synem, nie lubiła Jeffery’ego. Nazywała go Diablo. Oczywiście, gdy tego nie słyszał. Zwykle nazywała go diabłem, kiedy budził cały dom w środku nocy, tak jak dzisiaj. Matka nie miała pojęcia, w jak niebezpiecznych sytuacjach się znajdowali, ale podejrzewała dość, by w każdą niedzielę zapalać świeczkę w kościele pod wezwaniem św. Hieronima.

Im dłużej Ramirez pracowała z Jefferym, tym częściej zastanawiała się, czy matka przypadkiem nie ma racji. Czasami rzeczywiście odnosiła wrażenie, jakby zawarła pakt z diabłem.

To był trzeci pożar w ciągu niespełna dwóch dni, ale szef kazał im dać sobie z tym spokój.

– Jak nie ma ofiar – orzekł – nie ma sensacji.

Powiedział, że mogą „pstryknąć migawkę”, piętnaście, najwyżej dwadzieścia sekund. Koniec kropka.

Dalekie to było od materiału, jaki cenił sobie Jeffery. Zarejestrowane sekundy i minuty stały się jego obsesją. Twierdził, że potrafi znaleźć interesujący temat w każdej

informacji, odrzucając to, co zbędne, jak obiera się z liści karczocha, aż dotrze się do smakowitego środka.

Tak działa dobry dziennikarz śledczy – kładł do głowy każdemu, kto chciał go słuchać. Zwykle słuchała tylko Sam, która nie mogła zlekceważyć jego przechwałek i odejść, gdyż łączył ich niewidzialny łańcuch. Łańcuch czy raczej kajdanki... a w zasadzie coś jak pępowina, ponieważ jej życie i kariera zależały od sukcesu Jeffery'ego.

Sam nie była z tego powodu szczególnie szczęśliwa ani dumna, ale zaczęła żyć zgodnie z powiedzeniem: „Jest jak jest". Bransoletka, której nigdy nie zdejmowała, ze zniszczonej już skóry i porysowanego metalu, miała wygrawerowane takie właśnie słowa. Jak stałe przypomnienie. Pewnie, że nie zawsze mogła kontrolować, w jakie gówno wdepnie, ale mogła decydować, co z tym dalej zrobi, do cholery.

Wersja matki była nieco barwniejsza: „To twoje życie. Tylko ty decydujesz, w co je zmienisz: w sałatkę z kurczaka czy kurze gówno".

Sam zauważyła, że Jeffery zrobił sobie przerwę i dokądś poszedł, może szukał kogoś, z kim przeprowadziłby wywiad, a może chciał się wysikać. Nie śledziła go, kiedy nie pracował. Często po prostu zapominała o bożym świecie, patrząc przez wizjer kamery.

Nagle usłyszała głos kolegi za plecami.

– Wygląda na to, że mamy towarzystwo.

Obejrzała się, nie zwracając uwagi na to, co filmuje. Wysoki mężczyzna w prochowcu i dwie kobiety szli w ich

kierunku. Znajdowali się na terenie ogrodzonym żółtą taśmą. Wysoka kobieta w skórzanej kurtce z pewnością była gliną. Sam założyłaby się, że pozostali dwoje to agenci FBI.

– Nagrywaj – polecił Jeffery. – Trzymaj mnie cały czas w kadrze, cokolwiek by się działo. Pamiętaj, żeby pokazywać mój lepszy profil.

Miała chęć przewrócić oczami, zamiast tego ustawiła kamerę.

No i znów się zaczyna. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Ci dranie są jak hieny.

Maggie zignorowała pomrukiwanie Racine. Po raz czwarty podczas ich krótkiej przechadzki Julia nazwała przedstawicieli mediów draniami. Maggie zastanowiła się, czy policjantka zalicza swoją partnerkę Rachel do tej samej kategorii. Rachel pracowała w „The Washington Post”.

Maggie przekonała Tully’ego, żeby pozwolił jej prowadzić rozmowę, choć to on był zdecydowanie lepszym dyplomatą.

– Dobry wieczór – odezwał się mężczyzna. Zabrzmiało to bardziej jak oświadczenie niż powitanie, jak pierwsze słowa wieczornych wiadomości.

Z boku kamery zauważyła logo międzynarodowej stacji informacyjnej, a teraz rozpoznała też głos Jeffery’ego Cole’a. Mało się nie skrzywiła. Więc to nie jakiś miejscowy dziennikarzyna. Kamera cały czas pracowała, a Cole wierzył, że ma wywiad na wyłączność.

Przemieścił się na drugą stronę, jakby ustawiał się lepszym profilem do kamery, nawet kosztem tego, że w tle zamiast płomieni pojawił się budynek po drugiej stronie ulicy.

– Czy mają państwo jakieś informacje na temat tego, jak pojawił się tutaj ogień? Albo kto go podłożył? Czy w stolicy buszuje seryjny podpalacz?

– W tej chwili nie będziemy odpowiadać na żadne pytania – odparła Maggie. – Później z pewnością odbędzie się

krótka konferencja prasowa. – Zerknęła na Tully’ego i Racine, których światło kamery wyraźnie paraliżowało.

– Może nam pani chociaż powie, czy są ranni? – podjął Cole. – Ofiary śmiertelne? Nie widzieliśmy, żeby wyprowadzano stąd poszkodowanych.

Znała tę taktykę. Zasypywanie gradem pytań, nie czekając na odpowiedzi. Dziennikarze wciąż tak robią. Zalewają pytaniami, przytłaczają, wystawiają na próbę cierpliwość wyczerpanych policjantów w nadziei, że zdobędą choć jedną informację. Oni tak samo postępują z podejrzanymi. Nie przywykli jednak, by ich tak traktowano.

Racine zaczęła się wiercić. Maggie miała nadzieję, że detektyw nie zrobi nic nieodpowiedzialnego, na przykład nie każe im wyłączyć pieprzonej kamery. Tylko Racine mogła posłużyć się barwnym językiem i gestami, które wymagałyby wyciszenia i specjalnego montażu, gdyby miały ukazać się na wizji. A komentarze Racine byłyby zapewne powtarzane na okrągło przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu w informacyjnych stacjach kablowych.

Maggie zauważyła, że Tully wyjął rękę z kieszeni, ale zacisnął palce i na szczęście nie odepchnął kamery ani nie zakrył obiektywu. Oba te gesty znalazłyby się natychmiast w wiadomościach z ostatniej chwili.

– Prawdę mówiąc, potrzebujemy waszej pomocy – powiedziała spokojnie, zwracając się do Jeffery’ego Cole’a, nie do kamery. – Jestem pewna, że pan i pańska stacja zechcecie nam pomóc w śledztwie.

To z miejsca powstrzymało dalsze pytania. Cole zrobił osłupiałą minę. Wtedy Maggie zdała sobie sprawę, że młoda kamerzystka naprawdę go filmuje. Kiedy kobieta zerknęła na Cole’a, czekając na instrukcje, kamera przechyliła się odrobinę.

– Przepraszam, pani detektyw, mam nadzieję, że dobrze zrozumiałem i nie zabroni nam pani nagrywać.

Cole zrobił kilka kroków naprzód, a za nim operatorka kamery. Maggie ani drgnęła. Starała się nie mrugnąć, chociaż czuła, że obiektyw zagląda jej teraz w oczy.

– Nie, nie o to proszę.

– To dobrze, bo to byłoby naruszenie naszych konstytucyjnych praw. Istnieje coś takiego, pani detektyw, jak wolność prasy. Wolno nam to filmować i informować naszych widzów. Na pewno chcieliby wiedzieć, czy macie już podejrzanego. Albo czy te podpalenia będą się powtarzały. Proszę się rozejrzeć. – Wskazał koleżance, by zrobiła panoramę sąsiednich budynków. – To się mogło zdarzyć w każdym miejscu w mieście.

– Co za dupek – mruknęła Racine i ruszyła przed siebie.

W tym momencie za plecami Maggie rozległ się dźwięk przypominający grzmot. Po kolejnym takim huku silny podmuch cisnął ją na ziemię.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Maggie leżała twarzą w wilgotnej trawie, przyciśnięta do ziemi falą gorąca. Odłamki stłuczonego szkła zasypały jej plecy niczym tysiące igieł. Kiedy odważyła się zerknąć przez ramię, ujrzała fruwające jak piórka śmieci, które zostawiały za sobą iskrzące smugi. Nocne niebo rozświetliła połyskująca mgła, tyle że to nie była mgła.

Część gapiów rzuciła się do ucieczki, niektórzy z krzykiem. Inni padli na ziemię, jak Maggie. Niektórzy się nie ruszali. Z ziejącej dziury w budynku po drugiej stronie ulicy wystrzeliwały płomienie. Jeszcze więcej płomieni wypluwały otwory okienne z roztrzaskanymi szybami. Te przeskakiwały po zewnętrznych ścianach, aż niczym girlanda ognia objęły narożniki.

Jęki i ciemność przeniosły Maggie w inne miejsce, gdzie była tak niedawno. W sam środek lasu, gdzie zamiast huczących płomieni dało się słyszeć grzmot i trzask pioruna. Kilkoro nastolatków zostało rannych, dwóch zginęło. Jeden z chłopców, owinięty drutem kolczastym, mocno krwawił i umierał ze strachu.

Potrząsnęła głową i uniosła się na łokciach z mokrej trawy. Zamknęła i przetarła oczy. Jej palce bez trudu trafiły na bliznę na lewej skroni.

Powietrze wypełniły syreny. Maggie nawet nie widziała, że przyjechała już trzecia drużyna straży pożarnej. Obok maszerowały czarne wysokie buty, szeleściły ciężkie

kombinezony. Maggie została na czworakach, czekała, aż ustaną zawroty głowy. Z przykrością zdała sobie sprawę, że to tylko lekkie pogorszenie jej normalnego teraz stanu.

– Nic ci nie jest?

Maggie zaprzeczyła, nie podnosząc wzroku. Czy Racine nie pytała o to samo zaledwie kilka minut temu? Spróbowała się podnieść. Cholerny zawrót głowy ściągnął ją znów na ziemię.

– Zostań tu chwilę – powiedział inny głos.

Maggie zobaczyła rękę na swoim ramieniu, zanim ją poczuła. Kiedy spojrzała do góry, spotkała się wzrokiem z Tullym, który chciał się upewnić, że nic jej się nie stało. Zerknął na miejsce wybuchu i wrócił do niej spojrzeniem, zatrzymując je tutaj na moment, po czym znów podjął obserwację. Kiedy się lekko odwrócił, Maggie zobaczyła zakrwawione, posklejane włosy i spływające na szyję czerwone strużki.

– Jesteś ranny. – Wyciągnęła rękę. Znów próbowała wstać, nie zważając na swoje możliwości.

Nie odsunęła Tully’ego, kiedy ją podtrzymał. Chociaż przez kilka ostatnich miesięcy właśnie takiego traktowania nie znosiła najbardziej.

– Ostrożnie – rzekł, ściągając brwi z troską. – Wszyscy jesteśmy ranni.

Dotknął tyłu głowy Maggie i pokazał palce, czerwone i śliskie od krwi.

– Powoli. Wszystko w porządku?

Maggie lekko się zachwiała. Ciemne plamy wirowały jej przed oczami.

– Chyba jednak nie – przyznała.

– Też tak sądzę.

I znów najpierw zobaczyła, jak Tully otoczył ją ramieniem, a potem dopiero to poczuła.

– Potrzebujemy tu ratownika medycznego.

Maggie słyszała zniekształcony głos agenta.

W jednej chwili powróciły wspomnienia, niczym stary film na rolce z przeskakującymi klatkami. Lufa strzelby przyłożona do jej skroni. Błysk światła, a zaraz po nim huk. Ból był silny – palący, jak oparzenie, a potem uczucie, jakby ktoś oderwał jej bok głowy.

Może rzeczywiście myślała nieracjonalnie, spodziewając się, że po draśnięciu kulą natychmiast się z tego otrząśnie.

Tully wciąż ją podtrzymywał. Popatrzyła na panujący wokół chaos i zobaczyła Racine z grupą mundurowych funkcjonariuszy. Julia stała na rozstawionych nogach i wymachiwała rękami, każąc gapiom cofnąć się i zrobić miejsce dla ratowników. Zupełnie jak policjant kierujący ruchem. Z tej odległości Maggie dojrzała, że tył kurtki był rozdarty. Od razu pomyślała, że Racine się wścieknie. Uwielbiała tę kurtkę.

Maggie spróbowała zrobić krok naprzód, ale Tully ścisnął ją mocniej i zatrzymał.

– Nie ruszaj się stąd, dobrze? Niech najpierw obejrzy cię ratownik – mówił spokojnie, cicho, jego głos nie pasował do

mocnego uścisku. – Specjaliści zajmą się innymi poszkodowanymi.

O mały włos nie dodał: „Tylko byśmy im zawadzali”.

Maggie kiwnęła głową. Świetnie go rozumiała. Ich zadaniem nie była pomoc rannym. Musiała to zaakceptować, choć ostatnio odkryła, że jej się to nie podoba. Nie znosiła czuć się bezużyteczna, ale prawdę mówiąc, nie umieliby pomóc żyjącym ofiarom. Doświadczenie i wiedza zarówno jej, jak i Tully’ego przydawały się dopiero przy zmarłych, którzy już nie mogli opowiedzieć swojej historii.

Maggie wiedziała, że w obu sprawach miał rację. Potrzebowała pomocy ratownika medycznego. Dopóki ktoś nie da jej zielonego światła, dopóty będzie musiała znosić cholerne zatroskane spojrzenia. A zatem została na miejscu.

Otaczał ich chaos, z dwóch stron rozpętało się piekło. Ratownicy przemieszczali się, głośno tupiąc i pokrzykując, ciągnęli za sobą sprzęt, który kołysał się i pojękiwał. Brnęli naprzód, torując sobie drogę. Część gapiów stała jak sparaliżowana. W środku tego chaosu, niespełna piętnaście metrów dalej, znajdowali się Cole i jego kamerzystka, i wydawało się, że nic z tego nie robi na nich wrażenia.

– Tu Jeffery Cole.

Maggie usłyszała jego głos, kiedy mówił do kamery.

– Na żywo.

Wyglądał zdumiewająco spokojnie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wirginia

Patrick Murphy nie wiedział już nawet, od ilu godzin nie spał. Tym razem. Dotychczas college najlepiej przygotował go do bezsennych nocy. Całonocnych dyżurów. Ale studia z pożarnictwa dały mu tylko powierzchowne pojęcie o tym, co zobaczył i czego doświadczył przez kilka minionych tygodni.

Poza tym myślał, że jest w świetnej formie, bo w końcu codziennie dźwigał ciężary i biegiem pokonywał ponad trzy kilometry. Jednak ilekroć wracał z akcji, odczuwał bóle w mięśniach, o istnieniu których nawet nie miał pojęcia.

Niezależnie od bólu, wolałby jednak wsiąść do wozu strażackiego i ruszyć na kolejną akcję, niż siedzieć w luksusowym holu głównej siedziby firmy i czekać na reprymendę szefa, którego dotąd nie poznał.

Patrick wsadził palec za kołnierzyk, zdawało mu się, że go ciśnie. Wolał mieć na sobie ważący ze trzydzieści kilogramów służbowy strój niż garnitur i krawat.

Zerknął na zegarek. Kosztował pewnie więcej niż semestr studiów. Dostał go jako premię motywacyjną dla nowego pracownika. Może zechcą ten bonus odebrać. Dlaczego to tyle trwa? Co prawda według zegarka chodzącego ze szwajcarską precyzją czekał dopiero jedenaście minut.

A wydawało mu się, że trzy kwadranse.

Szczęśliwie Maggie nie wróciła do domu przed jego wyjściem. Nie wiedziałby, jak wyjaśnić, dokąd się wybiera. Oczywiście nie musiał się tłumaczyć. Byli raczej jak współlokatorzy niż rodzeństwo. Dopiero muszą się zbliżyć, poznać swoje dziwactwa i rzeczy, które ich szczególnie irytują. Patrick od dawna był samodzielny. Matka pracowała na dwóch etatach. Od czasu, gdy osiągnął wiek, kiedy prawo pozwalało matce zostawiać go w domu samego, radził sobie sam. Typowy dzieciak z kluczem na szyi.

Nie mógł jednak powiedzieć o matce złego słowa. Rozumiał, że to, co robi, robi dla nich obojga. Na skutek tego dojrzał szybciej niż rówieśnicy. Podczas gdy jego przyjaciele po lekcjach grali w gry wideo, on sortował pranie i przygotowywał grillowany ser na kolejną samotną kolację. Nie przeszkadzało mu to. Lubił swoją niezależność. Wiedział rozmaite rzeczy, o jakich koledzy nie mieli pojęcia. Mama nazywała go mądralą, a ostatnio wyraziła żal, że nie dała mu szansy na prawdziwe dzieciństwo.

Maggie wyznała, że jest samodzielna od ukończenia dwunastego roku życia. Widział w jej oczach i słyszał smutek w głosie, który wskazywał, że chodzi o inny rodzaj samodzielności.

Okazała mu wiele zrozumienia, odkąd u niej zamieszkał. Nie miałby za złe, gdyby tej nocy rozbiła mu głowę. Zachował się okropnie, nie uprzedził o swoim powrocie, tylko wparował do domu w środku nocy. Był zbyt zdenerwowany i nie myślał. Powiedział, że wcześniej

zakończyli akcję, jakby nic się nie stało. Jednak prawda wyglądała zupełnie inaczej.

Tak naprawdę odesłano go do domu i pewnie miał szczęście, że z miejsca nie wyrzucono go z pracy.

– Panie Murphy – recepcjonistka odezwała się tak cicho i łagodnie, że zastanowił się, czy już wcześniej mówiła coś, czego nie usłyszał.

Zaczął się podnosić. Zatrzymał się. Poprawił marynarkę i mimo potwornego zdenerwowania wyglądał na kogoś, kto zamienia się w słuch. Przesunął się na skraj krzesła.

– Pan Braxton może już pana przyjąć. – Kobieta uśmiechnęła się i wskazała głową na drzwi po prawej.

Potem się odwróciła, żeby odebrać telefon. Patrick patrzył na nią w oczekiwaniu na dalsze instrukcje.

Wreszcie wstał i odczekał jeszcze chwilkę. Drzwi były zamknięte. Czy ma zapukać? Recepcjonistka skupiła się na ekranie komputera, równocześnie rozmawiając przez telefon. Patrick, po nieszczęsnej konfuzji w domu Maggie w nocy, a także dlatego, że już nawarzył sobie piwa, postanowił zapukać.

– Proszę – odpowiedział głos z akcentem z Południa.

Ten głos i mężczyzna, który stał obok smukłego biurka z metalu i szkła, kompletnie zaskoczyły Patricka. Z okien, które sięgały od podłogi do sufitu, zobaczył wierzchołki drzew i błękitne niebo. Braxton wyglądał, jakby pozował do zdjęcia na jednym z tych teł, zbyt pięknych, żeby były prawdziwe.

Wysoki i potężny, z włosami przyprószonymi siwizną Braxton wyciągnął do wchodzącego muskularną rękę.

– Pan pewnie jest Murphy.

Niespodziewany uścisk zgniótł dłoń Patricka.

– Tak, sir.

– Za godzinę wybieram się na golfa, więc przepraszam za ubiór. – W ustach Braxtona „ubiór” zabrzmiał jak dwa osobne słowa. – Żona kupuje mi te koszulki z małym graczem polo.

Koszulka była jasnoniebieska, spodnie khaki świeżo wyprasowane. Skórzane mokasyny błyszczały.

– Chyba jej się zdaje, że zrobi modnisia ze swojego staruszka. – I znów dziwnie przeciągnął słowo „staruszka”.

Posłał podwładnemu szczery uśmiech i wskazał krzesło naprzeciw biurka.

– Jesteś żonaty, synu?

To pytanie rozbroiło Patricka, choć starał się to ukryć.

– Nie, sir.

W niczym nie przypominało to rozmowy z szefem, jaką wyobrażał sobie cały ranek.

– Jak znajdziesz tę jedyną, synu, nie wypuść jej z rąk.

Braxton spojrzał na oprawioną fotografię w lewym rogu nieskazitelnie czystego szklanego blatu biurka. Kobieta wyglądała na młodszą i drobną w porównaniu do męża. Była opalona, miała szczupłe ręce i zmarszczki mimiczne w kącikach oczu. Na zdjęciu oboje nosili spodnie khaki i koszulki polo, ona – różową, Braxton – w innym odcieniu niebieskiego niż ta, którą włożył dzisiaj.

Patrick nie wiedział, co odpowiedzieć, więc rzekł po prostu:

– Postaram się to zapamiętać, sir.

Tym razem Braxton popatrzył mu w oczy.

– Dobrze się postaraj, synu. – Żartobliwy ton zastąpiła powaga. W głosie pojawił się nawet cień smutku. – To najlepsza rada, jakiej mogę każdemu udzielić. Jeśli znajdziesz coś dobrego, trzymaj się tego.

Bez wahania postukał palcem wskazującym w teczkę leżącą na biurku.

– No to zobaczmy, co my tu mamy – powiedział, otwierając teczkę.

Dłonie Patricka zaczęły się pocić. Czy to możliwe, żeby ten człowiek do tej pory nie wiedział, po co się z nim spotyka? Patrick zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, patrząc, jak Braxton wkłada okulary do czytania i zaczyna kartkować.

– Dyplom z pożarnictwa – mruknął, nie podnosząc wzroku. – Jestem pod wrażeniem.

To nie była rozmowa kwalifikacyjna. Patrick już miał pracę. Pytanie, czy jej nie straci. Albo czy wykształcenie wpłynie jakoś na jego karę? Może szef postanowił potraktować go ulgowo, wiedząc, jak poważnie młody człowiek podchodzi do swojej profesji. Przecież z pewnością przeglądał wcześniej jego dokumenty.

– Podczas studiów pracowałeś jako barman. A nawet udzielałeś się w ochotniczej jednostce straży pożarnej. Godne podziwu.

Patrick przesunął się z brzegu krzesła i usiadł wygodniej. Spocone dłonie położył na udach. Wszystkie nadgodziny i całonocne dyżury w końcu się opłacą. Ktoś wreszcie doceni jego wartość. Zaczął oddychać swobodniej, a nawet powściągnął westchnienie ulgi.

– Pewnie bardzo zależy ci na tym, żeby być strażakiem? – Braxton podniósł wzrok i posłał mu cierpki uśmiech.

– Tak, sir.

Patrick tak się rozluźnił, że nie zauważył zbliżającego się ataku.

– Synu, doszły mnie słuchy, że ratowałeś dom kolejnego pedzia, który nie wykupił naszej polisy. Nie tylko stracisz pracę, ale ten twój lichy dyplom nie pozwoli ci znaleźć nowej. Wiesz dlaczego? Ponieważ zrobię wszystko, żeby nikt, absolutnie nikt, cię nie zatrudnił, nie tylko jako strażaka, ale nawet jako kominiarza.

Braxton pokazał białe zęby w drapieżnym uśmiechu, po czym dodał, patrząc zimnym kamiennym wzrokiem:

– Myślisz, że uda ci się to zapamiętać, synu?

– Tak, sir.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Waszyngton

R.J. Tully wymacał małą kasetę w kieszeni prochowca. Kobieta z kamerą oddała mu ją zbyt chętnie. Zaproponowała nawet, żeby obejrzał nagranie w siedzibie stacji.

Teraz, gdy patrzył na ciało leżące obok pojemnika na śmieci, wątpił, żeby było wiele do oglądania. Morderca wykonał brudną robotę, nim podłożył ogień. Tully nie potrzebował opinii ekspertów, żeby wskazać ślad ciągnący się wzdłuż budynku. Ceglana ściana poczerniała i wciąż czuło się zapach benzyny.

Sądząc z tego i czasu drugiego wybuchu, oba pożary zostały dokładnie zaplanowane. Prawdopodobnie sprawcy już od dawna tam nie ma. Może ogląda swoje dzieło w telewizji, w domowym cieple, ten sam materiał, który Tully miał teraz w kieszeni. Instynkt nie dawał jednak agentowi spokoju. Wciąż wierzył, że podpalacz tam jest i obserwuje wszystko z satysfakcją.

– Nie możemy zakładać, że ofiara ma coś wspólnego z tym budynkiem.

Naprawdę? – chciał powiedzieć, ale milczał.

Poznał Brada Ivana, śledczego z Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych, w skrócie ATF, dopiero w zeszłym tygodniu, ale talent tego człowieka

do oczywistych stwierdzeń już zaczął działać mu na nerwy. Na domiar złego Ivan miał irytujący nosowy głos. A gdy popadał w zamyślenie, dolnymi zębami przygryzał górną wargę, która prawie znikała z widoku. Ten nerwowy tik upodabniał go do żującego konia.

– Nie sądzę, żeby tutaj dokonał zabójstwa – zauważyła Racine, a mężczyźni przenieśli na nią wzrok. Dopiero po chwili do niej dotarło, że czekają na wyjaśnienie. Wskazała kciukiem za siebie. – Cały ten kwartał to hotel dla bezdomnych. Podobnie było w przypadku pożarów w zeszłym tygodniu. – Wprost trudno uwierzyć, że żaden z nich tego nie zauważył. – Po pierwsze ona nie jest bezdomna. – Pokazała na stopy kobiety. – Ma zrobiony pedikiur. Poza tym takie zmasakrowanie twarzy wymaga trochę czasu. Ktoś usłyszałby wrzaski albo by coś zobaczył.

– A nie słyszeliby, jak ktoś ciągnie i porzuca ciało? – spytał Ivan z ciężkim westchnieniem.

– Nie musiał jej ciągnąć. Wystarczy, że zaparkował samochód obok pojemnika na śmieci. Otworzył bagażnik, wyjął ciało i je tu rzucił. – Potarła dłonie. – To jakieś pięć do dziesięciu minut. Trudno coś zauważyć. Potem wsiadł i odjechał.

Tully skinął głową. W takich chwilach doceniał rozsądne teorie Racine. Ślamazarna analiza Ivana brzmiała przy tym fałszywie, tak samo jak i on wydawał się fałszywy. Czasami trzeba nazwać rzecz po imieniu, nawet po wszystkich możliwych testach, ocenach i badaniach.

Śledczy ATF wsparł brodę na dłoni – kolejny gest, który irytował Tully’ego – zaciśnięta pięść ze zgiętym palcem wskazującym tworzyła idealną podpórkę kwadratowej szczęki i brody z dołeczkiem. Milczał. Nawet nie kiwnął głową.

– Wysłałam już mundurowych, żeby pogadali ze stałymi bywalcami okolicy. – Julia nie czekała na ich zgodę. Agent wiedział, że zdanie Ivana ma za nic.

– Myślisz, że chętnie podzielą się informacjami? – spytał.

– Ci, którzy nie są zbyt nawaleni albo za bardzo nie odlecieli, na pewno coś powiedzą. To ich dom. Może to dziwne, ale im nie tak łatwo zmienić miejsce. Centrum zrobiło się potwornie zatłoczone. Tu w pobliżu znajduje się Biblioteka imienia Martina Luthera Kinga Jr. Obok zatrzymują się autobusy.

– Autobusy? – zdziwił się Ivan.

– Władze miasta wprowadziły darmowe przejazdy dla bezdomnych.

– Żartuje pani.

– Większość darmowych jadłodajni i biur opieki społecznej znajduje się nadal w centrum. Kiedy miasto przeniosło tu część schronisk, zorganizowano też komunikację autobusową, bo w tej okolicy nie można dostać darmowego posiłku.

– Więc bezdomni wracają tu na noc, a rano, kiedy chcą coś zjeść, jadą do centrum? – Tully pokręcił głową. Tylko w Waszyngtonie coś takiego miało sens. Przypomniał sobie, jak pomyślał, że zmarznie w prochowcu. Jak na luty było

ciepło, mimo to nie wyobrażał sobie, żeby spędzić noc na ulicy.

– Bezdomni muszą się napracować, żeby pozostać bezdomnymi, co? – Ivan się uśmiechnął.

Tully i Racine nie poszli za jego przykładem.

Śledczy ATF niczego nie zauważył i ciągnął:

– To w pewien sposób zaprzecza pani teorii. Skoro wszyscy śpią w schroniskach, nie usłyszeliby, co dzieje się w tym przejściu.

– Problem w tym – odparła niewzruszona – że ciągle brakuje łóżek. Niech pan się tu przejedzie o drugiej w nocy, a zobaczy pan, o czym mówię. Przecznicę dalej budują nowe schronisko, będzie gotowe dopiero za parę miesięcy.

– Słuchając pani, ucieszyłem się, że mieszkam w Wirginii – stwierdził Ivan. – Muszę iść się rozejrzeć. Nie będę wam dłużej przeszkadzał w pracy.

Zainteresowanie śledczego ATF ograniczało się do pożaru, do tego, jak powstał. Na tym polegała jego praca. Ofiary śmiertelne stanowiły wyłącznie kłopot, zwłaszcza takie, które nie miały związku ze spalonym budynkiem czy z ogniem. Takie ciała znajdowały się w kręgu zainteresowania Tully’ego i Racine.

Odwrócił się bez słowa i wolnym krokiem ostrożnie oddalił się alejką.

Agent spojrzał na Julię. Wiedział, że zaraz przewróci oczami, a mimo to uśmiechnął się, kiedy to zrobiła.

– Wkurzający gość. Gdzie ATF go znalazło?

Zbliżyła się do ciała, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Tully włożył ochraniacze na buty i ruszył za nią. Z kieszeni wyjął lateksowe rękawiczki.

Kobieta leżała niczym porzucony worek śmieci, który nie zmieścił się w pojemniku. Ręce miała wciśnięte pod tułów, nogi założone jedna na drugą. Agent zastanowił się nad teorią Racine. Stężenie pośmiertne następuje od dwunastu do trzydziestu sześciu godzin po zgonie, ale większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że po trzydziestu sześciu godzinach ciało znów wiotczeje. Ta kobieta nie żyła od prawie dwóch dni. Julia miała rację. Niemożliwe, żeby przez ten czas nikt jej nie zauważył.

Podejrzewał, że morderca porzucił ciało tuż przed pierwszym pożarem. Podpalacze często ukrywają swoje zbrodnie w popiołach. Jeśli gość tak zamierzał postąpić, to strasznie schrzanił sprawę. Jak mógł zaplanować dwa pożary w dwóch różnych budynkach, a zapomnieć spalić ofiarę?

W tym momencie było to jednak najmniejsze zmartwienie Tully’ego. Zwłaszcza gdy dokładnie zobaczył, co morderca zrobił z czaszką. Nie dało się odgadnąć wieku kobiety. Twarz została tak zmasakrowana, że lewy oczodół oraz nos praktycznie przestały istnieć. W miejscu ust widniała czarna dziura z roztrzaskaną szczęką. Nie można było też określić koloru włosów, gdyż całą głowę pokrywała zaschnięta krew. Ubranie kobiety, brudne i zakrwawione, zachowało się w całości.

Czy miała szansę się bronić? – zastanowił się Tully.

– Pierwsze ciało – stwierdziła Racine. – W zeszłym tygodniu paliły się puste budynki. Myślisz, że przyspiesza? Czy raczej jest nieostrożny?

– Może nie wiedział o tym ciele?

Racine uniosła brwi.

– Sądzisz, że zrobił to ktoś inny? Nie podpalacz?

– Po prostu myślę. – Takie miał przeczucie, ale nie zdradziłby tego nikomu prócz Maggie. Morderca był o wiele bardziej brutalny niż ten, kto podkładał ogień.

– Więc co? Zabójcy trafia się, że porzuca ciało obok budynku, który staje w płomieniach? Zbyt duży zbieg okoliczności.

Tully wzruszył ramionami. Maggie powiedziałaby w tej chwili dokładnie to samo. Wciąż nie mógł uwierzyć, że nie oponowała, kiedy kazał jej iść do ratowników na badanie. Cieszyło go to, a jednocześnie się martwił. Odkąd znał ją, a znał od lat, tylko raz widział w jej oczach taką niepewność. Niepewność graniczącą ze strachem. Wówczas nie przyznała się do tego ani przed nim, ani przed nikim innym. Jak źle jest z nią teraz, skoro zgodziła się pojechać do szpitala?

Chciał wierzyć, że zrobiła to wyłącznie po to, żeby go uspokoić. Wiedział jednak, że to nieprawda. Niepokoiło go, że przyznała się do złego samopoczucia.

Od ponad roku nie pracowali razem. Od śmierci ich szefa, Kyle’a Cunninghama. Sprawa, która przyczyniła się do jego śmierci, była ich ostatnim wspólnym zadaniem. Szczerze mówiąc, Maggie zabroniono się nią zajmować po tym, jak

oboje z Cunninghamem zarazili się wirusem eboli. Wylądowała w izolatce USAMRIID w Fort Detrick. Wirus ebola zair nazywany jest także wymiataczem. Około dziewięćdziesięciu procent zakażonych umiera, a jedyną niewielką szansą na przeżycie jest podanie niezaakceptowanej dotąd oficjalnie szczepionki.

To, że Maggie przeżyła, wprawiło w zdumienie lekarzy i ekspertów z wojskowego instytutu badawczego. Od tamtej pory zastępca dyrektora Raymond Kunze, który zajął miejsce Cunninghama, zlecał Tully'emu i Maggie rozwiązywanie spraw niemożliwych do rozwiązania albo po prostu głupich. Mówił im przy tym bezczelnie, że muszą udowodnić swoją wartość.

Sytuacja zrobiła się idiotyczna. Oboje byli weteranami wśród agentów FBI. Oboje ciężką pracą zyskali opinię ekspertów od portretów psychologicznych przestępców. Kunze w ten głupi sposób demonstrował swoją władzę w wydziale, który darzył poprzedniego szefa ogromnym szacunkiem. Chyba nie potrafił funkcjonować w cieniu Cunninghama, więc postanowił pognębić agentów i postawić ich do pionu wedle własnych standardów.

Tully niezbyt poważał Kunzego. Uważał go za despotę bardziej zainteresowanego władzą i polityką niż rozwiązywaniem spraw i ściganiem kryminalistów. Nowy szef jeszcze stracił w jego oczach, kiedy ostatnia sprawa, jaką zlecił Maggie, zakończyła się niemal tragicznie. Agentka została potraktowana paralizatorem, porzucona w lesie i postrzelona w głowę. Wszystko dlatego, że

zastępca dyrektora chciał spłacić polityczny dług wdzięczności.

Tully zastanowił się teraz, co takiego kryje się w tej sprawie, że Kunze wysłał tu dwoje najlepszych specjalistów od portretów psychologicznych. Komu znów coś zawdzięczał albo kogo chciał zadowolić? Czy już w minionym tygodniu podejrzewał, że sprawa przybierze bardziej gwałtowny obrót?

– Hej, Tully, Racine! – zawołał Ivan, przerywając rozmyślania agenta. Machał do nich, stojąc na początku alejki. – Właśnie znaleźliśmy dla was drugiego trupa w budynku.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Maggie już żałowała swojej decyzji.

Pielęgniarka obejrzała jej rany i oczyściła, pomrukując z odpowiednią modulacją przy tych bardziej krwawych. Potem zostawiła pacjentkę, każąc jej trzymać z tyłu głowy sterylny ręcznik.

– Proszę go nie ruszać i nie patrzeć – ostrzegła i wyszła z gabinetu.

Gdy tylko pielęgniarka zniknęła z widoku, Maggie spojrzała na ręcznik. Był tak zakrwawiony, jakby ktoś wycierał nim kałuże krwi. Dotknęła ran, które czyściła pielęgniarka. Ta na karku wymagała szwów. Inne wydawały się mniej groźne. Wszystkie mocno krwawiły. Co niewiele znaczyło. Żadna z nich nie była warta wycieczki na oddział ratunkowy. Mężczyźnie siedzącemu wcześniej obok niej warga zwisała na brodę. On znalazł się tutaj nie bez powodu.

W poczekalni Maggie obserwowała towarzyszy niedoli, szukając wzrokiem śladów poparzenia, zwłaszcza na rękach. Czasami przestępcy popełniają błąd i kiedy zostają ranni, bez zastanowienia spieszą na oddział ratunkowy. Rany postrzałowe czy kłute wymagają policyjnego raportu, ale z poparzeń łatwo się wytłumaczyć. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy podpalacz siedzi na oddziale, gdy ogień, który podłożył, jeszcze nie wygasł.

Maggie zastanowiła się, czy nie wstać i nie wyjść z gabinetu, żeby przyjrzeć się znów pozostałym pacjentom. Przynajmniej nie marnowałaby czasu. Czy ktoś zauważyłby, gdyby wyszła? Panował nieopisany harmider. Zajęto się nią dosyć szybko, bo była agentką FBI. Uparła się tylko, żeby przed nią zaopiekowano się mężczyzną z rozerwaną wargą.

Przesunęła się na skraj stołu do badania, gotowa zeskoczyć, kiedy drzwi się otworzyły.

– Jestem doktor Dabu. Pani O'Dell, Margaret O'Dell?

Mężczyzna był niski, mówił z hinduskim akcentem i wyglądał zbyt młodo nawet jak na stażystę.

– Tak, a dokładnie Maggie.

Spojrzał na nią znad tabletu, a potem wrócił wzrokiem do ekranu, jakby sprawdzał, czy wszystko się zgadza.

– Wybuch, tak? – spytał przejęty jak uczestnik teleturnieju.

– Tak.

– Trzeba założyć szwy, tak?

Trzeba zbadać głowę, chciała mu powiedzieć, ale tylko skinęła.

Żal ścisnął jej żołądek. Zdała sobie sprawę, że teraz nie zdoła uniknąć badania psychologicznego, jakiego żądał od niej Kunze. Nie wiedziała, co gorsze – wysłuchiwanie żargonu psychoterapeuty, który bezmyślnie powtarza swoje, czy patrzenie na przerażoną i zatroskaną twarz R.J. Tully'ego.

Nie zwracała specjalnej uwagi na doktora Dabu, który przygotowywał się do założenia szwów. Poczuła na karku

ukłucie igły. Pielęgniarka wróciła do gabinetu i asystowała lekarzowi, a Maggie ignorowała ich rzadkie próby podjęcia rozmowy. Żadne z nich nie pytało o nieostre widzenie ani o pulsowanie w skroni. Czy wspomniała o którejś z tych rzeczy ratownikowi, który świecił jej w oczy małą latarką? Zadał serię pytań, ale żadnego z nich nie pamiętała, ani swoich odpowiedzi.

Jedyne, co pamiętała, to wyraz twarzy Tully'ego i panika w jego głosie, gdy rzekł: „Też tak sądzę".

Wszystko przez ten pożar, płomienie i gorąco. Za bardzo przypominało jej to chwilę, kiedy została postrzelona. Zamknęła oczy. Wszystko będzie dobrze. Potrzeba tylko czasu. Zawsze brakowało jej cierpliwości. Nie znosiła czuć się bezbronna, nie panować nad sytuacją. Ale żeby nie panować nad własnym ciałem...

Nikt nie musi wiedzieć, jak bardzo czuła się zdezorientowana na miejscu pożaru. Nikomu nie musi mówić o nieostrym widzeniu ani o zapachu, który wbił się w pamięć. Zapachu spalonego ciała, kiedy kula otarła się o głowę.

To było cztery miesiące temu. Pożar obudził wspomnienia. Wytrącił ją z równowagi. To wszystko. Ale to wystarczy, żeby Kunze uznał jej wizytę u psychologa za uzasadnioną.

Proszę bardzo. Niech do tego doprowadzi.

Niczego się nie dowie. Maggie miała dyplom z psychologii. Dokładnie wiedziała, czego będą szukać, i po prostu tego im nie powie.

W tym momencie poczuła igłę, którą lekarz wbijał w jej skórę. Miejscowe znieczulenie okazało się niewystarczające. Zacisnęła zęby i nie podnosiła powiek. Ten ból – kłucie przebijającej skórę igły, przeciąganie nici chirurgicznej – był niczym. Chciała, żeby to wszystko się skończyło. Chciała wrócić na miejsce zbrodni. To tylko chwilowa przerwa w pracy.

Kiedy lekarz skończył zakładanie szwów, bez słowa wyszedł z gabinetu. Pielęgniarka oznajmiła Maggie, że musi przynieść jakieś papiery do podpisu, i także wyszła. Zaraz potem drzwi gabinetu znów się otworzyły.

Benjamin Platt był w mundurze, pod pachą trzymał czapkę, wyglądał jak żołnierz, który przynosi złe wieści. Wyraz jego twarzy także nie zapowiadał nic dobrego. Ściągnął brwi z troską.

– Jak się czujesz? – spytał niemal szeptem.

– Nie do wiary, że Tully do ciebie zadzwonił.

– To nie Tully.

– Racine?

– Szkoda, że nie zrobiłaś tego sama.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– To nic niezwykłego – powiedział im Stan Wenhoff, główny koroner w mieście.

Tully patrzył na sczerniałą czaszkę. Nie wyglądało na to, żeby pod stertą gruzu znajdowało się ciało. Ostrożnie zbliżył się kilka kroków. Było coś takiego w tym miejscu, że prawie spodziewał się, iż podłoga – a raczej to, co z niej pozostało – wypali mu dziury w ochronnym obuwiu i w podeszwach butów.

W powietrzu wciąż wisiała woń dymu i popiołu. Woda i piana skapywały z resztek krokwi. Tully żałował, że nie włożył czapki bejsbolówki. Stan przyniósł parasol i wyglądał śmiesznie, jak angielski dżentelmen, który właśnie wrócił z przechadzki po wiejskich ścieżkach. Oczywiście gdyby angielscy dżentelmeni nosili kombinezony ochronne.

Coś twardego i mokrego spadło na kark agenta. Chwycił to i odrzucił, wywołując grymas niezadowolenia Ivana i szefa straży pożarnej, którzy przerwali własną inspekcję, żeby usłyszeć, co Stan ma do powiedzenia na temat ich ostatniego „nie tak niezwykłego” odkrycia.

Czaszka sprawiała wrażenie, jakby ktoś wziął do ręki kamień wielkości pięści i uderzył nim w czubek głowy, wybijając w niej dziurę. Technicy z ekipy dochodzeniowej straży pożarnej właśnie zaczęli zagrabiać tlące się śmieci na betonowej podłodze. Później dokładnie je przejrzą.

– Proszę pomyśleć o czaszce jak o szczelnie zamkniętym pojemniku – wyjaśniał Stan swoim słuchaczom, ignorując krople spadające na parasolkę. – Jak o ceramicznym dzbanku wypełnionym płynem. Jak się go podgrzeje, płyn wkrótce zaczyna wrzeć. Wytwarza się ciśnienie.

W chwili gdy Tully wyobraził sobie pękający z hukiem dzbanek, Stan zakończył obrazowe porównanie i dodał:

– Wrząca krew, mózg i tkanka napierają i nie mają ujścia. Czaszka eksploduje. Dosłownie rozpada się na kawałki. Może nawet dojść do oderwania głowy od reszty ciała.

– Temperatura ognia była bardzo wysoka – przyznał szef straży. – Od ośmiuset stopni w górę. To by się nie zdarzyło, gdyby sobie czymś nie pomógł. Zdecydowanie czegoś użył. Mogła to być reakcja chemiczna. Zaczęło się przy tylnych drzwiach. A dokładnie za tylnymi drzwiami.

Wszyscy nadal patrzyli na śmieci i gruz, jakby spodziewali się zobaczyć kolejne kości, tak jak patrzy się na rysunkowe zagadki, szukając ukrytych przedmiotów.

– Bardzo wysoka temperatura doprowadza też do wrzenia krwi w kościach – rzekł Stan. – Powstaje takie samo ciśnienie jak w czaszce. Powoduje to łamanie się i rozrywanie kości. Kawałki kości mogą zostać rozrzucone dokoła.

Wszyscy zaczęli się rozglądać.

– Są tu wyższe piętra – zauważył Ivan. – Czy jest możliwe, że reszta ciała gdzieś tam leży?

Jakby na sygnał wszystkie głowy się uniosły w stronę osmalonych kapiących wodą krokwi.

– Szefie – wtrącił jeden z techników. Dał znak palcem, że idzie na górę. Kiedy się odwrócił, dodał: – Proszę dać moim ludziom czas, żeby to przeszukali. Odpowiemy wam, ale proszę pamiętać, że mamy dwa miejsca pożaru. – Z tymi słowy ich opuścił.

Ivan ruszył za nim z uniesioną wciąż głową, jakby oczekiwał, że fragmenty zwłok spadną z piętra wyżej.

– Jakie są szanse na zidentyfikowanie tej... – Racine urwała, szukając słów, a mówiła o czaszce. – Tej ofiary?

Stan odłożył parasol, sięgnął do kieszeni kombinezonu ochronnego i wyjął parę lateksowych rękawiczek.

– Zęby nie ulegają spaleniu. Mogą się złamać czy zniszczyć na skutek ciśnienia. – Podniósł czaszkę i dokładnie przyjrzał się szczęce. – No, to niezwykłe. – Obrócił czaszkę, żeby lepiej zajrzeć do środka. Czubkiem palca starł sadzę.

– Co jest? – spytała Julia.

– Musi to zbadać lekarz od kości. Moim zdaniem zęby zostały roztrzaskane .

– Ogień nie mógł tego zrobić?

– Nie. Nic mi o tym nie wiadomo. – Stan przyglądał się górnej części czaszki i pokazał im dziurę na czubku. – Zwykle, kiedy czaszka eksploduje pod wpływem ciśnienia, rozpada się. To trochę dziwne, że tu powstała taka spora dziura, a czaszka nie połamała się na kawałki. Chyba że została rozbita wcześniej.

– Co to znaczy? – chciał wiedzieć Tully. – Że ktoś uderzył ofiarę w czubek głowy i roztrzaskał jej zęby, zanim wybuchł

pożar?

– Niewykluczone.

Tully i Racine wymienili spojrzenia, co nie uszło uwagi Stana.

– O co chodzi? – spytał.

– Ta ofiara obok pojemnika na śmieci miała roztrzaskaną twarz.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

To skomplikowane. To właśnie Maggie chciała powiedzieć Benowi.

W ciągu roku Benjamin Platt z lekarza Maggie stał się przyjacielem, a nawet... kim? Kim oni właściwie dla siebie byli?

Mój chłopak, moja dziewczyna – tak mówiliby o sobie w czasach studenckich. Choć zdarzyło im się mieszkać w jednym hotelowym pokoju – i raz spać w jednym łóżku – a także dzielić się bardzo intymnymi myślami i prowadzić bardzo intymne rozmowy, nie byli kochankami. Jeszcze nie.

W chwili gdy oboje przyznali, że chcieliby czegoś więcej, on to udaremnił. Wystarczyło, by wspomniał o dzieciach, i Maggie zaczęła się wycofywać.

Ali, jedyna córka Bena, zmarła przed pięciu laty. Ta śmierć doprowadziła do rozpadu jego małżeństwa, to przez nią całą energię skupił na pracy. Po rozwodzie Maggie także szukała zapomnienia w pracy. Ale Ben wciąż cierpiał po stracie córki. Pragnął dziecka, które pomogłoby mu pozbyć się tego bólu, a znów Maggie broniła się przed kolejną potencjalną stratą. Samotność wydawała się bezpieczniejsza niż silne uczucie.

Tak, to było skomplikowane.

Mimo to ucieszyła się na widok Bena. Czemu mu tego nie powiedziała? Nadal pozostawał przyjacielem.

Częściowo dlatego, że znów traktował ją jak lekarz, gdy tylko przekroczył próg gabinetu zabiegowego.

– Ryzyko zawodowe – rzekł, kiedy zauważył zniecierpliwienie Maggie jego ciągłymi pytaniami. Potem podjął: – Straciłaś przytomność? Widziałaś jak przez mgłę? Kręciło ci się w głowie?

– Nic mi nie jest. – Maggie znacząco uniosła ręce. – Tully uparł się, żebym tu przyjechała. To wszystko.

Wmówiła sobie, że powrót do relacji lekarz – pacjent to wystarczający powód, by nie mówić o pulsującym bólu głowy i silnych lekach przeciwbólowych, które łyka od miesięcy.

Doktor Platt był jej lekarzem w USAMRIID, kiedy Maggie zaraziła się wirusem eboli. Leżała w izolatce. Porozumiewała się wyłącznie przez grubą na dwa i pół centymetra ścianę ze szkła. Nikt nie mógł jej dotknąć, nie włożywszy wcześniej niebieskiego kosmicznego skafandra ochronnego. Rozmowy z Benem pomagały jej nie wpadać w panikę, nie sięgać w głąb siebie zbyt daleko. Kiedy odkryli, że oboje lubią klasykę filmową, lekarz przez szklaną ścianę izolatki przenosił ją do innego świata. Pokazał, jak uciec od rzeczywistości, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach.

Doktor Benjamin Platt – pułkownik, naukowiec, lekarz – był jednym z najsilniejszych, najlepszych mężczyzn, jakich znała. Czasem, gdy na nią patrzył, odnosiła wrażenie, że widzi tak wiele, iż z pewnością zagląda w głąb jej duszy. Rozumiał ją, czasami lepiej, niż ona siebie rozumiała. Przez

kilka minionych miesięcy wzbudził w niej uczucia, które ją śmiertelnie przeraziły.

Zaproponował, że zawiezie ją do domu. Samochód Maggie został na miejscu pożaru, więc poprosiła, żeby ją tam podrzucił. Poza wszystkim chciała wrócić do śledztwa. Nie zamierzała dać Kunzemu więcej argumentów, których mógłby użyć przeciw niej, niż ta krótka wycieczka na oddział ratunkowy.

Ben zasugerował, żeby najpierw zjedli śniadanie. Nie pozwalając mu znów wejść w rolę lekarza, wtrąciła:

– Na pewno masz czas? Jesteś tak ubrany, jakbyś miał coś ważnego do załatwienia.

Chciała rozładować atmosferę i omal nie dodała: „Kto zmarł?”. Ucieszyła się jednak, że tego nie zrobiła, gdy odparł, że później wybiera się na pogrzeb. Kolejny żołnierz, kolejny towarzysz broni wrócił do domu w pudle.

Nie wiedziała, skąd Ben czerpie siłę i skąd u niego to pozytywne myślenie, skoro śmierć wciąż mu towarzyszy. Kiedyś mu to nawet powiedziała, na co odparł, że ona budzi w nim podobne pytania.

– Ale moi zmarli to przeważnie obcy – stwierdziła. Co nie było do końca prawdą. Gdy zamykała sprawę o morderstwo, często wiedziała o ofierze więcej niż najbliższa rodzina. Czasami zdarzało się, że znała zamordowaną osobę. Zawsze wiedziała dużo więcej na temat zabójców, niż chciałaby wiedzieć.

Maggie wybrała McDonalda przy zjeździe z międzystanowej. Pozwoliła Benowi zamówić, a sama

znalazła stolik w rogu sali, gdzie usiadła tyłem do ściany. To był jej stary zwyczaj, wewnętrzny przymus, z którego zdała sobie sprawę dopiero wówczas, gdy zaczęła jadać z Benem w restauracjach. Miał podobne przyzwyczajenie – za pierwszym razem, gdy sobie to uświadomili, długo się śmiali. Oboje chcieli siedzieć tak, by widzieć drzwi i żeby nikt nie zaskoczył ich od tyłu.

Tworzyli niezłą parę: kobieta, która w każdym rogu oczekuje mordercy, i żołnierz, który wszędzie szuka granatów albo zamachowców samobójców. A jednak te podobieństwa wydały się Maggie zaskakująco miłe. Nigdy wcześniej nie znała mężczyzny, który tak dobrze ją rozumiał, a co więcej – który ją akceptował. Akceptował wszystkie szaleństwa, które się na nią składały. Tego ranka jednak panowała między nimi cisza. Ben był zawiedziony, że od razu, w pierwszym odruchu do niego nie zadzwoniła, a Maggie to wiedziała.

Wyjaśnienia niczego by nie załatwiły. Znał powód, a nawet niechętnie go akceptował. To nie znaczy, że musiało mu się to podobać. Bycie samotnikiem i bycie samemu to dwie różne rzeczy. Maggie od rozwodu żyła sama, ale od dwunastego roku życia była samotniczką. Już wtedy nauczyła się liczyć tylko na siebie. Kiedy na nikogo nie liczysz, nikt cię nie zawiedzie. A co ważniejsze, nikt cię nie zrani.

Patrzyła na Bena, który stał w kolejce po drugiej stronie sali. Był cholernie przystojny. Rozejrzała się i zauważyła, że kobiety na niego zerkają. Poruszał się z niezwykłą gracją,

zawsze wyprostowany, z uniesioną głową, patrząc w skupieniu, świadomy otoczenia.

Racine mówiła, że jest zbyt „wypucowany”, ale pracując z Benem przy sprawie zatrucia w szkole ostatniej jesieni, nawet ona nabrała dla niego szacunku. W mundurze wyglądał sztywno i układnie. Maggie dość często widywała go bez munduru i wiedziała, że ten człowiek doskonale wie, kim jest i co sobie ceni, i nie potrzebuje do tego munduru ani w ogóle ubrania.

W tym momencie coś do niej dotarło. To było tak oczywiste. Ben nie uważał, że Maggie zadzwoni do niego z grzeczności czy obowiązku. Miał nadzieję, że zrobi to sama z siebie. Instynktownie, bez namysłu. No tak, to jasne.

Czemu więc tak się nie stało?

Czy po prostu nie potrafi dopuścić nikogo tak blisko?

Zobaczyła, że wpuścił do kolejki kobietę z małą dziewczynką. Widziała, jak uśmiechnął się do dziewczynki. Matka chyba kazała córce podziękować, tak to przynajmniej wyglądało.

Nawet z tej odległości Maggie widziała smutek na twarzy Bena. To właśnie dzieliło ich najbardziej, jak gruby klin. Oboje mieli rany z przeszłości, ale nigdy nie zdołałaby zapełnić pustki, jaką śmierć córki zostawiła w jego sercu.

Po raz pierwszy Maggie uświadomiła sobie, dlaczego tak naprawdę nie zadzwoniła do Bena. Zamiast się z nim rozstać, odsuwała go od siebie. Nagle to odkrycie sprawiło, że poczuła potworny smutek i pustkę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Patrick rozpakował resztę zakupów, które zrobił, wracając z rozmowy u szefa. Przynajmniej nie został zawieszony w obowiązkach. Pracował od ukończenia piętnastego roku życia. Stale brakowało pieniędzy, ale on zawsze przykładał się do pracy i płacił za swoje utrzymanie. Obiecał sobie, nie – przysiągł – że nie wykorzysta szlachetnego gestu Maggie.

Stał naprzeciw otwartych szafek w kuchni, zastanawiając się, co gdzie schować. Maggie utrzymywała czystość i porządek, ale wyglądało na to, że wiele nie gotuje. Patrick gotował, odkąd skończył dziesięć lat. Podczas studiów w college'u był strażakiem ochotnikiem w jednostce tuż za New Haven, w stanie Connecticut. Strażacy byli znakomitymi kucharzami i Patrick nauczył się eksperymentować i improwizować. Miał w repertuarze wszystko, poczynając od chateaubrianda po piekielnie ostrą jambalayę. Tego wieczoru zamierzał przygotować obsmażane na patelni muszle świętego Jakuba z pilawem, sałatkę z młodych zielonych warzyw i brzoskwiniowo-malinowy kruchy placek na deser. Miał nadzieję, że w Maggie nie wzbudzi to żadnych podejrzeń.

Maggie dała mu jasno do zrozumienia, że nie akceptuje jego pracy w prywatnej straży pożarnej. Jakby praca w państwowej straży była bardziej etyczna! Musiał przyznać, że słuchała jego argumentów, a nawet wiele razy powstrzymała się przed komentarzem, choć widział, jak się

krzywiła i zaciskała zęby. Jako pracownik państwowy Maggie uważała, że nie powinno się decydować o tym, kogo ratować, a kogo nie, na podstawie zasobności kieszeni poszkodowanego.

– Chcesz powiedzieć, że nie zatrzymałbyś się i nie pomógłbyś ugasić pożaru, bo właściciel domu nie kupił waszej polisy ubezpieczeniowej? Przejechałbyś obok z całym specjalistycznym sprzętem? Naprawdę byłbyś do tego zdolny?

– To nie ja decyduję – argumentował. Tłumaczył, że gdyby nie opłacili go właściciele polis, nie mijałby tego domu. Nawet dla niego brzmiało to trochę nielogicznie, ale takie rzeczy wbijano mu do głowy podczas szkolenia.

Taka właśnie historia przydarzyła się Patrickowi podczas ostatniego zadania. Palił się nie jeden dom, ale dziesiątki. Pożar rozprzestrzeniał się jak płyn rozlewający się na trawie. Wysłano ich, żeby chronili właścicieli polis mieszkających dobre kilkanaście kilometrów od ognia. Spędzili dzień, czyszcząc rynny, usuwając z podwórzy łatwopalne przedmioty, polewając domy i ich bezpośrednie otoczenie środkami utrudniającymi palenie i pomagając w ewakuacji. Kiedy skończyli, pozostało im tylko siedzieć i czekać, kiedy albo czy w ogóle ogień się zbliży.

A zatem Patrick i jego partner Wes Harper wrócili do bazy. Żeby zawrócić, musieli objechać strefę ognia. Tego dnia dowodził Patrick. Zmiana na tym stanowisku uczyła pewności siebie, odpowiedzialności i poczucia sprawiedliwości. Nie można zawieść partnera, bo nazajutrz

on zawiedzie ciebie. Podczas szkolenia tłumaczono to trochę inaczej, ale taka była główna idea. I tak właśnie się stało. To Patrick podjął decyzję, że zatrzymają się i pomogą gasić pożar. A następnego dnia to Wes postanowił sypnąć Patricka.

Harvey, biały labrador Maggie, popiskiwał i patrzył znacząco, choć Patrick napełnił już obie psie miski. Wtedy Patrick zdał sobie sprawę, że Jake nie wrócił z podwórza. Potem przypomniał sobie, co poprzedniego dnia mówiła Maggie. Jake miał zwyczaj uciekać, a sąsiad się na niego skarżył. Teraz, gdy Patrick o tym pomyślał, przypomniał sobie także, że sąsiad nie skarżył się na psa, lecz mu groził.

Nietrudno to zrozumieć. Duży owczarek niemiecki wyglądał groźnie. Z krótkiego wyjaśnienia Maggie, która przywiozła go z Nebraski, wynikało, że Jake nie tylko straszy wyglądem, ale może być niebezpieczny. Oczywiście, szaleńczo przywiązał się do Maggie. A ona do niego. Tego ranka wpadła w panikę, kiedy jej się zdawało, że Jake podkopał się i uciekł.

Patrick poczuł ucisk w żołądku. Jak mógł spuścić psa z oka po wszystkim, co Maggie dla niego zrobiła? Zostawił szafki otwarte, chwycił smycz i kurtkę i wybiegł tylnymi drzwiami.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Maggie wróciła na miejsce pożaru w chwili, gdy Tully i Racine wychodzili zza zniszczonej ściany, tam gdzie doszło do drugiego wybuchu. Prawie żałowała, że jeszcze tam są. Zrobiłaby wszystko, byle uniknąć ich zatroskanych spojrzeń. Wcześniej Tully zadzwonił do niej z pytaniem, co się z nią dzieje, chciał odebrać ją ze szpitala i zawieźć do domu. Maggie odmówiła. Powiedziała, że już do nich jedzie, a mimo to ci dwoje wydawali się zdumieni jej widokiem.

– Tylko parę szwów – oznajmiła, nie dając im szansy zapytać. Powiedziała to, nie zatrzymując się, tonem, który zamykał temat. – A co się tutaj działo?

Racine przekazała jej szczegóły na temat ciała znalezionego obok pojemnika na śmieci, w tym teorię, że zabójstwa dokonano gdzie indziej.

– Ludzie Stana zapakowali ją i zabrali – dodała Racine. – Obiecał, że osobiście z samego rana dokona autopsji.

– Możliwe, że to bezdomna? – spytała Maggie.

Racine potrząsnęła głową.

– Jej stopy były odkryte. Wyglądały, jakby miała pedikiur zrobiony w salonie.

– Odnaleźliśmy resztki kartonu – dodał Tully. – Ganza tam jest i szuka śladów.

Keith Ganza był szefem laboratorium kryminalistycznego FBI. Maggie zastanowiła się, co takiego uzasadniało jego obecność, przecież wystarczyłby jeden z techników

kryminalistycznych. Keith, tak jak Kunze, uwikłał się w politykę, do której Maggie czuła odrazę. Dwukrotnie w ciągu minionego roku z tego powodu omal nie straciła życia. Miała nadzieję, że Ganza znalazł się na miejscu zbrodni z własnej woli. Był naprawdę dobry. Lubiła z nim pracować. Jeżeli w tych śmieciach znajdowała się jakaś odpowiedź, Keith ją znajdzie.

– Wysłałam mundurowych, żeby pogadali z miejscowymi – podjęła Racine. – Sprawdzą samochody dostawcze i taksówkarzy. Może szczęście nam dopisze i któryś z nich coś widział.

Maggie zatrzymała się przed wyrwą w ścianie, zza której Tully i Racine dopiero co wyszli. Udała, że nie przeszkadza jej zapach spalenizny. Dlaczego sądziła, że zniknie? Przecież wiedziała, że to niemożliwe. Wciąż zdumiewała ją mimowolna reakcja ciała na tę woń. Przyłapała się na tym, że chce wstrzymać oddech, gdy odór spalenizny dotarł do gardła i płuc. Nawet w ustach czuła smak zwęglonych szczątków, jak smak zbyt mocno przypieczonego steku.

Nie myśl o tym, powiedziała sobie.

Tully trzymał palce na suwaku kombinezonu ochronnego, jakby czekał na sygnał Maggie, że wchodzą znów do środka.

Wtedy właśnie przyszło jej do głowy, że wcale nie musi tam wchodzić. Czego mogłaby się dowiedzieć, skoro Racine i Tully nic tam nie znaleźli? Uspokoiła się. Upieranie się przy wejściu w te ruiny byłoby przesadą.

Zauważyła, że strażacy wciąż zgarniają i przeszukują popioły i śmieci.

– Są jakieś ślady wskazujące na detonator czasowy? – spytała, nie ruszając się nawet.

Tully potrząsnął głową.

– Na razie nie.

– Szef straży uważa, że znaleźli miejsce, gdzie wszystko się zaczęło, na zewnątrz pierwszego budynku – odezwała się Julia. – Na podstawie intensywności i temperatury ognia wstępnie zgaduje, że to jakaś reakcja chemiczna. Powiedział, że wyglądało to podobnie jak w zeszłym tygodniu.

– W przejściu od frontu budynku do pojemnika na śmieci rozlano benzynę – dodał Tully. – Wzdłuż ceglanego muru. Na ścianie został wypalony ślad, ale dalej się to nie przeniosło.

– Więc nie zaczęło się od tego przejścia?

– Nawet nie w pobliżu. Ktoś rozlał benzynę później. I zrobił to kiepsko.

– Morderca nie próbował nawet spalić ciała?

Tully wzruszył ramionami.

– Jeśli miał taki zamiar, schrzanił sprawę. Gość podpala dwa budynki, ale ogień nie tyka jego ofiary. To bez sensu.

– Aha, w budynku było drugie ciało – rzuciła Racine jakby od niechcenia. – A w każdym razie głowa. Reszty ciała jeszcze nie znaleziono.

– Stan mówił coś o ciśnieniu wewnątrzczaszkowym, które pod wpływem wysokiej temperatury tak wzrasta, że może

oderwać głowę od tułowia.

– Taa. – Julia przewróciła oczami. – Określenie skok ciśnienia nabiera nowego znaczenia.

– Tyle że czaszka ma dziurę wielkości pięści, jakby ktoś ją czymś rąbnął. – Tully pokazał pięść.

– Myślisz, że podpalacz zabił też tę drugą osobę? Ale dlaczego zostawił jedno ciało obok pojemnika na śmieci?

– Może ten wewnątrz to jakiś palant, który tu nocował. Bezdomny, który zobaczył podpalacza. – Racine wzruszyła ramionami.

Prawdę mówiąc, nie byli w stanie odpowiedzieć na żadne z tych pytań, dopóki nie dowiedzą się czegoś na podstawie dowodów albo nie poznają tożsamości ofiar.

Telefon Maggie zaczął dzwonić. Wyjęła go i już zamierzała przełączyć na pocztę głosową, kiedy zobaczyła, kto dzwoni. Rzuciła Tully'emu spojrzenie.

– Powiedziałeś Gwen?

– Nie rozmawiałem z Gwen od północy.

– Racine?

– Nie mam Gwen Patterson na liście szybkiego wybierania.

– Ale Bena masz?

Racine szeroko otworzyła oczy. Odwróciła głowę i uniosła ręce. Nie zaprzeczyła.

W końcu Maggie odebrała.

– Cześć, Gwen.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Mam parę szwów. Skąd się dowiedziałaś?

– Oglądam wiadomości. Pokazywali pożar. I ciebie, jak próbujesz zabrać kamerę jakiejś ekipie telewizyjnej.

– Pokazali to w wiadomościach? – Maggie zerknęła na Tully’ego. Wyjął małą plastikową kasetę z kieszeni.

– Kiedy ich o coś prosiłaś, w budynku za twoimi plecami nastąpił wybuch. Powiedzieli, że zawieźli cię do szpitala. Na pewno nic ci nie jest? Czemu dowiaduję się tego z telewizji? A może mam czekać na program Jeffery’ego Cole’a, który dziś wieczorem przedstawi twój portret?

– Mój portret?

– Godzinny program. Albo go zaintrygowałaś, albo poważnie wkurzyłaś.

Telefon dał sygnał, że kolejna osoba próbuje się do niej dodzwonić.

– Mam drugą rozmowę, Gwen. Pogadamy później.

– Na pewno nic ci nie jest?

Zawahała się dość długo, by Gwen dodała:

– Uważaj na siebie, proszę.

Maggie odebrała, nie patrząc, kto dzwoni.

– O’Dell, słucham?

– Właśnie usłyszałem, co się stało.

To był jej szef. Zastępca dyrektora Raymond Kunze nie wydawał się zły. Gorzej – wydawał się zatroskany.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Nie wspomniałeś mi słowem o tym portrecie.

Samantha Ramirez krążyła po niewielkim studio montażowym. Ich materiał na temat pożaru znalazł się w wiadomościach w całym kraju.

– Big Macowi bardzo się to podoba – powiedział Jeffery, siedząc obok montażysty Abe Nadiry, który długimi palcami stukał w klawiaturę komputera, jakby to był instrument muzyczny.

Mówił o Donaldzie Malcolmie, szefie biura, który przejął sprawy programowe, gdy w zeszłym roku ich notowania spadły.

Jeffery rzekł do Nadiry:

– Możesz pogrzebać w materiałach naszych oddziałów i je wykorzystać, prawda?

– Tak, a także w źródłach agencyjnych.

– Jeffery, federalni są wściekli, że nie dałam im filmu z dzisiejszego rana. Naprawdę chcesz, żeby agentka FBI ci kibicowała?

– Ona już się we mnie zakochała, Sam. Widziałaś przecież. Podnieca się na sam mój widok.

– Nie, jakoś nie zauważyłam.

Przetarła twarz. Była zmęczona. Chciała jechać do domu. Jej ubranie i włosy – do diabła, pewnie też skóra – śmierdziały dymem. Jeffery wziął prysznic i przebrał się.

Trzymał w szafce w biurze zapasowe spodnie i koszule, wszystkie nieskazitelnie wyprasowane.

Jeśli chodzi o wygląd, był cholernym pedantem. Pewnie miało to związek z tym, że wciąż stał przed kamerą. Nawet w krajach Trzeciego Świata nosił spodnie z kantem i nie zapominał o żelu do włosów. Prawdę mówiąc, Sam bardzo się zdziwiła, kiedy tego ranka pokazał się z brązową plamą na mankiecie koszuli. Gdy o tym wspomniała, wzruszył ramionami, ale zauważyła, że schował mankiet pod rękawem kurtki.

Samantha otrzepała nogawki dżinsów ubrudzonych trawą i popiołem, choć tak naprawdę miała ochotę wrzucić je do pralki. Żałowała, że zdjęła czapkę z daszkiem. Niesforne loki opadały wokół twarzy, wijące się kosmyki pachniały jak spalone tosty. Nie miałaby za złe Nadirze, gdyby wyrzucił ją ze studia montażowego, ale podniecenie Jeffery'ego było zaraźliwe. Chociaż jeśli chodzi o montażystę, trudno coś powiedzieć. Stale wyglądał na znudzonego. Jego wargi zawsze tworzyły cienką prostą linię. Guzowata ogolona głowa pozostawała nieruchoma, za to oczy do połowy zasłonięte powiekami wędrowały z jednego monitora komputerowego na drugi, stojący w rzędzie, a były ich trzy rzędy, po pięć monitorów w każdym.

Prawdę mówiąc, żaden z mężczyzn nie zauważał jej obecności, mimo że chodziła tam i z powrotem za ich fotelami. Uwagę skupiali na obrazach na monitorze.

– A tak przy okazji – rzekł Jeffery, nie patrząc na Sam. – Świetnie się spisałaś, że zachowałaś film. Nawet mnie

zaskoczyli.

– Uczę się od najlepszych. – Matka powiedziałaby, że Diablo zaraził ją złem. – Od Afganistanu zawsze mam kasetę w zapasie.

Dwa lata temu, kiedy Jeffery zdołał ich ulokować z oddziałami armii amerykańskiej, Samantha zrobiła fantastyczne zdjęcia plemiennego sądu, który osądzał dwie wiejskie kobiety, matkę i córkę. Ich afgańscy sponsorzy nie byli zachwyceni. Rozgorzała poważna kłótnia, w czasie której operatorka wyczuła, co się szykuje. Po kryjomu wymieniła kasetę w kamerze na inną, którą miała w kieszeni. Kiedy jeden z Afgańczyków zażądał od niej filmu, otworzyła kamerę i niechętnie podała mu kasetę. Patrzyła na to, jak ją zniszczył, rozbijając kolbą.

Z materiału, jaki tam nakręcili, powstał film, który zdobywał nagrodę za nagrodą, ale też mieli pewność, że nigdy nie wrócą do Afganistanu.

– Więc co ostatecznie trafiło w ręce tego Dudleya Do-Right? – spytał Jeffery.

– Miałam kasetę z materiałem z zoo z zeszłego roku.

Obejrzał się na nią z uśmiechem.

– Lwy, tygrysy i niedźwiedzie? O rety. Co mu powiesz, jak tu wpadnie?

– Że to pomyłka. – Wzruszyła ramionami, rozkładając ręce. Dziennikarz rozpoznał w tym swój gest i kiwnął głową z jeszcze szerszym uśmiechem. – Zawsze powtarzasz, że lepiej prosić o wybaczenie niż o pozwolenie. Mówię ci, że uczę się od najlepszych.

– Aż mi stanął. – To był największy komplement Jeffery’ego.

Odwrócił się z powrotem do monitorów.

– Może pojedziesz na parę godzin do domu, Sam?

– Na pewno?

– Tak, zasłużyłaś na to. Zrobiłaś świetną robotę. Nie mamy nic aż do wywiadu.

Kiedy nadal się nie ruszyła, machnął do niej ręką.

– Idź, weź prysznic. Chyba nie chcesz śmierdzieć gorzej niż więzień. I zdrzemnij się trochę.

– Okej.

Chętnie chwilę odpocznie. Jeffery obudził ją tuż po północy. Spała tylko godzinę. Zaczynała to odczuwać. Cole nie spał dłużej od niej, a wyglądał na pełnego energii.

Samantha widziała już na monitorach jego najnowszą obsesję. Było za późno na radzenie, by dał sobie z tym spokój. Jak psu, który chwycił kość i trzyma ją w zębach. Coś jej jednak mówiło, że ta obsesja Jeffery’ego bardzo różni się od pozostałych. Mogła go wynieść na wyżyny albo złamać karierę. Traciłaby tylko czas, gdyby coś na ten temat wspomniała. Dobrze znała Cole’a i wiedziała, że i tak zrobi, co zechce.

Ruszyła do drzwi, zanim dziennikarz zmieni zdanie. Potrząsnęła głową, po raz ostatni zerkając na monitory, które jeden po drugim wypełniały się obrazami agentki Margaret O’Dell.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

– Nic mi nie jest – powiedziała Maggie do szefa, powtarzając to jak mantrę. – Mam tylko parę szwów.

Tully spojrzał jej w oczy i ściągnął brwi. Racine się cofnęła. Okej, więc nie jest przekonująca.

– Podobno pojechała pani na oddział ratunkowy. Dobrze się pani czuje?

Czy on też oglądał wiadomości? Mówił ze szczerą troską, więc nie, pewnie o niczym nie słyszał.

– Jeżeli to zadanie jest zbyt... – urwał, jakby szukał właściwego słowa. – Jeśli jest za trudne w obecnych okolicznościach... – zawiesił głos.

To nie był typowy Kunze. Od ponad roku gromił ją, uprzykrzał życie i obrażał. Kilka razy Maggie rozważała przeniesienie się do Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, co sugerował jego zastępca dyrektora, Charlie Wurth. Pracowali razem przy kilku sprawach. Lubiła Wurtha, szanowała go i ufała mu, czego nie mogła powiedzieć o Kunzem.

Ale pod wieloma względami Departament Bezpieczeństwa Krajowego stałby się dla Maggie nowym początkiem. Pracowała długo i ciężko, walczyła nie tylko z zabójcami, żeby dostać się tu, gdzie teraz była. Od dawna już od niczego ani od nikogo nie uciekała i postanowiła, że teraz nie zacznie tego robić. Nie pozwoli, by Kunze się jej pozbył.

Od sprawy w Nebrasce z minionej jesieni wydawało się, że złagodził taktykę. Oszczędzał przeciwnika i powściągał krytycyzm. Gdyby Maggie nie wiedziała lepiej, przysięgłaby, że trochę złagodniał, nawet do tego stopnia, że jego głos brzmiał pojednawczo.

Teraz, gdy pozwoliła, by cisza w eterze trwała zbyt długo, spotkała się wzrokiem z Tullym. W jego oczach dostrzegła ten sam brak wiary, tę samą podejrzliwość co w głosie Kunzego. I zdała sobie sprawę, że z tym szefem nie będzie tak prosto ani łatwo. Na zaufanie trzeba zasłużyć. Kunze jeszcze nawet się do tego nie zbliżył. Natychmiast poczuła, że budzi się u niej czujność, tak jak wcześniej w przypadku Racine.

– Ta sprawa nie jest za trudna, dyrektorze – skłamała najlepiej jak umiała, choć wciąż przez gardło nie przechodziło jej słowo „sir”.

– To dobrze, miło mi to słyszeć. Moja praca polega także na tym, żeby zapewnić pani dobre warunki.

Maggie skrzywiła się i mocniej ścisnęła telefon, szykując się na uderzenie. Zrobił to dokładnie tak, jak się spodziewała. Ten sam stary Kunze.

– A więc, żeby mieć pewność, że nic pani nie jest, umówiłem panią na wizytę – oświadczył. – Chodzi o psychologiczną ocenę pani stanu, już o tym rozmawialiśmy. Pierwszą sesję ma pani jutro o czwartej po południu. Decyzję, jak częste będą te spotkania i jak długo potrwa terapia, zostawiam doktorowi Kernanowi.

– Doktorowi Kernanowi? Jamesowi Kernanowi?

– Zgadza się. Jeśli ma pani jakieś pytania, proszę zadzwonić do mojego biura.

Na linii znów zapadła cisza. Tyle że tym razem Kunze się rozłączył.

Był w tym dobry. Maggie musiała mu to przyznać. Nie przewidziała tego. No i jeszcze James Kernan. Kto by pomyślał, że stary dziad wciąż żyje. To może być gorsze, niż sobie wyobrażała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Wróciła. Był tym zaskoczony. Jeszcze bardziej zdziwiło go nagłe erotyczne podniecenie. Dawno już tego nie czuł.

Cały ranek obserwował śledczych wchodzących w wąskie przejście i wychodzących z niego. Rzadka przyjemność. Niezbyt często mu się to zdarzało. Ryzyko, jakie podjął, porzucając ciało, przynosiło owoce, których się nie spodziewał.

Żałował, że nie widzi, co wynoszą w brązowych papierowych torbach. Jak to możliwe, że jest tego tak dużo? Oczywiście zbierali dowody związane z pożarem. Przeszukali nawet dokładnie pojemnik na śmieci. Chciał podejść bliżej. Chciał widzieć wszystko, co się dzieje.

Jego ciekawość była nienasycona. To jeden z powodów, dla których nabrał tego zwyczaju. Właściwie przypominało to hobby. Chociaż dopiero niedawno zaczął notować pewne szczegóły, kiedy odkrył, jakie poczucie spełnienia daje mu przypominanie sobie tych zabójstw po wielu tygodniach.

W swoim rejestrze starał się zapisywać jak najwięcej smakowitych ciekawostek. O wiele łatwiej jest wprowadzać zmiany, kiedy można cofnąć się do tego, co już się wydarzyło, i raz jeszcze to przemyśleć. Czasami samo wspominanie było równie podniecające jak chwile, które wspominał.

No, może nie tak satysfakcjonujące. Ale uspokajało go w tych dniach czy tygodniach – czasami miesiącach – kiedy

wiedział, że czeka go posucha i nie wyruszy w trasę.

Właśnie tego ranka, kiedy znaleźli ciało obok śmietnika, wyjął swój dziennik i otworzył na stronie dotyczącej zabójstwa sprzed miesiąca. Przeczytał notatki, ucząc się na pamięć fragmentu, jakby to był wiersz albo psalm: „Zimna noc. Kiedy wypruwasz z ciała flaki, unosi się para. Krew jest taka ciepła na moich rękach”.

Prawdę mówiąc, brzmiało to jak poezja.

Dziennik pomagał mu się kontrolować. Uczył cierpliwości. Nawet teraz, pamiętając tamten obraz i przypominając sobie, co czuł, mając krew na rękach, uspokoił się. To wystarczyło, żeby powściągnąć ciekawość, która popychała go do lekkomyślnych czynów, byle tylko zdobyć więcej informacji. W końcu wiedział, jak bardzo może się zbliżyć do miejsca zbrodni, gdzie stanąć, gdzie się przemieścić, nie zwracając na siebie uwagi. Czasem zmieszanie się z tłumem też mogło wzbudzić podejrzenia, a on zawsze doskonale wyczuwał, gdzie jest ta granica, której nie wolno przekroczyć.

Obserwował alejkę, aż wyciągnęli stamtąd ciało. Interesująco wyglądało w tym worku, jak długi czarny kokon. Podobały mu się worki na ciała. Były o wiele lepsze niż worki na śmieci – mocniejsze, bardziej funkcjonalne. Zdecydowanie nie przeciekały. Z pewnością nie zabrudziłyby mu samochodu. Zastanawiał się, gdzie mógłby kupić taki worek, kiedy zobaczył, że ta policjantka znów się pojawiła.

Wcześniej widział, jak wsiadała do karetki. Uśmiechnął się, bo stał dość blisko, by dojrzeć jej twarz. Nie była zadowolona, kiedy ten wysoki gość w trenczu jej pomagał. Wydawała się zła, że wsiada do karetki.

Pewna siebie i uparta. Tak jak on. Buntowniczka. Bratnia dusza.

Tak, koniecznie musi się jej uważniej przyjrzeć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Tully’emu nie podobał się ten widok. Maggie wyglądała na zgnębioną, była blada, oczy miała szklane. Widział, że Racine także to zauważyła. Maggie twierdziła, że „łyknęła jakieś śniadanie z Plattem”. Że to on podwiózł ją na miejsce zbrodni. Tully także temu nie dawał wiary. Jak Benjamin Platt, pułkownik, lekarz, perfekcjonista i pedant, mógł uznać, że Maggie jest w stanie tutaj wrócić?

Potem jednak przypomniał sobie, że ona nikogo – nawet lekarza – nie słucha. Fakt, że wcześniej go posłuchała i pojechała do szpitala, to był jakiś fuks, chwilowy nagły spadek na skali uporu.

Obserwował ją, gdy rozmawiała z Kunzem. Widział, że Maggie czuje się jak w kolejce górskiej, z której szef po chwili wyrzuca ją na ziemię, z zawrotami głowy i ziejącą wściekłością. Prawdę mówiąc, wściekłość była już lepsza niż puste spojrzenie, które ją poprzedzało.

– Wiedziałaś, że ci nie odpuści – rzekł Tully. – W zeszłym roku mnie też do tego zmusił. Lepiej mieć to za sobą.

Mówiąc to, myślał, że Kunze nie mógł wybrać gorszego momentu. Maggie wciąż sprawiała wrażenie bezbronnej, a teraz jeszcze miała nowe rany. To był cios poniżej pasa.

Po śmierci zastępcy dyrektora Kyle’a Cunninghama Tully został tymczasowo zawieszony za to, że zastrzelił człowieka odpowiedzialnego za zarażenie Kyle’a i Maggie – a także setek innych – wirusem eboli. To on powinien działać

Kunzemu na nerwy. Zabójca, dawny rywal Tully'ego, właśnie jego chciał się pozbyć. Wysłał nawet specjalny liścik na dnie pudełka z pączkami, wiedząc, że stary przyjaciel ulegnie pokusie, zwłaszcza że pączki wysłano do biura w Quantico.

Ale tamtego ranka Tully'ego nie było w biurze. Raymond Kunze – który zajął miejsce Cunninghama – czuł się w obowiązku przypominać o tym przy każdej możliwej okazji. Jeśli tego właśnie chciał, proszę bardzo. Tully pragnął tylko, by szef zostawił w spokoju Maggie. On da sobie radę. Nie będzie jednak w stanie pomóc koleżance, bo ona mu na to nie pozwoli.

Gwen powiedziała, że oboje, i Tully'ego, i Maggie, nękają wyrzuty sumienia, ponieważ przeżyli. Sesje z terapeutą nie wymażą tego ze świadomości. Nawet Kunze musiał to rozumieć. To po prostu jedna z wielu form kary na długiej liście zastępcy dyrektora.

– James Kernan? – powtórzyła Maggie, wciąż wstrząśnięta poleceniem szefa. – Ten człowiek był już stary i pomylony, kiedy zaczynałam studia.

– Kunze wie, że może zaleźć ci za skórę. Nie pozwól na to.

– Kim jest James Kernan? – chciała wiedzieć Racine.

Wszyscy troje wracali w pobliże pojemnika na śmieci.

– Psychiatrą. Starej szkoły. Jego metoda analizy polega na wierceniu pacjentowi dziury w brzuchu, sztuczkach, podstępach i obrażaniu.

– Czy nie wszyscy psychiatrzy tak właśnie robią? Niektórzy są tylko trochę delikatniejsi.

– Ona ma rację – odparł Tully, myśląc o Gwen, która potrafiła sprawić, że nieświadomie przyznawał się do różnych rzeczy, a był jej kochankiem, nie pacjentem.

Wzniesione tego ranka barykady pozostały na miejscu. Technicy kryminalni i śledczy ze straży pożarnej wciąż pracowali w obu budynkach. Niewielkie grupy policjantów stały obok służbowych samochodów. Niektórzy pakowali worki z dowodami. Inni rozmawiali przez telefony komórkowe. Kilku zrobiło sobie przerwę na papierosa. Papierosowy dym tworzył chmurę, która Tully'emu za bardzo przypominała tę unoszącą się znad płomieni.

Keith Ganza stał obok bagażnika samochodu zaparkowanego na początku alejki. Był chyba gotowy do odjazdu, ubrany już po cywilnemu, z kombinezonem ochronnym zwiniętym pod pachą. Ładował szczelnie zamknięte brązowe papierowe torebki z jaskrawo czerwonymi naklejkami.

– Znalazłeś coś, co pomoże zidentyfikować ofiarę? – Tully wskazał na stertę torebek w samochodzie.

– Spytaj mnie jutro – odparł Ganza. – Teraz to tylko kupa zwęglonych albo osmalonych śmieci. Chyba mam dwa ocalałe kawałki materiału, które nadają się do badania. Ten człowiek wyraźnie rozlał tu benzynę. Drewno, tkanina, izolacja są bardzo chłonne. Chromatografia pozwoli na detekcję składu chemicznego tych węglowodorów.

Agent udawał, że rozumie specjalistyczny język, ale czuł się zmęczony. To był długi dzień, Tully wiedział, że widać to na jego twarzy.

– Czyli będziesz mógł nam powiedzieć, czym się posłużył, wzniecając pożar? – spytał.

– Jeżeli to benzyna, chromatografia jest tak dokładna, że powinienem rozróżnić markę i gatunek – odparł Ganza rzeczowo. – Każdy gatunek w badaniu ma inny obraz, zależnie od proporcji obecnych w nim składników. Rafinerie produkują benzynę według standardów CAFE, zgodnie z rozmaitymi regulacjami stanowymi i federalnymi.

– Chce pan powiedzieć, że będzie pan w stanie określić, gdzie benzyna była rafinowana, a nawet gdzie ją kupiono? – spytała Racine.

– W niektórych wypadkach wynik analizy jest tak dokładny, że potrafimy zidentyfikować stację benzynową. W jednym przypadku dotarliśmy do konkretnego samochodu.

– Pachnie jak diesel – powiedziała Maggie, obchodząc samochód Ganzy.

Tully wciągnął powietrze. Dla niego była to woń, jaką wydzielał jego piekarnik. Musi w końcu pozbyć się tej stwardniałej przypalonej mazi, która na dobre przykleiła się do blachy.

– Masz dobry nos – rzekł Ganza. – Jeśli to diesel, to by wyjaśniało, dlaczego ciało nie spłonęło. Diesel jest palny, ale nie łatwopalny. Wsiąka albo wyparowuje, zanim się zapali. To także nieco zawęża pole poszukiwania. W podupadłych częściach śródmieścia sprzedaje się niewiele diesla. Ale niedaleko jest droga międzystanowa.

– Ciekawy wybór. Po co podpalacz miałby sobie utrudniać, a nam ułatwiać? – spytała Racine.

– Może po prostu użył tego, co było pod ręką – zgadł Tully. – Większość przestępców nie fatyguje się i nie zmienia swoich zwyczajów. Nie kupują niczego specjalnego. Korzystają z tego, co jest dla nich dostępne. Z tego, co mają.

– Albo znajdą na miejscu zbrodni – dodała Maggie.

– Ale ktoś, kto już to robił i najprawdopodobniej planuje kolejne podpalenia? – Racine nie zaakceptowała ich wyjaśnienia. – Nie byłby bardziej uważny?

– Seryjni kryminaliści nie spodziewają się, że zostaną schwytani – powiedziała Maggie. – Skoro udało im się kilka razy, zazwyczaj stają się bardziej lekkomyślni, działają brawurowo. – Odwróciła się w stronę alejki. – Możecie mi pokazać, gdzie dokładnie leżało ciało?

Tully ruszył pierwszy. Przejście świeciło pustkami. Ganza jako ostatni zbierał dowody. Dlatego tak łatwo było dojrzeć najdrobniejszy ruch w drugim końcu alejki.

Przygarbiony mężczyzna wychynął spod zardzewiałych schodów pożarowych przy odległej ścianie. Znajdował się w głębi zaułka, kilka metrów od agentów. Zamarł bez ruchu i trzymał się w cieniu, najwyraźniej nieświadomy, że Tully go wypatrzył.

Maggie uderzyła grzbietem dłoni w ramię kolegi. Racine nagle się zatrzymała.

– Więc ciało leżało obok pojemnika na śmieci – powiedziała zwyczajnie Maggie, spokojnym głosem, idąc

pewnym, równym krokiem.

Każdemu krokowi towarzyszył chrzęst, zapowiadając ich nadejście. Czy podpalacz wrócił na miejsce zbrodni? Nie byłby to pierwszy raz. Pewnie czekał gdzieś niedaleko i pomyślał, że już skończyli.

Racine sięgnęła pod kurtkę. Maggie dotknęła jej łokcia i pokręciła głową. Pokazała kciukiem za siebie, a Racine zrozumiała.

– Hej, muszę zadzwonić – oznajmiła. – Zaraz was dogonię.

Odwróciła się trochę za szybko, ale poza tym Tully uznał, że dobrze to zagrała. Zniknęła za rogiem, a oni podeszli do pojemnika na śmieci.

Mężczyzna zaczął się znów przesuwać wzdłuż ściany. Tully chciał go zatrzymać. Jeśli podejrzany dotrze kilka kroków dalej, może uciec. Agent usiłował sobie przypomnieć, co jest po drugiej stronie alejki. Jakaś ulica. Słyszał ruch uliczny.

Nie musiał podejmować decyzji. Mężczyzna wyprostował się i pognał co sił przed siebie. Tully ruszył za nim. Uciekinier był szybki. Zdołał rzucić plecak pod nogi agenta. Tully upadł twardo na ziemię. Uderzył łokciem o chodnik. Usłyszał trzask. Poczuł rozdzierający ból od łokcia aż do zębów trzonowych.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Maggie przeskoczyła długie wyciągnięte nogi Tully’ego. Obejrzała się i usłyszała, jak zawołał:

– Biegnij, nic mi nie jest!

Twarz miał wykrzywioną z bólu, Maggie wiedziała, że coś mu się stało, mimo to nie zatrzymała się.

– FBI, stój! – krzyknęła do mężczyzny, kiedy dotarł do końca alejki.

Nawet nie drgnął. Zwolnił po to tylko, żeby skoczyć za róg.

Pobiegła za nim. Zależnie od tego, zza którego budynku wyjdzie Racine, Maggie mogła przegrać ten wyścig.

Uciekinier obejrzał się przez ramię. Zobaczył, jak blisko jest pościg, i gwałtownie wypadł na ulicę. Przemykał między samochodami. Ryczały klaksony. Piszczały hamulce. Mężczyzna odbił się od zderzaka autobusu. Chyba nic mu się nie stało. Co najwyżej autobus pchnął go naprzód, dzięki czemu zyskał przewagę nad Maggie.

Znalazłszy się na chodniku, ruszył znów biegiem, torując sobie drogę rękami. Ulica nie była zatłoczona. Większość przechodniów stanowili bezdomni. Poruszali się powoli albo stali i patrzyli. Maggie każdego tygodnia przebiegała piętnaście do trzydziestu kilometrów i normalnie ten wyścig byłby dla niej dziecinnie łatwy. Ale nie tego dnia. Pulsowaniu w skroniach towarzyszyło teraz dzwonienie w uszach. Mimo to nie ustawała w pościgu.

Mężczyzna raptownie skręcił za róg. Kiedy tam dotarła, prosto na nią pruł sklepowy wózek. Chwyciła za przód wózka. Inaczej by się przechylił, a cała zawartość wysypałaby się na ziemię. Zaraz za wózkiem pojawiła się jego właścicielka. Nieszczęsna kobieta wrzeszczała na Maggie, wygrażając pięściami, gotowa do ataku. Agentka pchnęła do niej wózek i ruszyła biegiem. Nie śledziła mężczyzny tylko przez minutę czy dwie i straciła go z oczu.

Zatrzymała się. Czekała. Przyglądała się bramom. Na tej przecznicy nie było bocznych alejek. Nie mógł zniknąć za rogiem, a ona nie wypatrzyła go po drugiej stronie ulicy.

Oddychała ciężko. Czuła skok adrenaliny. W uszach miała przenikliwe buczenie. Pulsowanie w skroni przyspieszyło. Do tego waliło jej serce, więc nie mogła się skupić. Widziała trochę niewyraźnie. Oparła dłoń o zimną ścianę budynku. Wtedy zdała sobie sprawę, że dostrzega swoje odbicie w oknach po drugiej stronie ulicy.

Ruszyła znów, tym razem wolniej. Szła i patrzyła na okna naprzeciwko. Trzymała się blisko ściany. Nadal nikogo nie widziała. Czy mógł wejść do jednego z tych budynków?

Wyciągnęła szyję, szukając jakiejś firmowej tabliczki, i zauważyła, że z tej strony nie ma schodów przeciwpożarowych ani nawet zardzewiałej drabiny. Brak też okien na parterze. Były tylko jedne drzwi, które wyglądały na zaryglowane. Wszystkie te budynki wyglądały na magazyny albo hurtownie.

Jak mógł tak zniknąć?

Maggie pochyliła się, położyła dłonie na kolanach, łapiąc oddech, usiłowała wyciszyć szum w głowie. Wtedy sobie uświadomiła, że za dużo patrzyła w górę.

Ze studzienki kanalizacyjnej unosiła się para. Para zawsze unosi się ze studzienek, zwłaszcza w takie zimne dni jak ten. Ale pokrywa tego włazu leżała krzywo, krawędź zachodziła na beton. Ktoś ją krzywo położył. Ktoś, kto się spieszył.

Maggie przyglądała się przez chwilę, potem podniosła wzrok i spojrzała w dół ulicy. Stara kobieta grzebała w pojemniku na śmieci, wybierając z niego aluminiowe puszki. Po drugiej stronie ulicy mężczyzna w kombinezonie stał oparty o róg budynku i postukiwał w telefon komórkowy. Inny mężczyzna przypinał rower łańcuchem do słupa latarni. Poza tym nikogo więcej tam nie było. Samochody przejeżdżały sporadycznie.

Maggie stała z rękami na biodrach. Patrzyła na pokrywę włazu. Dlaczego mężczyzna uciekałby, gdyby nie wzniecił pożaru? Wrócił zobaczyć, czy zabrali ciało? To, które tam podrzucił. Jeżeli teraz ucieknie, mogą nigdy go nie złapać.

Ciężko westchnęła. Przykucnęła, żeby odsunąć pokrywę studzienki, metal uderzył o beton z brzękiem. No i dobrze, niech drań wie, że za nim schodzi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Chciał jej powiedzieć, że ten złamas z plecakiem to strata czasu. To nikt, zero. Jeden z tych ludzi ulicy, prawdziwy nieudacznik. Mimo to obserwował go jeszcze przed pożarem. Nie zdawał sobie sprawy, że wykorzystał dom nieszczęsnego drania – gówniane kartonowe pudło – jako swój śmietnik. Więc miał na oku tego szmaciarza, chociaż tamten nawet go nie zauważył.

Prawdę mówiąc, prawie o nim zapomniał, aż do pościgu.

No, no! Ależ ona biega!

Zresztą wyglądała tak, jakby przywykła do biegania, jakby była przygotowana do takiego wyścigu. Zastanawiał się, o ile szybciej by biegła, gdyby to ona uciekała. Znów poczuł znajomy dreszcz i nagle ogromnie zapragnął to zobaczyć. Przekonać się, jak by biegła, napędzana strachem.

Nie musiał podążać zbyt szybko. Świetnie wiedział, dokąd zmierza bezdomny. Znał jego zwyczaje. Gość nie był dość bystry, żeby je zmienić. Zazwyczaj w chwilach strachu człowiek ucieka się do przewidywalnych środków. To jeden z powodów, dla których zaczął zajmować się dwiema osobami naraz, od czasu do czasu. Oczywiście, musiały istnieć do tego odpowiednie warunki, ale dzięki temu wyzwanie było większe.

Kiedy skręcił za róg, ona już tam stała – dokładnie tam, gdzie, jak wiedział, tamten gość zszedł do swojego podziemnego świata. A tak przy okazji: to bardzo

interesujący świat. Kiedyś za nim poszedł. Trochę ciasno jak na jego gust, a ten pomyleniec też mało atrakcyjny. Poruszał się jak jeden z wędrownych szczurów, który znalazł się w nowym kanale, wciąż oglądał się przez ramię. Głośny jak diabli. Zbyt irytujący i głupi, by go zabić. O wiele zabawniej było za nim iść, tak żeby wiedział, że ktoś go śledzi, a potem patrzeć, jak się wije i rzuca.

Kiedy znalazł sobie miejsce w cieniu, skąd mógł wszystko obserwować, policjantka zrobiła coś, czego nie przewidział. Weszła do kanału.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Maggie wysłała esemesa do Tully’ego i Racine. Napisała im, gdzie jest. Że schodzi do kanału. Powinna zaczekać na wsparcie, ale do tej pory mężczyzna może zniknąć. Wciąż słyszała trzask łokcia Tully’ego, kiedy uderzył o chodnik. Czy to można uznać za napaść? Mężczyzna zaczął uciekać po tym, jak dostał polecenie zatrzymania się.

Nie, nie mogła czekać. Po raz ostatni rozejrzała się, po czym zaczęła schodzić do wyłożonej cegłami studzienki, która przypominała po wielokroć powiększony otwór odpływowy.

Boże, jak ona nie znosiła zamkniętych przestrzeni!

Metalowa drabina zostawiała ślady rdzy na rękach. Była śliska. Maggie poczuła unoszące się gorące, cuchnące powietrze. Nie spodziewała się, że dno będzie tak głęboko, w połowie drogi spojrzała do góry.

Duży błąd.

Zrobiło jej się niedobrze, przylgnęła do szczebli, żeby się uspokoić.

Tylko zerknęła. Nic więcej.

W końcu znalazła się w ponurym tunelu z betonu i cegieł, wzdłuż ścian ciągnęły się rury. Syczała para. Zawory szczękały. Woda chlupotała. Zeszła z ostatniego szczebla i postawiła stopę w wodzie, po czym gwałtownie ją cofnęła, omal nie tracąc równowagi.

Przecież to oczywiste, że na dole jest woda. A czego się spodziewała?

Ciągła strużka zmoczyła dolną połowę skórzanych butów, ale Maggie i tak się cieszyła, że jest tam więcej miejsca.

Jakieś sześćdziesiąt centymetrów nad głową z sufitu zwieszał się labirynt potężnych rur. Betonowe ściany pochłaniały wszystkie dźwięki z ulicy i zastępowały je kapaniem, bulgotaniem i szumem płynącej wody. Maggie słyszała syczącą parę. Gdzieś w górze szczękał metal, kiedy zawory otwierały się i zamykały.

Powiedziała sobie, że jest tam w sumie podobnie jak w dużej kotłowni. Udawała, że nie znajduje się ponad sześć metrów pod ziemią. Udawała, że nad jej głową nie jeżdżą samochody i nie stoją budynki.

Tunel przed nią oświetlały żarówki. Po lewej i po prawej też rozchodziły się tunele, ale tam panowała ciemność. Maggie wymacała kolbę rewolweru. Czekała. I nasłuchiwała.

W pierwszej chwili chciała pójść oświetlonym tunelem. Ale czy nie tego właśnie spodziewał się po niej ten człowiek? Czy znał system kanałów dość dobrze, by wybrać drogę w ciemności? Niezależnie od zakrętów pewnie zdołałaby zobaczyć światło, jeżeli on posługuje się latarką.

Może w ogóle nie oczekiwał, że Maggie zejdzie. Może sądził, że postąpi rozsądnie, na przykład poczeka na wsparcie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że świst, który słyszy, to w rzeczywistości własny oddech. Próbowała go na moment wstrzymać. Znów nasłuchiwała. Jej uszu dobiegło

słabe echo oddalających się kroków, gdzieś w oświetlonym tunelu.

Ruszyła naprzód, wysuwając broń z kabury. Trzymała się blisko ściany, chwilami się do niej przyciskała, żeby nie dotykać rur i uniknąć kapiącej wody. Przed każdym zakrętem przystawała, wstrzymywała oddech i nadstawiała uszu. Ostrożnie stawiała stopy, żeby się nie poślizgnąć. Wzdrygnęła się, widząc, że woda staje się głębsza. Jasny szlag! Woda zaczęła wlewać się do butów.

Słyszała go jednak przed sobą, równe, rytmiczne kroki. Szedł normalnym krokiem. Nie biegł. Nie wiedział, że Maggie tu jest.

Nie zwróciła uwagi, ile zakrętów minęła. Szła oświetlonym tunelem, starając się zachowywać możliwie jak najciszej. Coś czarnego przemknęła po jej stopie w wodzie. Maggie powściągnęła jęk i gwałtownie uniosła nogę. Czubkiem buta podniosła szczura i odrzuciła go na bok.

Szczury. Oczywiście, że są tu szczury.

Wzięła dwa głębokie oddechy, nie zważając na coraz silniejszy smród. Potem znów ruszyła przed siebie.

Nagły trzask za plecami Maggie odbił się echem w kanale.

Czy to zawór? Rura pękła? Nie miała pojęcia. Zignorowała to. Zrobiła kolejny krok. Rozległ się kolejny trzask. Tym razem zauważyła, że światło za nią przygasa. Kiedy się obejrzała, usłyszała trzeci trzask. To był dźwięk pękających żarówek.

Czy pękały z powodu pary albo wody?

W tym momencie ponownie usłyszała kroki. Tyle że tym razem za sobą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Maggie mocniej ścisnęła rewolwer. Trzymała palec na spuście.

Wzdłuż ściany ponad trzydzieści centymetrów nad wodą ciągnął się ceglany występ, szeroki na piętnaście centymetrów. Maggie na niego weszła. Przycisnęła plecy do ściany, nie zwracając uwagi na to, że ziemia i okruchy betonu wpadają jej za kołnierz. Wciąż czuła kłucie i ciągnięcie szwów na szyi.

Trzaski ustały. Była pewna, że to żarówki. Widziała, że część tunelu, którą minęła, pogrążyła się w ciemności. Ktoś, idąc za nią, tłukł żarówki.

Jak, do diabła, zdołał wycofać się tą samą drogą?

To nie miało sensu, przecież tunele nie tworzyły pętli. Teraz nie słyszała żadnych kroków, tylko szumiącą w rurach wodę. Nad jej głową zaczęło kapać. Nie ruszyła się z miejsca. Próbowała skupić się na innych dźwiękach niż kapanie. W ciągu kilku sekund poczuła znajome pulsowanie w skroniach. Wtedy ujrzała czyjś cień. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Tuż za ostatnim narożnikiem, nieświadomy, że ona dojrzy fragment jego cienia.

Maggie wstrzymała oddech, próbowała wyciszyć walenie w skroniach i głośne bicie serca. Ścisnęła mocniej rewolwer. Zresztą to bez znaczenia. Tam na dole nie mogła strzelać. Kule odbiłyby się rykoszetem. Na pewno o tym wiedział. Pewnie na to liczył.

Zobaczyła, że cień przesunął się odrobinę naprzód, i przywarła mocniej do ściany. Krople spadały teraz na głowę. Jasny szlag! To nie była tylko woda. Poczuła ten zapach. Powolnym ruchem przesunęła palce na rewolwerze, żeby wykorzystać go nie jako broń palną, ale jako pałkę.

– O’Dell, gdzie jesteś, do diabła? – głos Racine odbił się echem w tunelu, a Maggie mało nie spadła z półki.

Cień podskoczył i zniknął. Maggie słyszała szelest, szum wody, oddalające się kroki. Zeskoczyła z półki i podbiegła do rogu.

Mężczyzna zniknął.

Nadstawiła uszu, jej oczy musiały przywyknąć do półmroku. Tamten uciekł zapewne jednym z ciemnych tuneli. Może stoi w ciemności i patrzy na nią, a ona go nie widzi. Przeszły ją ciarki. Na domiar złego stopy miała przemoczone i włosy mokre.

– O’Dell?

– Tutaj! – zawołała w końcu, kiedy zobaczyła promień latarki wędrujący po ścianie.

Czekała na Racine, nie spuszczając wzroku z czarnych otchłani tuneli. Teraz zdała sobie sprawę, że schwytanie tu tego mężczyzny byłoby niemożliwe. Potrafił się tu poruszać. Nadal krył się tam w ciemności. Czuła jego obecność. Wydawało się jej, że czuje jego zapach. Nic jednak nie mogła zrobić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

– Co ty, do diabła, wyprawiasz?

Kiedy znalazły się bezpiecznie na górze, Maggie z pokorą wysłuchiwała wykładu Racine. Było w tym trochę ironii – zwykle to Julia zachowywała się nieodpowiedzialnie i podejmowała zbędne ryzyko. To bez znaczenia. Maggie myślała tylko o tym, że stopy ma przemarznięte. Nawet na świeżym powietrzu czuła, że śmierdzi.

– Masz pojęcie, jakie to niebezpieczne schodzić za nim na dół?

– On na pewno świetnie się tam orientuje – dodał Tully, trzymając rękę przy boku.

Maggie spytała go o łokieć, gdy tylko wyszła z kanału. Spojrzał na nią, jakby żartowała, w końcu to ona właśnie wydostała się z dziury w ziemi. Zapewnił jednak, że niczego nie złamał. Maggie nie dałaby głowy, patrząc na jego bladą twarz.

– Tam się nie schodzi, jak się nie wie, dokąd iść – ciągnęła Racine.

– Byłaś tam?

– Nie, ale się nasłuchałam. Tunele ciągną się pod całym miastem. Żeby dzisiaj pracować w kanałach, trzeba mieć specjalne przepustki, sprawdzają cię bardziej niż pracowników Pentagonu.

– Myślisz, że to nasz podpalacz? – spytał Tully.

– Jeśli nie, to czemu by uciekał?

– Widziałaś go?

Maggie pokręciła głową. Nie kłamała. Nie widziała go. Zastanowiła się, czy naprawdę widziała cień i słyszała kroki. Może później porozmawia o tym z Tullym. Bo na pewno nie z Racine. To oznaczałoby kolejny wykład.

– Możliwe, że to jakiś bezdomny – powiedziała Julia. – Grzebał w śmieciach po pożarze, a my śmiertelnie go wystraszyliśmy.

– Co jest w plecaku? – Maggie spytała Tully'ego, nagle sobie o nim przypomniała.

– Chyba nie należy do niego. Może go znalazł. Albo ukradł – odparł i zdjął z ramienia plecak. Maggie zauważyła, że zacisnął z bólu zęby.

Otworzył zamykaną na suwak kieszeń, żeby im coś pokazać.

– Ilu znacie bezdomnych, którzy noszą ze sobą paszport?

Racine wyjęła lateksowe rękawiczki z kieszeni skórzanej kurtki i włożyła je. Wzięła paszport i ostrożnie go otworzyła.

– Cornell Stamoran. Miły, schludny, wykształcony młody człowiek. Blondyn, niebieskie oczy. W garniturze i pod krawatem.

– Gość, którego ścigaliśmy, miał brodę i długie brudne włosy. – Maggie spojrzała na zdjęcie. – Wyglądał starzej.

– Ktoś mógł rzucić plecak w alejce. – Tully odwrócił plecak i pokazał im osmalone dno. – Może Cornell go upuścił, zanim dostał w głowę. A nasz brodacz go znalazł.

– Myślisz, że Cornell jest tą ofiarą, którą znaleźliśmy wewnątrz budynku?

– Mamy jego adres. – Racine postukała w zamknięty już paszport. – Wyślę policjanta, żeby sprawdził, czy jest w domu. Może da się to prosto wyjaśnić. Muszę wracać do centrum. Niech Ganza się tym zajmie. – Wskazała na plecak.

– Przekażę mu go – obiecał Tully, ale trzymał plecak obok siebie.

Racine się zawahała.

– Dacie sobie radę?

– Jasne – burknął.

– Hej, tylko pytam.

Maggie się uśmiechnęła. Cieszyła się, że nie tylko ją irytuje to pytanie. Czoło Tully'ego pokryło się kropelkami potu, choć w cieniu magazynów było zimno. Słońce wisiało już nisko na niebie.

Maggie stała na chodniku, odprowadzając Racine wzrokiem. Żadne z nich nie wspomniało o podartym tyle jej skórzanej kurtki – idealnym symbolu tego szalonego dnia.

– To nie jest żaden nieszkodliwy bezdomny.

– Ja też tak uważam – przyznał Tully.

– Na dole był ktoś jeszcze.

– Ze służb miejskich?

– Nie sądzę. Rozwalał żarówki.

Tully się zainteresował. I zaniepokoił.

– Wiesz, czy te tunele tworzą pętlę? – spytała.

– Nie wiem, ale to nie miałoby sensu. Woda i ścieki mają się przemieszczać z punktu A do punktu B, a nie w kółko.

Wciągnęła do płuc świeże powietrze. Tak samo myślała.

– Słyszałam, jak on biegnie przede mną, a ja szłam za nim. Potem usłyszałam kroki za plecami.

– Przypuszczam, że mógł wyjść na ulicę, cofnąć się i zejść do kanału w innym miejscu. Tylko po co? I czemu tłukł żarówki? To nie wygląda na kogoś, kto ucieka ze strachu.

– No właśnie.

– To kto to był twoim zdaniem?

Wzruszyła ramionami.

– Wiem jedynie, że po raz pierwszy naprawdę się ucieszyłam, słysząc głos wrzeszczącej na mnie Racine.

Tully się uśmiechnął.

– Dobrze się czujesz?

– Kark mnie boli. – Mimowolnie dotknęła szwów, sprawdziła, czy są nienaruszone. – Będziesz mógł prowadzić tą ręką?

W końcu się skrzywił.

– Chyba kość się przemieściła. Potrafisz ją ustawić?

Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio pracowali razem. Już zapomniała, jak to jest mieć obok kogoś, na kogo może liczyć. Kogoś, kto tego samego oczekuje od niej.

– Tak. Musimy znaleźć jakieś miejsce, żebyś usiadł. Jesteś dla mnie za wysoki. – Poza tym nie chciała, żeby upadł na ziemię, gdyby zrobiło mu się słabo, ale to przemilczała. – Zaboli jak diabli.

– Już boli. – Ruszył za nią. – Nie mów Gwen, dobrze?

Maggie się uśmiechnęła. Zwykle to ona prosiła, żeby czegoś nie mówił Gwen.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Samantha nie znosiła jeździć samochodem Jeffery’ego. Ten człowiek pedantycznie dbał o wygląd, niestety nie dotyczyło to samochodu. Zanim wsiadła, musiała usunąć z fotela stertę gazet, a z podłogi kilka pustych kubków i butelkę płynu do czyszczenia basenów. To było odrażające. Pokręciła głową, poprawiając fotel, i pomyślała, że Jeffery nie ma przecież basenu.

On oczywiście niczego nie zauważył. Szykował się do wywiadu. Gładko przechodził przez wszystkie kontrole. Nawet nie mrugnął podczas sprawdzania bagażnika czy dokładnego przeszukania go od góry do dołu, nie reagował na opryskliwe uwagi strażnika.

Samantha towarzyszyła Jeffery’emu podczas każdego wywiadu, znosiła kontrole osobiste, które z każdą wizytą wydawały się bardziej intymne. Większy niepokój budziło w niej jednak to, jak obchodzą się z kamerą, celowo zostawiając na obiektywie brudne smugi. Kiedyś strażnik polizał nawet wnętrze dłoni, po czym przycisnął ją do wizjera. To był ich sposób na okazanie, że nie akceptują tych wywiadów.

Kiedy powiedziała o tym Jeffery’emu, zareagował lekceważąco. Uniósł tylko brwi, gdy pokazała mu używany kondom, który podczas jednej z wizyt podrzucili do torby ze sprzętem. Oczywiście, on mógł to zlekceważyć. Jako celebryta czarował ich i mówił, jacy są ważni, czasami

także proponował, że przeprowadzi z nimi wywiad. Bezpieczna propozycja, gdyż wiedział, że regulamin więzienny na to nie pozwala. Mimo wszystko strażnikom to pochlebiało. Naczelnika więzienia trudniej było kupić.

Tak więc cieszyła się, że naczelnik został usunięty. Zdenerwowany. Stawali na głowie, żeby zdobyć wywiady do filmu dokumentalnego. Na każdym kroku naczelnik utrudniał i obrzydzał im pracę, jak tylko to możliwe.

Tym razem Jeffery został zaproszony, a prawdę mówiąc, „wezwany” do więzienia przez jednego z osadzonych. Z mętnych wyjaśnień Jeffery’ego wynikało, że podpalacz Otis P. Dodd przez ostatnie trzy tygodnie zasypywał go listami, nalegając, żeby dziennikarz z nim porozmawiał. Więzień opisywał szczegóły popełnionych przez siebie przestępstw, które miały potwierdzać jego bogate doświadczenie.

Samantha rozumiała, dlaczego Jeffery do tej pory go ignorował. Wszyscy ich pozostali rozmówcy byli mordercami. Biedny Otis P. – jak kazał się nazywać – nie spowodował niczyjej śmierci podczas żadnego z pożarów, choć wzniecił ich jakieś trzydzieści siedem w całym stanie Wirginia. I to nie dlatego, że nie próbował. Ostatnim miejscem, gdzie podłożył ogień, był dom spokojnej starości. Dwudziestu trzech rezydentów w cudowny sposób zdołało ocaleć.

Otis P. odsiadywał pierwszy rok z dwudziestu pięciu lat kary. Podejrzewała, że chciał zwrócić na siebie uwagę. Prawdę mówiąc, nie przyciągnąłby uwagi Jeffery’ego, gdyby

nie podpalenia w magazynach. Zastanawiała się nawet, czy dziennikarz zamierza wykorzystać wywiad w filmie, czy jest po prostu ciekawy, co podpalacz sądzi o tych pożarach.

Przygotowywała sprzęt, kiedy strażnik przyprowadził więźnia do pokoju. Otis przywitał się z Jefferym, jego kajdany przypięto do żelaznych haków w betonowej podłodze. Samantha widziała wcześniej jego zdjęcie, a jednak ten potężny mężczyzna z krzywym uśmiechem zaskoczył ją. Gdyby nie zakola, wyglądałby jak przerośnięty nastolatek, który źle się czuje w swoim ciele. Na chłopięcej twarzy widniał wyraz szczerego zaciekawienia i rozbrajający uśmiech.

– Przypniecie mi taki malutki mikrofon do kołnierzyka? – spytał spokojnym, zadziwiająco wysokim głosem, przenosząc wzrok z Jeffery'ego na Sam.

Wyjęła z torby bezprzewodowy mikrofon.

– Pozwoli pan?

– Tak, proszę. – Oblizał wargi.

Strażnik wyciągnął rękę po mikrofon, a Samantha odetchnęła z ulgą.

Kiwnęła głową do Jeffery'ego, kiedy kamera była gotowa, ale to Otis P. zareagował na jej sygnał.

– Mam dla pana prezent – oznajmił.

To zdanie wywołało osłupiałe spojrzenie dziennikarza. Zaniepokoiła się. Widziała Jeffery'ego w różnych sytuacjach. To było coś nowego.

Otis P. znów się uśmiechnął i znów oblizał wargi. Potem dodał:

– Chcę panu powiedzieć, gdzie jest ciało. Naga ślicznotka w pomarańczowych skarpetkach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Samantha powiedziała sobie w duchu, że przestępcy stale kłamią. Podczas poprzednich wywiadów wysłuchiwali dziwacznych opowieści morderców, którzy przysięgali, że mówią prawdę. Historii o tym, jak podchodzili i zabijali swoje ofiary. Podawali im szczegóły niczym dumni rzemieślnicy odsłaniający tajemnice rzemiosła.

Niektórzy dzielili się z nimi koszmarnymi doświadczeniami z dzieciństwa, jakby znajdowali wymówkę czy wytłumaczenie kompulsywnych zbrodni. Prawie niemożliwe było stwierdzenie, co jest faktem, a co fikcją. Odsiadywali dożywocie z niewielką nadzieją na ułaskawienie, więc dzieląc się tym wszystkim, nic nie ryzykowali.

Ale Otis P. Dodd? Nie potrafiła go rozgryźć. Co skłoniło go do wyznań? Nie prosił o obecność adwokata. Nie przejmował się, czy nowe zeznania skrócą karę. Zdawało się, że jedyne, co go interesuje, to znalezienie się w centrum uwagi. I to z pewnością mu się udało.

Jeffery pochylił się i siedział niezwykle milczący, wyczekując. Nigdy go takiego nie widziała. Dał podpalaczowi czas, a on z tego korzystał, wykorzystywał każdą sekundę.

– Powiedział, że prosiła go o podwiezienie. Mówił, że była naprawdę ładna. Jasne włosy, niebieskie oczy. Drobniutka. Ale nie dziewczynka. Wiem, że co do tego się upewnił. Nie

zajmował się małymi dziewczynkami. Ani chłopcami. To go nie rajcowało. To żadne wyzwanie. – Oparł się i uśmiechnął, zadowolony, że ma słuchaczy. – Tak w każdym razie powiedział.

Chciał skrzyżować ręce na piersi, zapomniał, że jest przykuty do podłogi. To go jednak nie zniechęciło.

– Samochód jej się zepsuł. Utknęła na jednym z tych parkingów przy międzystanowej. Zabrał ją w pewne miejsce w lesie. Walnął ją w głowę. Ale nie tak, żeby umarła. Jeszcze trochę żyła. Więc jak ją rozciął, wciąż była ciepła.

Urwał z tym głupim uśmiechem na twarzy, jak mały chłopiec, który czeka na reakcję słuchaczy, zastanawiając się, czy zostanie pochwalony czy skarcony.

– Tak powiedział. Że lubi mieć ciepłą krew na rękach. Potem wyciągnął jej bebechy, żeby zobaczyć, jak wyglądają. Jak to jest trzymać je w ręce.

Kiedy żadne z nich się nie wzdrygnęło, podjął:

– Zabrał jej wszystko, żeby nikt nie wiedział, kim ona jest. Zostawił tylko pomarańczowe skarpetki. Z jakiegoś powodu. Nie pamiętam, czy mi to wyjaśnił. Potem wsadził ją do przepustu.

Otis P. po raz pierwszy odwrócił wzrok, spojrzał na sufit, jakby się zastanawiał, czy o czymś nie zapomniał.

– Z początku pomyślałem, cóż, facet ma gadane. No wiecie. Widziałem, że to nie jest pijaczek, a my sobie popijaliśmy. Ale mój tata nie był alkoholikiem, a chwile prawdy zdarzały mu się po szklaneczce whisky.

Przesunął się na krześle i przeniósł wzrok z Jeffery’ego na Sam i z powrotem. Powiedział, co miał do powiedzenia. Teraz sprawiał wrażenie, jakby czekał na pochwałę.

– Jak on wyglądał? – spytał Jeffery.

– Bo ja wiem. – Otis P. wzruszył ramionami i pokręcił głową. Po raz kolejny oblizał wargi. Samantha zrozumiała, że to nerwowe, że nie ma w tym nic sprośnego, jak wcześniej sądziła. – Dla mnie wyglądał zwyczajnie.

Tyle postanowił im przekazać. Nie chodziło o tego drugiego mężczyznę. Chodziło o Otisa P., który pragnął zwrócić na siebie uwagę. Nie zamierzał dzielić się tym zainteresowaniem z nikim, nawet z mordercą, którego opowieść przytoczył.

– Mogę wam pokazać, gdzie ona jest. Powiedział mi.

– Na jakiej podstawie sądzi pan, że ona wciąż jest w tym miejscu?

– Och, na pewno tam jest.

– Był pan tam? Minął prawie rok.

Kiwnął głową. Wysunął czubek języka w kąciku ust i schował go z powrotem.

– Co każe panu sądzić, że ciało nadal jest tam, gdzie je porzucił?

– Jest tam na pewno. Nikt jej nie znalazł.

– Skąd ta pewność?

– Przyglądam się. – Znów wzruszył ramionami. – Wiem, że tam jest. To byłoby coś, co? Być tam z kamerą? – Czekał, żeby się upewnić, że Jeffery go rozumie, potem dodał: – Dajcie mi znać. Zaprowadzę was tam.

Na tym skończył. Powiedział im wszystko, co był gotowy powiedzieć.

Kiedy wracali do samochodu, na dworze zapadła już ciemność. Oboje milczeli, idąc korytarzami i czekając, aż otworzą im kolejne drzwi.

Na zewnątrz budynku, gdzie nikt ich nie słyszał, Samantha zapytała:

– Co myślisz?

– On ma ochotę na darmową przejażdżkę.

Ze zdumieniem zrozumiała, że Jeffery odrzucił ten pomysł. Zwykle uwielbiał takie sensacje.

– Nie wierzysz mu?

– Myślę, że Otis P. Dodd zna wszystkie możliwe sposoby na wzniecenie pożaru. Jest w tym mistrzem, w listach dzieli się wszystkimi szczegółami. Ale to? – Machnął ręką. – To bzdura. Liczyłem, że podrzuci mi coś, co przyda się w materiale o podpaleniach magazynów. Nie pomogę mu uciec. A jak zrobię relację na żywo, ośmieszę się i nie znajdę trupa?!

– Więc co z tą kobietą w pomarańczowych skarpetkach?

– Jeżeli w ogóle istniała, nie żyje od ponad roku. Nic nie możemy dla niej zrobić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Całe popołudnie Patrick krążył po okolicy. Chodził od drzwi do drzwi. Spotkał nawet tego dupka, który znów zagroził, że zastrzeli Jake’a, jeśli pies znajdzie się na jego posesji.

– Nie prościej byłoby do mnie zadzwonić? – spytał go Patrick.

– Nie ma sensu, to już trzeci albo czwarty raz. Rozwiążę problem tego kundla raz na zawsze.

Wtedy Patrick wrócił do domu, wziął Harveya na smycz i razem wyruszyli raz jeszcze przeszukać okolicę. Sprawdził nawet pusty dom na sprzedaż w sąsiedztwie domu Maggie. Dokładnie rozejrzał się na podwórzu. Zajrzał przez okna do środka, kiedy zobaczył w nich światło. Okazało się, że to lampa włączana przez włącznik czasowy. Ludzie nie lubią zostawiać domów pogrążonych w ciemności, ale nie myślą o tym, że pozostawienie światła może grozić pożarem.

Trzy godziny później zapadła ciemność. Wciąż nie było śladu Jake’a.

Na myśl o tym, że czeka go rozmowa z Maggie, Patrickowi zrobiło się niedobrze. Tyle poświęciła, żeby z nią zamieszkał, a on ją zawiódł. Jak mógł być tak nieuważny? Za bardzo przejął się spotkaniem z Braxtonem. To tylko praca. Czy z powodu jednego błędu ten człowiek może zrujnować mu karierę?

Harvey wyrywał się w lewo. Chciał przejść przez ulicę. Trzymał łeb wysoko i wąchał.

– Czujesz go, Harv?

Patrick pozwolił, by pies go prowadził. Harvey przebiegł na drugą stronę ulicy i biegł dalej wzdłuż linii sosen na tyły dużego narożnego domu w stylu kolonialnym. Zanim dotarli do ogrodzenia, Patrick poczuł zapach, który przyciągnął uwagę Harveya. To nie był Jake. Ktoś grillował steki.

Księżyc wychynął zza wierzchołków sosen. Patrick i Harvey wlekli się z powrotem. Może Jake sam wrócił do domu. W dzieciństwie Patrick zawsze chciał mieć psa, ale matka zawsze odmawiała. Mówiła, że pies to zbyt duża odpowiedzialność. On chciał mieć towarzystwo, kogoś, kto by go witał w drzwiach, kiedy wraca ze szkoły do pustego domu. Nie chciał nawet myśleć, że mama mogła jednak mieć rację – czyli że on nie potrafi wziąć odpowiedzialności za inne żywe stworzenie.

Kiedy Patrick zobaczył jeepa zaparkowanego na okrągłym podjeździe, miał nadzieję, że zastanie Maggie i Jake’a w domu. Niestety szczęście mu nie dopisało. Maggie stała przy kuchennej wyspie i zaglądała do garnka, który zostawił na małym ogniu.

– Zabrałeś chłopaków na długi spacer? – spytała. Była w szlafroku, włosy miała mokre po prysznicu. Kiedy się odwróciła, Patrick ujrzał jej minę. Zobaczyła, że jest z nim tylko Harvey.

– Znów uciekł – rzekła domyślnie.

– Bardzo mi przykro. – Patrick nie wiedział, co powiedzieć. – Wszędzie szukaliśmy. Dwa razy.

Maggie starała się ukryć panikę, którą dostrzegł chwilę wcześniej.

– Może nie powinnam go była tutaj w ogóle przywozić. Tak daleko od wszystkiego, co znał.

– To mądry pies. Znajdzie drogę do domu.

– Jeżeli zechce. – Wciąż unikała jego oczu, ale głos był pełen emocji. To coś więcej niż troska o zaginionego psa. To dotyczyło czegoś, czym nie chciała się dzielić z bratem. Poza tym wyglądała na wyczerpaną.

Wskazała na piekarnik, gdzie zostawił kolację.

– Pachnie pięknie.

– Chciałem ci zrobić przyjemność. Jesteś głodna?

– Umieram z głodu.

Pochyliła się, żeby odpiąć Harveyowi smycz i uściskała go. Pies powąchał jej kark i nagle zaczął skomleć.

– Nic mu nie jest? – Patrick wyjął garnek z piekarnika, podniósł pokrywkę i zadowolony położył ją z powrotem.

– Denerwuje go zapach krwi. – Poklepała psa, żeby go uspokoić.

– A skąd on... O, cholera, coś ci się stało?

– Nie, nic. Mam tylko parę szwów.

– Co się stało?

– Wybuch ognia wysadził okna i rozwalił front budynku.

– Nie znoszę tego – powiedział pół żartem, pół serio.

– Tak, pewnie nie jest ci to obce – odparła, jakby dopiero sobie przypomniała, że rozmawia ze strażakiem.

Patrick wyjął z lodówki butelkę wina shiraz i pokazał Maggie.

– Niedrogie, ale smaczne. Pomyślałem, że nazwa ci się spodoba.

– Shoo Fly?

– Australijskie. – Przechylił butelkę, żeby zobaczyła oryginalną naklejkę.

– Przykleili tu muchę?

– Australijczycy mają dziwaczne poczucie humoru. Więc jak – rzekł, naśladując australijski akcent – napijesz się kieliszeczek?

– Jasne.

Maggie patrzyła na Patricka, który postawił na stole talerz z przekąskami – oliwkami, kawałkami sera i plasterkami salami. Potem otworzył korkociągiem butelkę i nalał wino do dwóch kieliszków.

– Dałeś z siebie wszystko – powiedziała, biorąc oliwkę.

– Wiem, że starasz się być miła i zachować spokój, ale prawda jest taka, że powinienem lepiej pilnować Jake’a. Masz prawo być na mnie wściekła.

Podał jej wino. Maggie wypiła niemal pół kieliszka jednym haustem, jakby piła wodę. Patrick patrzył zdumiony. Nie znał jej od tej strony. Podejrzewał, że się kontroluje, kiedy z nim jest, i nie pokazuje mu wszystkiego.

– To nie twoja wina, Patricku. To samo robił, kiedy byłam w domu. Czasami zaraz po tym, jak wypuszczałam go na podwórze. Mnie ogrodzenie daje poczucie bezpieczeństwa. Jake postrzega to jak mur więzienia.

Opróżniła kieliszek, zanim Patrick w ogóle spróbował swojego wina.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

– Nigdy nie znikał na tak długo – powiedziała Maggie do Lucy Coy przez telefon.

– Jake przywykł sam się o siebie troszczyć. Wcześniej znikał czasem na kilka dni.

– Ale to było na wsi, gdzie jest las, pola kukurydzy i króliki. On nie umie poruszać się na ulicy, nie zna samochodów ani sąsiadów z bronią. – Starała się mówić bez paniki. Nie wiedziała, czemu tak ją to niepokoi. Może po prostu była wyczerpana. Za mało spała. Pożar, szwy. Dziwna przygoda w tunelu kanalizacyjnym. Ucieczka Jake'a stała się tylko punktem krytycznym tego długiego dnia.

– Jake uratował mi życie – wspominała Maggie. – Jak mu się odwdzięczyłam? Zabrałam go setki kilometrów od świata, który znał i gdzie wszyscy go znali.

– Traktujesz to zbyt osobiście. Jak policzek.

– A to nie policzek?

– On poznaje okolicę.

– Jest tu prawie cztery miesiące.

– Zaznacza terytorium. Uznaje je za swoje, jeśli wolisz.

– Ucieka z więzienia, w którym go trzymam.

Lucy Coy roześmiała się melodyjnie, robiła to rzadko, ale kiedy już jej się zdarzyło, brzmiało to naturalnie i szczerze. Było też zaraźliwe, więc Maggie także zaczęła się śmiać.

Przetarła oczy. Wzięła głęboki oddech. Tak, zachowywała się melodramatycznie i śmiesznie. Fizyczne wyczerpanie

tego dnia przyciemniło jej umysł. Dopiero po dwudziestu minutach pod prysznicem pozbyła się zapachu dymu, szpitalnych środków odkażających i smrodu kanalizacji.

– Nie poskromimy dzikiego ducha Jake’a.

To właśnie filozoficzna natura Lucy tak oczarowała Maggie podczas pobytu w Sandhills w Nebrasce.

– Możliwe, że cię to niepokoi, gdyż walczysz z tym samym bezkompromisowym duchem, który tkwi w tobie.

Maggie uśmiechnęła się i powstrzymała się przed zawołaniem „Aha!”. Słuchając Lucy, często miała chęć to powtarzać. Szeryf, który opowiadał o Lucy, zanim się poznały, nazywał ją „szaloną starą Indianką”. Emerytowana sześćdziesięcioletnia śledcza Patrolu Stanowego z Nebraski nie była szalona ani stara. Określenia takie jak: „pełna wdzięku”, „refleksyjna”, „zdyscyplinowana” i „mądra” lepiej opisywały kobietę, w której Maggie znalazła bratnią duszę. Kiedy Lucy wspomniała o bezkompromisowym duchu, Maggie przyjęła to jako komplement, a nie oskarżenie.

– Czy nie mówiłaś mi przypadkiem, że za twoim domem płynie strumień? Dobrze pamiętam?

– Owszem.

– To idealny teren do polowań dla Jake’a.

To był jeden z powodów, dla których kupiła ten dom. Strumień i strome brzegi tworzyły naturalną barykadę, prywatną fosę.

Głos Lucy powoli uspokajał Maggie, aż usłyszała stukanie deszczu o szklane drzwi na patio. Natychmiast poderwała

się na nogi, a Harvey za nią. Wyjrzała na ciemne podwórze. Pozbawione liści drzewa kołysały nagimi gałęziami.

– Zaczyna padać – powiedziała. – Do rana zrobi się deszcz ze śniegiem. Pamiętam, jak zeszłej zimy Jake spędził całą noc na dworze. Po śnieżycy. Było przeraźliwie zimno. Nie miałam pojęcia, jak ani gdzie się ogrzał.

– Nic mu się nie stało?

– Przyniósł w połowie zjedzonego zająca i zostawił go dla mnie na ganku. Zawsze potrafił się dzielić. Prawdę mówiąc, myślę, że to była jego fajka pokoju.

– Mówisz o nim, jakby miał jakąś nadnaturalną moc.

Zapadła cisza. Maggie przywykła do refleksyjnych pauz Lucy.

– Odpocznij, Maggie. Jake sobie poradzi. – Potem dodała: – I ty też.

– Mam nadzieję.

– Przygotuj się na jakąś fajkę pokoju. Oby to nie była ręka twojego uzbrojonego sąsiada.

Maggie się uśmiechnęła. Rozłączyła się. Zanim odłożyła telefon, zaczął dzwonić.

Telefonowała Racine. Maggie zesztywniała na myśl, że być może podpalacz zaatakował znów tak szybko.

– Kolejny pożar? – spytała bez powitania.

– Inny pożar. Włącz sobie CNN.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

– Skąd on wytrzasnął te wszystkie zdjęcia?

Maggie czuła się nie tyle nawet zła, co zdradzona, i zrobiło jej się trochę niedobrze.

– Z jakiej okazji wystąpiłaś w tej sukni koktajlowej? – spytała Julia Racine. Nie przerywając rozmowy, oglądały równocześnie program Jeffery'ego Cole'a, który odsłaniał przed światem życie Maggie. Miał nawet zdjęcie jej rodziców. – Chyba nigdy nie widziałam cię w sukni – dodała, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– To była impreza noworoczna w firmie prawniczej mojego eks. Tamtej nocy składali mi gratulacje, witali mnie w firmie. Greg załatwił mi pracę w dziale likwidacji szkód.

– Chciałaś zajmować się roszczeniami?

– Ani trochę. Nie miałam o tym pojęcia. Greg zrobił mi niespodziankę. Nie podobało mu się, że jestem agentką FBI.

– Może nie podobało mu się, że ryzykujesz, zadajesz się z mordercami.

– Nie podobało mu się, że nie może mnie kontrolować. Że nie jestem taka uporządkowana i grzeczna jak reszta jego życia.

Zapadła krępująca cisza.

– W tej małej czarnej niezła z ciebie laska. – Racine tylko pogorszyła sytuację, siląc się na żart.

Lata temu Julia Racine podrywała Maggie. Udało im się to zignorować, a nawet się zaprzyjaźnić. Racine uratowała matkę Maggie, która podjęła próbę samobójczą, a Maggie uratowała ojca Racine przed zabójcą. To także tworzyło fundamenty przyjaźni. Obie wychowywały się tylko z jednym rodzicem, może ten brak, to poczucie straty, które wciąż im towarzyszyło, połączyło je i zbliżyło do siebie.

Teraz, gdy Maggie myślała o matce, zastanawiała się, czy to od niej Jeffery Cole dostał niektóre zdjęcia.

– Po co on to robi, jak myślisz? – spytała.

– Wkurzyłaś go. Rozbudziłaś jego zainteresowanie. Nie wiedziałam, że byłaś stypendystką w Quantico. Jestem pod wrażeniem. Już chyba nie prowadzą tego programu z medycyny sądowej, prawda?

– Czy to legalne? Czy on może pokazywać zdjęcia agenta FBI?

– Twój były mąż pewnie coś na ten temat wie.

– Bardzo zabawne.

– Nie chciałam być zabawna. On naprawdę może coś wiedzieć.

– Za późno. Zdjęcia już są na antenie.

– Tak, ale możesz powstrzymać część drugą.

– Powiedz, że żartujesz.

– Nie, jutro wieczorem jest druga część. Oba odcinki w ten weekend. Chyba sobie nagram.

– Nie do wiary.

– No dobra, teraz mam dla ciebie coś naprawdę ciekawego. – Racine musiała wyczuć, że pora zmienić

temat. – Cornell Stamoran był księgowym w Greevey, Miles i Holden jeszcze jedenaście miesięcy temu. To jedna z większych doradczych firm finansowych w stolicy. Lista ich klientów to prawie książka telefoniczna.

– A jak mu ukradziono paszport?

– Nie wiem. Nie było go w domu. Gospodarz twierdzi, że od miesięcy nie płaci czynszu. W firmie nikt nie wie, gdzie jest Cornell. Greevey mówi, że pewnego dnia po prostu nie przyszedł do pracy. Podobno ma mały problem z alkoholem.

– Możliwe, że ta rozwalona czaszka znaleziona w budynku należy do niego?

– Wszystko jest możliwe.

Telefon Maggie dał sygnał.

– Mam drugą rozmowę. Autopsja jest rano, bez zmian?

– Stan mówił, że o dziesiątej. Do zobaczenia. – Racine się rozłączyła.

Maggie sprawdziła, kto dzwoni. Widząc numer Benjamina Platta, uśmiechnęła się i połączyła.

– Masz jeszcze tę małą czarną?

Nie takiego powitania się spodziewała. Poczuła niepokojący, choć przyjemny ruch w żołądku.

– Racine już mnie o to pytała.

– Oboje mamy świetny gust.

Zastanowiła się, czy powiedzieć, jak seksownie wyglądał tego ranka w mundurze. Z jakiegoś powodu się powstrzymała, wstała i zaczęła krążyć po pokoju. Wyjrzała przez drzwi na patio, wciąż zalane deszczem. Padało coraz mocniej.

– Jak się trzymasz? – spytał Ben.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że się o nią martwił. Właśnie dlatego tak naprawdę zadzwonił. To całkiem miłe, powiedziała sobie.

– Jake znów uciekł dziś po południu – oznajmiła, zmieniając temat. – Jeszcze nie wrócił.

– Chcesz, żebym go poszukał?

– Patrick to zrobił. – Nagle przyszło jej do głowy, że Jake pewnie nie zareagowałby na głos czy komendę Patricka. Czemu wcześniej o tym nie pomyślała? – Już późno. I na dodatek pada.

– Co z tego?- odparł. – Mogę być za kwadrans, najpóźniej dwadzieścia minut.

Z okna na patio widziała stromy brzeg za granicą jej posesji, za ogrodzeniem. Sosny stały w narożnikach jak strażnicy. Światło latarni ulicznych nie sięgało tak daleko. Lampy ogrodowe tworzyły tylko cienie.

– Lucy powiedziała, że nic mu nie będzie. Że sam wróci do domu. Nie mogę za nim biegać i ciągnąć go tu na siłę.

Po drugiej stronie ogrodzenia zabłysło światło. Maggie widziała je przez drewniane sztachety. Zamrugało, po czym przesuwało się wzdłuż ogrodzenia. Zniknęło tak nagle, jak się pojawiło.

Może to odbicie? Może wybryk wyobraźni?

Pomasowała kark, wymacała szwy. Wino uspokoiło pulsujący ból. W jej głowie panował spokój, ale kark wciąż bolał.

– Pewnie Lucy ma rację – rzekł w końcu Ben. Maggie już zapomniała, o czym mówili.

Zgasiła lampę i chodziła od okna do okna, próbując dojrzeć znów to światło. Poza blaskiem ekranu ściszonego telewizora w domu panowała ciemność. Kąty salonu rozświetlały niebieskie i czerwone refleksy jej życia według Jeffery'ego Cole'a. Maggie przeniosła się do kuchni, podeszła do tylnych drzwi. Wtedy po raz kolejny zobaczyła błysk światła.

– Oddzwonię do ciebie – rzuciła. – Muszę coś sprawdzić. – Wyłączyła się, nim Ben o coś zapytał.

Za ogrodzeniem przesuwało się jakieś światło, przeskoczyło ścieżkę na skraj zbocza. Pomimo mgły Maggie widziała sylwetkę podążającą za promieniem światła.

– Co się dzieje?

Na głos Patricka aż podskoczyła. Stał w progu kuchni w spodniach od piżamy.

– Tam ktoś jest – szepnęła, świadoma, że serce jej wali.

Spojrzał ponad jej ramieniem, zanim powiedziała:

– To pewnie nic takiego. Ktoś szuka zagubionego psa. – Sama chwilę temu myślała, by to zrobić.

– Albo ten dupek z domu obok śledzi Jake'a.

Odwrócił się gwałtownie i pobiegł na schody.

– Co robisz?

– Włożę coś na siebie. – Zatrzymał się w połowie schodów tylko po to, by dodać: – Weź broń.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Jeffery błagał Samanthę, żeby zrobiła zdjęcia, których potrzebował do programu, chciał je mieć nazajutrz z samego rana. Powinna zrobić to wcześniej, ale opowieść Otisa P., niezależnie od tego, ile było w niej prawdy, przeraziła ją. Wciąż sobie wyobrażała, że gdzieś w przepuście leży wciśnięte ciało nieszczęsnej kobiety, a jej pomarańczowe skarpetki przykrywają błoto i liście.

Po wywiadzie w więzieniu chciała tylko wrócić do domu. Cały tydzień wracała późno, kiedy matka i syn już spali. Wysłuchawszy Otisa P., zapragnęła być z rodziną. Postanowiła pojechać do domu, zamiast zrobić zdjęcia dla Jeffery'ego. Choć raz praca będzie na drugim miejscu.

Zjadła kolację z matką i synem, prawie tak jak w normalnych rodzinach. Potem położyła się obok małego Ignacia, czy Iggy'ego, jak nazywała go większość przyjaciół. Przytulali się, a Ignacio jej czytał, role się odwróciły. Później oboje zasnęli. Kiedy matka ją obudziła, Sam nie chciało się ruszyć. Dzień był długi i szalony, ale dała Jeffery'emu słowo.

Przyzwyczaiła się, że wręczał jej długą listę życzeń, zdjęć, których bezwzględnie potrzebował. Już dawno przestała zadawać pytania. Przepracuje dodatkowe godziny, a on postara się, żeby jej to wynagrodzono. Miała teraz więcej pieniędzy, a robienie zdjęć o każdej porze dnia i nocy było lepsze niż kelnerowanie. Po powrocie do szkoły przez wiele lat zatrudniała się jako kelnerka. Bez matki, która

pomagała w opiece nad ukochanym synem, nie dałaby rady tego robić.

Deszcz spowolnił ruch na drodze międzystanowej. Kiedy dotarła pod wskazany przez Jeffery'ego adres, było już późno. W takie noce, gdy z ciepłego łóżka wychodziła na zimno i deszcz, z trudem przypominała sobie, że to jej wymarzona praca.

Zabezpieczyła sprzęt plastikowym pokrowcem, zapięła kurtkę przeciwdeszczową i włożyła kaptur. Deszcz trochę zelżał. Zaparkowała dwie przecznice od osiedla. Gdyby zostawiła samochód na ulicy, zaraz by ją zauważono. W tej okolicy poruszano się bmw, lexusami, mercedesami. Dziesięcioletni chevrolet ściągnąłby miejscowego szeryfa, a może nawet by go odholowano, zanim zdążyłaby wrócić.

Ruszyła ścieżką za dużymi ogrodzonymi posesjami wzdłuż stromego zbocza. Zapaliła latarkę, żeby zorientować się, gdzie jest, po czym ją wyłączyła. Deszcz zamienił się w mżawkę. Słyszała szum spadającej po skałach wody. Dojrzała strumień i skalistą ścianę.

Przystanęła i przykucnęła, położyła torbę ze sprzętem na mokrej trawie. W samochodzie zabezpieczyła kamerę przed deszczem, choć miała być ponoć wodoodporna. Kaptur nad obiektywem był kosztownym dodatkiem, który zawdzięczała Jeffery'emu.

Kiedy wręczył jej nowy sprzęt, zażartowała, że zamienia ją w paparazzi. Nie rozbawiło go to. Zdobył wiele dziennikarskich nagród, wkrótce powinien zostać gospodarzem własnego codziennego programu

informacyjnego – taką przynajmniej miał nadzieję. Samantha zastanawiała się, czy zdawał sobie sprawę, że robi się za stary, by konkurować z młodymi byczkami w tej branży.

Jeffery przebył długą drogę od swoich, jak to nazywał, skromnych początków jako nauczyciel w liceum. Nie wiedziała, czemu się tym nie zadowolił. Własny program stał się jego obsesją. Wydawało się, że jest zdeterminowany, żeby do tego doprowadzić za każdą cenę. Niezależnie od tego, czego domaga się Big Mac. Nie obchodziło go, ile przeszkód musi pokonać współpracownica, bo wiedział, że jej przyszłość jest ściśle powiązana z jego przyszłością.

Operatorka żałowała tylko, że Jeffery nie rozumie, dlaczego zwłaszcza tego rodzaju prośby sprawiają, że czuje się jak paparazzi. Coraz częściej miał dla niej podobne zlecenia. Zaczynał przekraczać granicę między poważnym dziennikarstwem a sensacyjną reality TV. Szkoda, że nie widzi Samanthy w tej chwili.

Wymacała w kieszeni latarkę. Wtedy zauważyła promień światła jakieś sto metrów przed nią. Cień człowieka za tym światłem.

Zamarła.

Może to właściciel domu wyprowadza na spacer psa, choć wyboista i stroma droga nie zachęcała do przechadzek. I nie widziała psa. Ten człowiek wydawał się skupiony na domu za ogrodzeniem. Daszek jego czapki bejsbolówki skierowany był w tamtą stronę.

Ale czy Samantha mogła go osądzać? Późno w nocy węszyła w okolicy, żeby zrobić zdjęcia tego samego domu.

Gdzieś przed nią trzasnęła gałąź. Coś poruszyło się w wysokiej trawie. Przyklękła i wstrzymała oddech. Zapewniała się w duchu, że dzika zwierzyna zamieszkuje raczej w dole, bliżej strumienia. Pewnie to bóbr albo szop pracz. Cokolwiek to było, oddalało się od niej w stronę mężczyzny.

Powoli, cicho podniosła kamerę, wciąż patrząc na trawę. Obiektyw o zmiennej ogniskowej był ciężki, musiała operować dwiema rękami. Zaczęła go unosić na wysokość oczu.

– Odłóż broń.

Głos zza pleców tak przestraszył Samanthę, aż podskoczyła. Instynkt kazał jej mocniej ścisnąć kamerę. Z początku pomyślała, że ostrzeżenie dotyczy mężczyzny, ale kiedy podniosła wzrok, już go nie było.

– Odłóż to. – Kobieta oddychała głośno.

– To nie jest broń. – Ręce Sam się trzęsły, robiła wszystko, by nie upuścić kamery. Czy ta kobieta do niej strzeli? W plecy? – To kamera – próbowała wyjaśnić. – Nie położę jej w trawie.

O Boże, sama nie wierzyła, że to powiedziała. Jeffery oczywiście stwierdziłby, że ma jaja.

– Co pani tu robi, do diabła?

– Filmuję dziką przyrodę – odparła bez wahania, zdając sobie sprawę, że Jeffery nauczył ją kłamać niemal instynktownie. – Widziałam coś w trawie. – Tak całkiem nie

skłamała. Nawet jej matka zgodziłaby się, że kłamstwo służące ratowaniu życia jest wybaczalne.

– W nocy?

Wzruszyła ramionami. Już i tak nagrzeszyła. Powiedziała:

– Mam filtr podczerwieni.

Kobieta obeszła Samanthę i stanęła do niej twarzą, świecąc w oczy latarką. Kamerzystka widziała wycelowaną w nią broń. Nagle zdała sobie sprawę, że to nie jest gospodyni domowa z przedmieścia z sąsiedzkiej straży obywatelskiej.

– Od kiedy to stacja informacyjna sponsoruje filmy przyrodnicze?

Nagle poznała głos kobiety. Bohaterki dokumentu Jeffery’ego. Teraz sama stała się jej celem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Kiedy znaleźli się z powrotem w ciepłej, suchej kuchni, Patrick zaproponował, żeby się czegoś napili, byle odwrócić uwagę siostry od kobiety z kamerą, bo zdawało się, że naprawdę chce ją zabić. Nigdy nie widział Maggie tak wściekłej i zastanawiał się, czy wolałaby znaleźć śledzącego ją seryjnego mordercę zamiast tej kamerzystki.

Nalegał, by to siostra zaparzyła kawę, udał, że nie wie, gdzie są filtry. Prawdę mówiąc, w ciągu minionego miesiąca zaparzył w kuchni Maggie więcej kaw niż ona przez ostatnie kilka lat. Gdy weszli z deszczu do domu, siostra nie odłożyła broni. Dopiero teraz wsadziła rewolwer za pasek dżinsów z tyłu, by zająć się przygotowaniem napoju.

Patrick wziął parę ręczników z bieliźniarki w holu i podał jeden kobiecie, która przedstawiła się jako Samantha Ramirez. Kiedy mu dziękowała, jej oczy – piękne, w kolorze gorzkiej czekolady – patrzyły w oczy Patricka przez sekundę za długo, nim zrozumiała, że nie stoi po jej stronie. Wciąż nie wiedział dokładnie, jak one się poznały. Maggie wspomniała o jakimś hicie CNN. Ramirez nic nie wyjaśniła. Chyba pojęła, że sytuacja jest zbyt nieprzewidywalna i lepiej mówić jak najmniej.

– Nie rozumiem – rzekła Maggie, umieszczając dzbanek do kawy w ekspresie. – Co jest we mnie takiego fascynującego?

Nacisnęła włącznik, potem uprzytomniła sobie, że nie podłączyła urządzenia do prądu. Rozwinęła sznur i wsadziła wtyczkę do najbliższego gniazdka.

Zanim Ramirez odpowiedziała, Maggie podjęła:

– Włożyłam tyle wysiłku w to, żeby chronić się przed seryjnymi mordercami: ogrodzenie, alarm, strumień na tyłach domu, a pani i pani partnerowi wystarczyły dwadzieścia cztery godziny, czy nawet trzydzieści sześć, żeby wedrzeć się na moje terytorium i odkryć moje życie przed całym światem?

Po raz drugi nacisnęła przycisk w ekspresie, który tym razem zasyczał i zaczął działać.

– Dlaczego? – spytała, stając naprzeciw Samanthy, która siedziała przy kuchennej wyspie. – Czemu ja?

– Może mi pani wierzyć albo nie, ale nie ma w tym nic osobistego.

Kamerzystka przeniosła wzrok z Maggie na Patricka, jakby błagała go o zrozumienie. Może sądziła, że mężczyzna okaże więcej rozsądku. Może zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie oderwać od niej oczu. Wytarła ręcznikiem sięgające ramion włosy, a ciemne loki i fale opadły kaskadą wokół twarzy. Przypominała Patrickowi jakąś piękną istotę z greckiej mitologii.

– Nie, nie wierzę, że nie ma w tym nic osobistego – oznajmiła Maggie. Wlepiając wzrok w Ramirez, skrzyżowała ramiona na piersi. Potem dodała niemal szeptem: – Zdaje sobie pani sprawę, jak niewiele brakowało, żebym panią zastrzeliła?

Samantha gwałtownie uniosła głowę. Jej ręka z ręcznikiem zamarła w powietrzu.

Nie, pomyślał Patrick. Ona nie ma o tym pojęcia. Zresztą on także nie miał.

Wciąż trzymał się z boku jak widz, obserwował kobiety, ciągle dość blisko, by w razie potrzeby interweniować, a jednocześnie wystarczająco daleko, by siostra go ignorowała.

Czy blefowała? Czy naprawdę o mały włos nie zabiła tej kobiety?

W mgle i mżawce trudno odróżnić obiektyw od lufy. Maggie była zdenerwowana, rozdrażniona. Już kiedyś raz widział jej konfrontację z uzbrojonym mężczyzną. Widział ją w akcji. Patrzył, jak przestawia się na myślenie samozachowawcze. Jakby ona także miała taki włącznik, który po wciśnięciu ją uruchamia, i wtedy Maggie rusza do akcji, pełna determinacji, by zrobić, co należy, niezależnie od kosztów, konsekwencji, ryzyka.

Tę zdolność, jako jedną z wielu, podziwiał w siostrze. Była bohaterką, tak jak ich ojciec. Odznaczała się o wiele większą odwagą niż Patrick. Jednocześnie rozumiał, jak łatwo emocje, lęki, wyobraźnia przejmują nad człowiekiem władzę i wywołują w nim panikę. Panikę, która prowadzi do niebezpiecznych założeń i błędnych wyobrażeń. Jednak pomimo fali tak nietypowej dla niej złości, wiedział, że Maggie O’Dell nigdy nie strzeliłaby, nie mając pewności. Samantha Ramirez wcale nie była o tym przekonana.

– Proszę posłuchać – zaczęła Ramirez, a Patrickowi zdawało się, że ręka jej się trzęsie. – Jeffery czasami zachowuje się jak dupek. Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego robi połowę rzeczy, które robi.

– Ale pani na to przystaje?

– Zazwyczaj tak.

– Nie ma w pani ani krzty dziennikarskiej uczciwości?

Patrick zauważył, że Ramirez wyprostowała plecy, a jej nozdrza drgnęły.

– Wie pani, co mam? – powiedziała, a jej strach zamienił się w złość. – Mam sześcioletniego syna i nie chcę, żeby dorastając, musiał czyścić toalety czy usługiwać takim dupkom jak Jeffery Cole. Mam meksykańską matkę, która ogląda teleturniej „Jeopardy” z takim samym zaangażowaniem, z jakim modli się do Dziewicy Maryi, żeby nauczyć się angielskiego i dostać obywatelstwo. Mam cholernie dużo rachunków do zapłacenia i kredyt hipoteczny, którego wysokość dwukrotnie przekracza wartość, jaką kiedykolwiek osiągnie moje małe mieszkanie z dwiema sypialniami. Więc przykro mi, że na razie nie stać mnie na tę pani cenną dziennikarską uczciwość.

Kobiety mierzyły się wzrokiem. Deszcz znów zaczął walić o szyby, teraz brzmiało to jak deszcz ze śniegiem. Ekspres wyłączył się, wypełniając kuchnię aromatem świeżo parzonej kawy.

Kiedy Patrick zastanawiał się, czy siostra wyrzuci Ramirez na deszcz, Maggie się odezwała:

– Pije pani z cukrem czy śmietanką?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Maggie usiłowała nie poddać się waleniu w głowie. Myślała, że kiedy znajdzie się znów wewnątrz, zostawiając za drzwiami deszcz i zimno, walenie ustanie. Myliła się.

Nie strzeliła do Ramirez, ale jak niewiele brakowało?

Wyładowała złość na tej kobiecie, choć, mówiąc szczerze, była bardziej zła na siebie i trochę zirytowana, że ból w skroniach zamglił jej wzrok i spowodował błąd w ocenie sytuacji.

W końcu zaczął padać deszcz ze śniegiem. Kiedy Maggie zaproponowała Ramirez nocleg na sofie, na tę część nocy, która im jeszcze została, kobieta popatrzyła na nią, jakby spodziewała się podstępu. W końcu się poddała, zadzwoniła do matki, żeby wyjaśnić, gdzie jest, a Patrick z wielkim entuzjazmem poszedł po koce i poduszkę.

Ramirez rozmawiała przez telefon w salonie. Patrick był na górze, gdzie stała szafa z pościelą. Maggie usłyszała jakiś stuk i drapanie w tylne drzwi. Sięgnęła po broń wsadzoną z tyłu za pasek spodni. Mimo to podskoczyła, widząc twarz po drugiej stronie szyby w drzwiach.

Przemoczony Benjamin Platt uśmiechem maskował niepokój. Maggie natychmiast zdała sobie sprawę, że zapomniała do niego oddzwonić. Cóż to jednak za szaleństwo, jechać taki kawał drogi, żeby sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku! Dopiero gdy otworzyła drzwi, zobaczyła, że Benowi towarzyszy Jake.

– O mój Boże! Gdzie go znalazłeś?

Wciągnęła ich obu do domu. Ben przywiózł też swojego psa, Diggera, trzymał go pod ręką. Harvey wpadł do kuchni, popiskiwał i witał się, dotykając nosów i pup wielkiego czarnego owczarka i małego białego westie.

Maggie objęła Jake'a, zarzucając na niego ręcznik, ściskała go i wycierała z mokrego śniegu, który przylepił się do futra, tak długo, jak długo Jake jej na to pozwolił. Ben wytarł Diggera, a potem własną głowę.

– Jak go znalazłeś, na Boga?

– Zapomniałaś, że Digger uwielbia kopać. Pomyślałem, że będzie wiedział, gdzie szukać.

Psy zaczęły się poszturchiwać nosami. Maggie stanęła z boku i patrzyła na Bena.

– Kiedy Digger po raz pierwszy pobiegł gdzieś i nie wracał, Ali była załamana. Wzięła to do siebie.

– Trudno inaczej.

– Wiem. Słyszałem to w twoim głosie.

Z brody Bena kapały krople. Wytarł je rękawem kurtki, równie przemoczonej. Do rzęs przykleiły się kryształki lodu. Maggie sięgnęła po kolejny ręcznik ze sterty i zaczęła delikatnie wycierać mu włosy, twarz i szyję.

Drżał pod dotykiem, kiedy rozpinała mokrą kurtkę. Zawahała się, zanim zsunęła ją z szerokich ramion, a potem ściągnęła rękawy. Czuła, jak jego mięśnie przyjemnie prężą się pod jej palcami.

Koszula także była przemoczona. Maggie zdjęła ją, nie napotykając sprzeciwu. Oczywiście zapomniała o obecności

Ramirez, aż ta chrząknęła za ich plecami.

– Przepraszam. – Samantha wyglądała na szczerze zakłopotaną. Uśmiechnęła się siłą woli i dodała: – Mam nadzieję, że nie będzie pani żałowała, że mnie pani nie zastrzeliła.

Maggie cofnęła się i przedstawiła sobie gości, podając tylko nazwiska, nie chciała mówić więcej, niż to konieczne, żeby kamerzystka nie przekazała tego Jeffery'emu Cole'owi.

Ramirez wskazała na zmoczone psy.

– Czyli to pan jest człowiekiem w czapce z daszkiem, którego widziałam z tyłu domu. Tak właśnie przypuszczałam, że może ktoś szuka psa.

– Za domem? – spytała Maggie.

– Widziałam go chwilę przed tym, jak pani mnie zaskoczyła. Przez moment pomyślałam, że może to złodziej.

Maggie zerknęła na Bena, który już się odwrócił i patrzył przez okno.

– Nie było mnie tam – rzekł, podnosząc rękę do mokrej głowy. – I nie mam czapki z daszkiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

W telewizji w końcu podano jej nazwisko. Margaret „Maggie” O’Dell. W zasadzie nie był zaskoczony, że jest agentką FBI. To go tylko bardziej nakręcało.

Dwie godziny wcześniej śledził ją aż do domu, po ich spotkaniu pod ziemią. Choć krótko, ale widział ją w akcji, a to rozpaliło chęć zobaczenia czegoś więcej. Zatem ją śledził. Jechał samochodem, który nigdy nie wzbudziłby w niej podejrzeń. W nikim nie budził podejrzeń. Był w nim prawie niewidzialny i mógł podjechać praktycznie pod jej drzwi.

Został tam chwilę, zaparkował w miejscu, skąd mógł obserwować dom, aż facet z psem pojawił się na trawniku od frontu. Wziął go za jej męża. Postanowił odjechać. Pomyślał, że zrobi rozpoznanie okolicy, może znajdzie jakiś bar i kupi coś do jedzenia. I wtedy znalazł motel. Tuż przy międzystanowej, niedaleko jej domu. Czuł nieodpartą chęć pozostania tam na noc.

Położył się do łóżka, już prawie zapadł w drzemkę, kiedy zobaczył jej twarz na ekranie telewizora. Żałował, że ekran nie jest większy, żeby mógł się dobrze przyjrzeć. To był stary odbiornik, nie taki z płaskim ekranem, do jakiego przywykł. Wszystko w tym motelu pamiętało dawne czasy, ale kiedy ruszał w trasę, nauczył się nie wybrzydzać. Poza tym pokój starannie wysprzątano i podobało mu się, że ma drzwi od frontu i od tyłu.

Ten program w telewizji wzbudził w nim dziwny niepokój. Teraz, kiedy jej obraz pojawił się w motelowym pokoju, wiedział, że już nie zaśnie. Niemal automatycznie ubrał się i wsiadł znów do samochodu, ruszył przez mgłę i deszcz. Wracał w okolice jej domu.

Nie zdołał zajrzeć do wnętrza domu, nawet od tyłu. Mógłby zaryzykować i podejść bliżej, gdyby ten cholerny pies nie przyczaił się w wysokiej trawie, warcząc jak wściekły, gotowy się rzucić. Czarne zwierzę szczerzyło białe zęby i pilnowało posesji.

Matka opowiadała mu o czarnych stworzeniach nocy, które odpędzają zło. To, że Margaret O'Dell ma takie stworzenie, sprawiało, że była naprawdę cennym przeciwnikiem.

Wycieczka bardzo go pobudziła. Margaret O'Dell przyciągała go jak magnes i z trudem się od niej oddalił.

Minął wejście do motelu i jechał dalej, pomimo deszczu ze śniegiem. Wiedział, że tylko jedno przyniesie mu spokój.

PIĄTEK

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Maggie pomyślała, że ciało wygląda prawie jak sztuczne, rozłożone na stole z nierdzewnej stali, szare i woskowate w świetle fluorescencyjnym. Czasami ofiara brutalnego mordu w niewielkim stopniu przypomina istotę ludzką. To był właśnie jeden z tych przypadków.

Maggie i Julia Racine, w ubraniach ochronnych, czekały na Stana. Jeden z jego pomocników sfotografował już ciało kobiety, umył je i prześwietlił. Stanowi przerwano chwilę po rozpoczęciu pracy, został wezwany do pilnego telefonu. Zdążył zrobić cięcie na klatce piersiowej denatki i otworzyć klatkę. Serce kobiety leżało na jednej tacy, płuca na innej, a żołądek na trzeciej – tace stały w rzędzie na blacie jak dziwaczne eksponaty na wystawie.

Maggie, która nie widziała zwłok na miejscu zbrodni, przeglądała zdjęcia zrobione obok pojemnika na śmieci. Ubranie kobiety zostało częściowo przypalone i pokryte popiołem, ale Maggie nie dostrzegła żadnych śladów przypalenia na ciele.

– To musiał być ktoś, kto ją znał, prawda? – spytała Julia. – Obcy zwykle nie walą tak w twarz.

– Chyba że zależało mu na ukryciu jej tożsamości. Ale możliwe też, że ją znał. Że nie została przypadkową ofiarą.

– To pudło kartonowe na pewno nie należało do niej.

– Nie była bezdomna – stwierdziła Maggie. – Ma ogolone nogi.

– Co nie wyklucza, że mogła być prostytutką. – Racine wskazała na fioletowy siniak na lewym boku kobiety. Od ramienia przez biodro aż do nogi. – Plamy opadowe. Musiała leżeć na tym boku przez kilka godzin po śmierci. Na pewno nie zmarła w tej alejce.

Miała rację. Plamy opadowe, zwane livor mortis albo sińcem śmierci, często wskazują na ostatnią pozycję ciała ofiary. Kiedy serce przestaje pompować krew, przyciąganie ziemskie ściąga ją w najniższe miejsce, gdzie ciało dotyka jakiejś powierzchni.

– Został nawet odcisk – dodała. – Jakby leżała na jakiejś kracie.

Maggie przyjrzała się uważniej. Na skórze uda kobiety widniał odciśnięty wzór kraty.

– Czy w alejce znaleziono coś, co by to tłumaczyło?

– Nie, chyba że wyciągnęli to ze śmieci. Później sprawdzę.

Zamilkły. Maggie przeglądała kolejne zdjęcie, Julia obejrzała się, a potem skrzyżowała ręce na piersi. Przytupywała zniecierpliwiona.

– Co kupisz Benowi na Walentynki?

– Słucham?

To nie było najdziwniejsze pytanie, jakie zadano jej nad ciałem ofiary. Maggie już dawno nauczyła się, że policjanci rozmawiają i żartują w tej sytuacji na najbardziej dziwaczne tematy. To ich sposób na zmniejszenie napięcia.

– Walentynki – powtórzyła Racine. – W przyszłym tygodniu. Pierwszy raz jestem z kimś tak długo, żeby dać prezent na Walentynki. Jeśli chodzi o związki, jestem jak

Houdini, czyli szukam ukrytych drzwi, gdy tylko padnie słowo na M.

– Naprawdę? A Jill?

– Zapomniałam, że ją poznałaś. Nic z tego. Cztery miesiące.

– Wydawała się miła.

– Była psychiczna.

– Myślałam, że służyła w żandarmerii wojskowej?

– Tak, i to powinno mnie ostrzec. Więc co kupisz Benowi?

– Nie jesteśmy parą, jeszcze.

– Racja.

– Jesteśmy przyjaciółmi.

– Serio? Byłam pewna, że to robicie.

Otworzyły się automatyczne drzwi. Maggie starała się ukryć ulgę, jaką poczuła na widok Stana.

– Przepraszam, moje panie. Na czym skończyliśmy?

– Broń – powiedziała Racine, przechodząc od Walentynek do morderstwa jakby nigdy nic. – Czym można tak rozwalić twarz? Kijem bejsbolowym?

– Nie, nie kijem. To musiało być coś z ostrym zakończeniem. Może jakieś szczypce. To narzędzie wydłubało ciało. Wyrwało kawałki tkanki, część z nich znaleźliśmy w jej włosach i na ubraniu. Nie znaleźliśmy jednak wszystkiego, co mnie upewnia, że nie została zamordowana w alejce.

– Ma coś pod paznokciami? – spytała Maggie.

– Nie. Prawdę mówiąc, nie ma śladu, że się broniła. Zostałyby duże siniaki na rękach i na nogach, nie

wspominając już o ewentualnie złamanych kościach. Zęby i szczęka są roztrzaskane. Niewiele pomogą w identyfikacji. Myślę, że ktoś chciał jej oszczędzić cierpienia i na samym początku pozbawił ją przytomności.

– Więc pierwszy cios ją obezwładnił?

– Tak od razu pomyślałem. Nie potwierdzę tego, póki nie skończę.

– To czym on się, do diabła, posłużył? – spytała Julia.

– Łomem albo młotkiem z pazurem – podpowiedziała Maggie.

– Jedno i drugie jest możliwe. Prawdopodobnie było to coś z metalu. W jamie nosowej, a raczej w tym, co z niej pozostało, znalazłem drobny ślad. Coś tłustego. Trudno powiedzieć przy takiej ilości krwi. Wysłałem próbkę do laboratorium.

– Jeżeli nie mamy w kartotece odcisków jej palców i nie mamy zębów, nie mam z czym pracować – podsumowała Racine. – Nikt nie będzie w stanie zidentyfikować zwłok.

Stan wzruszył ramionami. To nie jego problem. On na razie skończył. Podszedł do blatu, gdzie leżały wyjęte organy. Pracował z ciałem metodycznie. Maggie i Racine miały wykorzystać jego informacje, poskładać je w całość, żeby dowiedzieć się, co się stało.

Maggie patrzyła na Stana, który wziął nóż wyglądający, jakby służył do krojenia chleba, i rozciął żołądek, odciągając nabłonek.

– Pełno – rzekł Stan.

Racine zatkała nos i razem z Maggie podeszły bliżej.

– Niedawno jadła – stwierdziła Maggie.

– W ciągu dwóch godzin przed śmiercią. – Stan wskazał na zawartość żołądka, wyjął jej część na tacę. – A raczej powiedziałbym w ciągu godziny. Dziwna mieszanka. Wygląda to na pączki. Zgaduję, póki nie zbadam. Może też chipsy ziemniaczane. – Przesunął kawałek czegoś czerwonego na tacy. – Cukierek z lukrecji.

– Cukierek?

– Chyba jadła w jakimś przydrożnym barze – domyśliła się Racine.

Stan i Maggie spojrzeli na nią.

– Jem takie gówno, kiedy jadę odwiedzić tatę – wyjaśniła. – Zatrzymuję się, żeby zatankować, i kupuję coś do jedzenia.

Automatyczne drzwi znów się otworzyły, pomocnik Stana wszedł szybkim krokiem ze zdjęciami rentgenowskimi.

– Doktorze Denhoff, myślę, że chciałby pan to zobaczyć.

Umieścił klisze w podświetlonych gablotkach.

Maggie natychmiast zauważyła biały owalny kształt w piersi.

Stan postukał piórem.

– Zabójca najwyraźniej słabo znał ofiarę.

– Czy to jest to, co myślę? – spytała Racine.

– Ale tylko jeden – rzekła Maggie.

– Pojedynczy implant piersi zwykle wskazuje na raka, a nie operację kosmetyczną. Dobra wiadomość jest taka, że powinniśmy ustalić tożsamość. Implant jest rodzajem protezy, ma swój numer seryjny i nazwę producenta.

– I mogą go sprawdzić w bazie danych? – spytała Maggie.

– Drań na to nie liczył, kiedy rozwalał jej twarz i zęby.

– Powinniśmy zdobyć nazwisko i adres chirurga – dodał Stan. – Musicie go przekonać, żeby podał dane pacjentki.

– Jakie to proste – powiedziała Racine.

– To nie takie proste. Muszę wyciąć cały implant. Numer seryjny jest z drugiej strony.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Tully usadowił się w studiu montażowym zdumiony, że jest takie małe. Siedział z niewygodnie podkurczonymi długimi nogami, kolana opierał o panel z pokrętłami, przyciskami i klawiszami. Pomieszczenie przypominało bardziej kokpit niż telewizyjne studio montażowe stacji informacyjnej.

Inżynier, którego Samantha Ramirez przedstawiła mu jako Abe Nadirę nie był zadowolony z obecności Tully'ego. Zerkał na niego, nie odwracając głowy. Wargi miał zaciśnięte, ledwo nimi poruszał, kiedy mówił. W większości wypadków odpowiadał jednym słowem. Tully cieszył się, że Sam z nimi została. Nie do końca rozumiał, co wydarzyło się minionej nocy w domu Maggie, ale zmieniło to nastawienie młodej kobiety. Nagle była chętna zrobić wszystko, by im pomóc.

Stała za nimi, dyrygując Nadirą jak pasażer bez przerwy pouczający kierowcę, tyle że ze spokojem i grzecznie.

– Myślę, że trzeba się cofnąć do minuty czterdzieści. Zrobiłam krótki test – mówiła – a potem panoramę tego miejsca.

Mówiła o materiale filmowym z miejsca pożaru, nakręconym kilka minut przed przybyciem służb ratowniczych. Tully nadał nie kupował powodu, dla którego ponoć tak szybko się tam znalazła. Twierdziła, że ona i Jeffery Cole mieli się wybrać na późną kolację po zakończeniu pracy nad czymś, co nazwała laurką na temat

sytuacji bezdomnych w stolicy. Przez kilka godzin robili zdjęcia przed Biblioteką imienia Martina Luthera Kinga Jr., gdzie wieczorne autobusy dowoziły bezdomnych, którzy dzień spędzali w centrum miasta.

W tę drugą część wyjaśnień agent wierzył.

Racine wspominała o tym rozwiązaniu komunikacyjnym. Sprawdził i dowiedział się, że ostatni autobus przywiózł pasażerów około osiemnastej trzydzieści. Nawet jeśli kamerzystka i Jeffery Cole kręcili się tam, żeby zrobić więcej zdjęć, na klatkach jej filmu była jedenasta dziesięć. To dość późno na kolację na mieście dla trzydziestodwuletniej kobiety, na którą w domu czeka sześcioletni syn.

Minionego wieczoru sprawdził też Samanthę Ramirez. Choć wydawała się pełna skruchy z powodu zamiany kaset, czegoś mu nie powiedziała. Coś chciała przed nim ukryć.

Nadira puścił film, a Tully pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach, które i tak miał na wysokości piersi. Poprawił okulary i wsparł brodę na pięściach. Przy okazji naciągnął ramię, co mu przypomniało, że wciąż jest obolały po upadku w alejce.

Na pierwszych ujęciach było bardzo niewielu ludzi. Kamerzystka uchwyciła ich wytrzeszczone oczy, jak wypełzali na chodnik, wynurzali się z alejek i bram. Pierwsze płomienie pojawiły się za zamkniętymi oknami, które pozostały nietknięte. Jakby pożar dopiero się zaczął. Czy to możliwe, że byli tam tak wcześnie?

– Wie pani, kto zawiadomił straż?

– Nie mam pojęcia.

– Jak Jeffery się dowiedział?

– Ma skaner radiowy. Zawsze wie o wszystkim przed innymi. Czasami myślę, że jest psychiczny.

– Wariat Jeffery. Przerażająca myśl – powiedział Nadira i zaśmiał się razem z Sam.

– Czego dokładnie pan szuka? – spytała Tully'ego. – Jakiegoś gościa, który się onanizuje? Czy nie tak robił Berkowitz? – Nie czekała na odpowiedź. – Albo ten śledczy od podpalaczy w Kalifornii w latach osiemdziesiątych, gdzie pożary wybuchały zawsze blisko konwencji, w których akurat brał udział?

– Poważnie? – spytał montażysta. – Przestępcy to czasem straszne dupki.

– Jak się nazywał ten facet z Seattle, który wzniecił siedemdziesiąt kilka pożarów, zanim ojciec go wydał?

– Paul Keller – odparł agent i przeniósł wzrok na Sam. – Skąd pani tyle o tym wie?

– Żartuje pan? Nie oglądał pan żadnego z programów Jeffery'ego na temat podpalaczy? Ma więcej materiału na ich temat, niż zdołamy kiedykolwiek gdziekolwiek wcisnąć.

Tully zobaczył uśmiech montażysty, jeśli można to nazwać uśmiechem. Nadira ledwie uniósł kącik warg.

– Część z tego może wykorzystać w dokumencie na temat więźniów – rzekł. – Big Mac ma już chyba dosyć tych podpaleń, Jeffery przeciągnął strunę.

– Big Mac? – spytał agent.

– Donald Malcolm. Szef naszego biura – wyjaśniła Sam. – Pożary przestały go interesować. Nie są dość ciekawe.

– Naprawdę? Nie są dość ciekawe?

– Nikogo nie obchodzą.

Tully zerknął na zegarek. Autopsja powinna się już zacząć. Nie zgadzał się z ukrywaniem informacji, że znaleźli ciało w alejce i czaszkę wewnątrz jednego z budynków. Ale nie do niego należą takie decyzje. Tymczasem oglądał chaos na ekranie monitora.

Zastanawiał się, kto zgłosił pożar. Zdał sobie sprawę, że Racine nie powiedziała mu, jak właściwie znaleziono ciało w alejce. Czy znaleźli je strażacy? Czy osoba, która dzwoniła w sprawie pożaru wiedziała o tej ofierze? Zapisał sobie w pamięci, żeby o to zapytać, i znów przesunął okulary na nosie. Wtedy ujrzał pośród gapiów plamę czerwieni.

– Proszę zatrzymać.

Nadira nacisnął guzik. Obraz znieruchomiał.

Tully pokazał palcem.

– Można to powiększyć?

Montażysta bez słowa nacisnął kilka przycisków.

– Co to jest? – Samantha pochyliła się nad nimi.

Agent patrzył na powiększającą się plamę czerwieni. Dopiero po kilku sekundach zamazany obraz zyskał ostrość.

Trudno było określić, co to jest, ale Tully pomyślał, że to może być czerwony plecak.

– Może pan teraz pomniejszyć obraz, ale zatrzymać ten czerwony punkt w centrum i puścić od początku?

Rozległo się kilka cichych stuknięć. Grupa ludzi stała nieruchomo, przyglądając się. Wkrótce czerwona plama zaczęła się ruszać, powoli przeciskała się przez tę grupę i oddalała się od miejsca akcji. Zanim mężczyzna z czymś czerwonym dotarł do rogu wizjera, zniknął.

– Proszę zatrzymać – rzekł Tully. – Może pan cofnąć i powiększyć tego człowieka, nim oddali się od grupy?

Nadira spełnił prośbę.

– Kto to jest? – spytał.

– Nie wiem, ale mam jego plecak.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Maggie jechała do Quantico na spotkanie z Keithem Ganzą, podczas gdy Racine pracowała nad identyfikacją ofiary. Tully nie odbierał telefonu, Maggie podejrzewała, że wciąż siedzi w stacji telewizyjnej.

Nawet jeśli dowiedzą się, kim jest ta kobieta, pozostają pytania, kto ją zabił, gdzie i dlaczego. Jak znalazła się w tej alejce? Dlaczego morderca podłożył ogień w dwóch budynkach, ale nie spalił ciała? I czyja czaszka znajdowała się wewnątrz? Bezdomnego szukającego schronienia? Czy drugiej ofiary mordercy?

Ganza akurat szykował lunch, kiedy Maggie weszła do laboratorium. Wyjął z lodówki dwa pojemniki, które były wciśnięte między fiolki z krwią i opakowane próbki tkanki. Gdy zobaczył Maggie, zdjął pokrywkę z jednego z pojemników.

– Zjesz ze mną? Domowe lasagne.

– Sam zrobiłeś?

– Nie, co ty.

Włożył pojemniki do kuchenki mikrofalowej, a potem wyciągnął z szuflady dwa widelce. Maggie oderwała kilka papierowych ręczników, na podkładki i serwetki, i położyła je na stole na środku pomieszczenia. Ganza tymczasem wyjął papierowe talerze i dietetyczną pepsi z lodówki, postawił ją przed gościem.

Wyglądało to jak milczący rytuał starego małżeństwa. Zdała sobie sprawę, że robili to już wiele razy. Keith często dzielił się z nią lunchem, a Maggie tak niewiele wiedziała o jego życiu osobistym. Prawdę mówiąc, teraz, gdy o tym pomyślała, nie miała pojęcia, kto mógł przygotować lasagne. Ganza nie nosił obrączki i nigdy nie mówił o rodzinie. Maggie zawsze zakładała, że ma z nią coś wspólnego – ożenił się z własną pracą.

Na pierwszy rzut oka przypominał jej Ichaboda Crane'a. Wysoki, chudy, przygarbiony, z długimi, prawie zupełnie siwymi włosami, ściągniętymi w kucyk, przez co jego twarz wyglądała na mizerniejszą, niż była w rzeczywistości.

– Pokażę ci, co ciekawego znalazłem. – Wskazał na elektronowy mikroskop w rogu.

Przyłożyła oko do wizjera. Na szkiełku widniało coś długiego i cienkiego, rurkowatego i jakby pokrytego łuskami.

– To chyba włos zwierzęcia, ale nie wygląda na psi ani koci.

– Słusznie. Na jej ubraniu było mnóstwo takich włosów. Są dość trudne do zidentyfikowania.

– Znaleziono ją w alejce. Mogły tam być rozmaite stworzenia. A jeśli nie tam dokonano zbrodni, skąd wiesz, czy ten włos pochodzi z alejki czy z miejsca, gdzie ją zamordowano?

– Jestem pewien, że nie z alejki. To zwierzę najprawdopodobniej nigdy nie było w centrum miasta.

– Pojemniki na śmieci przyciągają różne stworzenia: szopy pracze, szczury, oposy.

– Ale raczej nie jelenie.

Maggie patrzyła na niego przez chwilę, jakby czekała, aż Ganza się zaśmieje. Ale Ganza nie żartował na temat dowodów. Przyłożyła znów oko do wizjera.

– Jesteś pewien?

– Tak. Łuski są unikalną cechą gatunku. Zdobyłem kilka próbek do badania. Wszystkie miały korzenie, czyli nie pochodzą z futrzanej odzieży. Futro zwierzęcia, z którego robi się ubranie, przycina się i zwykle farbuje. Te włosy mają cechy wskazujące na to, że zostały naturalnie zrzucone, prawdopodobnie na skutek linienia.

Kuchenka mikrofalowa się wyłączyła. Ganza podszedł sprawdzić, co z lasagne. Kiedy otworzył drzwiczki i woń czosnku i sosu pomidorowego rozeszła się po pomieszczeniu, do ust Maggie napłynęła ślina. Ganza nastawił timer na dodatkowe dwie minuty. Wrócił do szkiełek na blacie i wziął kolejne z nich, położył je pod mikroskopem w miejsce jeleniego włosa.

– To także znalazłem na jej ubraniu.

Maggie patrzyła na coś, co wyglądało jak zakurzone żółte ziarno ze śladami zieleni.

– *Centaurea diffusa* – rzekł Ganza. – Chaber drobnogłówkowy.

– Wiesz, gdzie to rośnie? – spytała.

– Rośnie dziko na Środkowym Zachodzie.

– To ogromny teren. Wiele kilometrów stąd. Jesteś pewien? Może ktoś hoduje gdzieś bliżej? Na podwórzu czy w ogrodzie?

– To byłoby wbrew prawu.

– To chwast.

– Znajduje się na federalnej liście chwastów trujących. Za przenoszenie szkodliwych roślin grozi kara.

– Okej, więc z jakiej części Środkowego Zachodu może to pochodzić?

– Często rośnie na poboczu dróg, na pastwiskach i łąkach. Wiesz... tam gdzie chodzą jelenie i antylopy – dodał z krzywym uśmiechem.

– Czemu zabijałby ją gdzieś na Środkowym Zachodzie i taszczył ciało przez pół kraju, żeby porzucić je w alejce obok pojemnika na śmieci?

– Nie byłby pierwszym mordercą, który jeździ z ciałem w bagażniku. Wiesz, że ci goście robią dziwne rzeczy. Pamiętasz Edmunda Kempera, który zostawił kilka odciętych głów w bagażniku i poszedł na spotkanie z dwoma stanowymi psychiatrami, którzy po tym spotkaniu uznali go za niegroźnego i zdolnego do życia na wolności.

Maggie wyjęła zdjęcia z autopsji, które Stan pozwolił jej zabrać. Przejrzała je i znalazła to z odciskiem kraty na ciele zmarłej kobiety. Podała fotografię Ganzie.

– Myślałam, że to może kratka w chodniku na innej ulicy czy alejce – powiedziała. – Teraz zastanawiam się, czy to nie wykładzina w ciężarówce lub SUV-ie?

Wziął zdjęcie i podszedł do blatu, położył je pod szkłem powiększającym. Włączył górne światło i przyglądał się zdjęciu, nosem prawie dotykał szkła.

– Mogę je zatrzymać na jeden dzień?

Zerknęła na szkło powiększające.

– Widzisz coś?

– Chciałbym je zeskanować do komputera i przeanalizować. Czasami te wykładziny mają odciśniętą markę.

Maggie pomyślała o tym, co Ganza powiedział o Edmundzie Kemperze. Kemper był podręcznikowym przypadkiem, na który żaden psycholog zajmujący się profilami psychologicznymi przestępców nie chciałby trafić. Nazywano go „Zabójcą studentek”. Ten imponującej postury mężczyzna zamordował swoich dziadków, kiedy miał zaledwie piętnaście lat. Kręcił się po kampusach uniwersyteckich i podwoził studentki, które podróżowały autostopem w rejonie Santa Cruz. Zamordował i poćwiartował sześć z nich. Dopiero gdy zabił matkę i jej przyjaciółkę, zgłosił się na policję.

Maggie spojrzała na Ganzę, gdy podniósł wzrok. Kiedy zobaczył jej minę, zmarszczył czoło i spytał:

– Co jest?

Maggie potrząsnęła głową.

– Nic – odparła, ale kiedy pomyślała o zmasakrowanej twarzy kobiety, przeszedł ją dreszcz. – Myślałam o Edmundzie Kemperze. Zabił matkę młotkiem z pazurem, kiedy spała, prawda?

Nie dodała, że myślała także o Albercie Stuckym, innym seryjnym mordercy, którego znakiem szczególnym było wkładanie części poćwiartowanych ofiar do pojemników na jedzenie na wynos i podrzucanie ich na kawiarniane stoliki, do sklepów na stacjach benzynowych czy na tace obsługi hotelowej.

Ganza odezwał się, jakby czytał w jej myślach:

– Miejmy nadzieję, że nie mamy do czynienia z takim psychopatą jak Kemper.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Samantha Ramirez powtarzała sobie, że nie okłamała agenta specjalnego R.J. Tully’ego. Po prostu przemilczała prawdę.

Jezu! Przejęła złe zwyczaje Jeffery’ego. Nazywał je taktyką przeżycia. Biorąc pod uwagę rodzaj zleceń i kaliber dupków, z jakimi mieli na co dzień do czynienia, umiejętność kłamania – skutecznego kłamania – stała się zaletą, a nie złym zwyczajem.

Dała Tully’emu do zrozumienia, że byli z Jefferym w okolicy magazynów, kiedy zaczął się pożar. Prawda wyglądała tak, że Samantha kilka godzin spędziła w domu. Położyła syna do łóżka i wypiła z matką filiżankę herbaty. Spała mocno, kiedy obudził ją telefon Jeffery’ego.

Teraz usiłowała sobie przypomnieć, czy wyjaśnił, skąd wie o pożarze. Zwykle o nic go nie pytała. Ten człowiek miał więcej kontaktów i informatorów niż CIA. Zakładała, że dostał cynk.

Powiedziała agentowi, że dziennikarz używa skanera radiowego – co było prawdą – jednak zdawała sobie sprawę, że w ten sposób nie mógł się dowiedzieć. Nie sądziła, żeby policja czy straż pożarna zostały zawiadomione o pożarze, zanim ona i Jeffery pojawili się na miejscu. Jej zdjęcia to potwierdzały. Do diabła, bezdomni dopiero zaczęli się wygrzebywać ze swoich pudeł i wyłazić z ciepłych kątów.

Jakim cudem Jeffery wiedział o tym tak wcześnie?

Tak naprawdę Samanthy to nie obchodziło, a może nie chciała się dowiedzieć. To samo dotyczyło decyzji Jeffery’ego, by nie reagować na opowieść Otisa P. Dodda. To nie jej sprawa. Ona ma koncentrować się na swojej pracy, którą bardzo lubiła i której nie chciała stracić. Dzięki Jeffery’emu jej rodzina miała dach nad głową i nie głodowała. O nic więcej nie dbała. Jeffery to umożliwił. Co więcej, postarał się, by dostawała premie, które odkładała dla syna. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, Ignacio nigdy nie będzie zmuszony walczyć o byt tak, jak musiały walczyć matka i babcia, przez lata pozbawione wsparcia mężczyzny.

Zdawała sobie sprawę, że jej sukces i stabilność finansowa zależą od sukcesu i zysków Jeffery’ego, i nie była tak dumna, by temu zaprzeczać. Jeffery Cole należał do najlepiej opłacanych dziennikarzy śledczych w kraju, i zdobędzie jeszcze większą sławę, gdy Big Mac da mu własny program. A zatem, kiedy pojawiały się problemy, Samantha przypominała sobie, że związała się z Jefferym na dobre i na złe i musi być gotowa na wszystko. Może matka ma rację. Może sprzedała duszę diabłu.

Zjechała z międzystanowej autostrady 66 i natychmiast znalazła bar, gdzie dziennikarz chciał się spotkać. Nie było to po drodze do miejsca ich kolejnego wywiadu, ale znów zamiast zadawać pytania, po prostu trzymała się instrukcji.

Czasami lubił jadać w takich oddalonych od świata barach. Kiedyś wybrali się bocznymi drogami Wirginii do czegoś, co wyglądało jak dwuizbowa buda z desek

szalunkowych na rzece. Z jednej strony sprzedawano przynętę i sprzęt wędkarski, z drugiej serwowano doskonałą grillowaną łopatkę wieprzową. Oczywiście, w niektórych miejscach żołądek Samanthy nie wytrzymywał, jak w tej chacie z bambusa w Jinja, w Ugandzie, z widokiem na jezioro Wiktoria. Już nigdy nie da się namówić do zjedzenia małpy.

Jak na Jeffery'ego ten bar wyglądał zbyt konwencjonalnie, ale znalazła stolik przy oknie i czekała.

Kiedy dziennikarz się pojawił, twarz miał zaczerwienioną, koszulę wygniecioną, rękawy koszuli niechlujnie podciągnięte. Krawat i marynarkę musiał zostawić w samochodzie, choć na dworze panował chłód. Samancie zdawało się, że był zadyszany.

– Wszystko w porządku?

Usiadł naprzeciw niej i sięgnął po menu.

– Oczywiście, a niby czemu miałoby być inaczej?

Przesunął drewniane krzesło, aż zaskrzypiało o podłogę, i usadowił się tak, by patrzeć przez okno. Nie podnosząc wzroku, rzekł:

– Mają tu świetny krem ze szparagów.

Wzruszyła ramionami. Jeffery stanowił interesujący przypadek, wciąż popadał w skrajności: to rozgorączkowany, to chłodny, wszystko postrzegał jako czarne albo białe. Jak sportowy samochód, który szybko się rozpędza, tak Jeffery błyskawicznie zmieniał nastrój, w ciągu niespełna pół minuty od spokoju przechodząc do wściekłości. Nie zamierzała jednak studiować jego

przypadku. Wystarczająco trudno było za nim nadążyć, schodzić z drogi albo trzymać jego stronę.

– Czym mogę służyć? – Kelnerka przyniosła dwie szklanki wody. Z tej, którą postawiła przed Jefferym, trochę się wylało.

Spojrzał na rozlaną wodę, jakby to były toksyczne odpady. W ręce trzymał jadłospis, łokieć opierał na stoliku obok kałuży wody. Samantha natychmiast zacisnęła zęby. Widziała już jego wybuchy, kiedy kelnerka przyniosła mu niewłaściwy widelec.

– Dla mnie krem ze szparagów – zamówiła szybko, próbując odwrócić uwagę towarzysza.

– Och, kochana, nie ma kremu ze szparagów. Dzisiaj jest kurczak z ryżem.

– Właśnie mówiłem mojej znajomej, Rito, jaki smaczny jest u was krem ze szparagów – wycedził Jeffery, czytając imię kelnerki z plakietki, z najlepszym ze swoich sztucznych uśmiechów, oznaczającym spokój przed burzą. – Jesteś pewna, że kucharz nie może go dla nas zrobić?

– Krem ze szparagów jest w poniedziałki, kochanie. Mogę wam przynieść kurczaka z ryżem.

– Wie pani co, założę się, że kurczak z ryżem jest równie smaczny – powiedziała Sam. – Poproszę. I grillowany ser.

Zamknęła i odłożyła menu. Starała się nie skrzywić i nie patrzeć na Jeffery’ego. To nigdy nie było miłe. Najpierw oznajmi kelnerce, że najwyraźniej nie ma pojęcia, kogo obsługuje. Potem poprosi kucharza. Kiedyś w restauracji w Miami kazał Samancie tłumaczyć swoje skargi na

hiszpański wraz z instrukcją, jak ma być przygotowane i podane jego danie główne.

Odwróciła wzrok i wyjrzała przez okno, żeby nie patrzeć na edukację Rity. Nawet nie zauważyła smużki dymu, dopóki Jeffery nie wyciągnął ręki nad stolikiem.

– Co to jest, do diabła? – Już był na nogach i pędził do drzwi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

– Jedno ciało nie znaczy, że to seryjny morderca – powiedziała Maggie do Keitha Ganzy. – Dzięki Bogu, tacy jak Edmund Kemper to wciąż rzadko spotykany gatunek.

Keith przytaknął i nabrał lasagne na widelec.

– Tylko nie rozumiem roli pożarów w tych morderstwach – dodała Maggie. – Kunze chce, żebyśmy z Tullym przygotowali profil psychologiczny piromana, ale dotąd żaden z typowych motywów nie wchodzi w grę.

– Z tego, co mi wiadomo, ATF wykluczyło oszustwo ubezpieczeniowe – odparł Ganza.

– Dostarczyli dowody z pożarów z zeszłego tygodnia?

Pokręcił głową.

– Kunze mnie prosił, żebym zajął się tymi dwoma. Powiedział, że nikt nie potrafi połączyć tych podpaleń. Żebym zobaczył, co mogę zrobić.

– Magazyny należą do różnych firm, więc zemsta jest mało prawdopodobna. Wszystkie pożary wybuchły w nocy, w tej samej okolicy. Racine powiedziała, że policja otoczyła cały teren i nic nie znalazła.

– Nikt niczego nie widział?

– Albo nie chcą mówić.

– Wydaje się, że to dzielnica bezdomnych.

– Tak. Ale jeśli jego celem są bezdomni, czemu podrzuca ciało ofiary zamordowanej gdzie indziej? I nie pali go?

– Jesteś pewna, że to nie bezdomna?

– Ogolone nogi, manikiur, pedikiur.

– Mógł ją poznać gdzieś po drodze.

– Zdaniem Racine zawartość żołądka ofiary świadczy o tym, że jadła w przydrożnym barze. Myślisz, że gdzieś utknęła?

– Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, czy nie jest prostytutką.

– Pracującą na autostradzie?

– Zdaje się, że nazywają je ciężarówkami... Nie, jakoś inaczej. – Uniósł pusty widelec jak dyrygent batutę, jakby ten gest pomógł mu przypomnieć sobie właściwe określenie. – Tirówkami. To cała subkultura w okolicach parkingów przy międzystanowych i miejscach postojowych dla ciężarówek. Podobno normalny człowiek, który tam przejeżdża, niczego nie zauważy, ale jeśli jesteś kierowcą ciężarówki i masz CB-radio, znasz kanały, gdzie można zamówić prostytutkę, narkotyki, cokolwiek; gdziekolwiek chcesz, o każdej porze dnia i nocy.

Nadział na widelec kolejną porcję lasagne i włożył do ust.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Czytałem w „USA Today”. – Uśmiechnął się i przeżuwał. – Poza tym pracuję z Programem Ścigania Brutalnych Przestępców ViCAP przy projekcie dotyczącym seryjnych zabójstw na autostradach.

Baza danych ViCAP-u stała się krajową skarbnicą wiedzy na temat brutalnych zbrodni. Policjanci federalni i stanowi z całego kraju mogą z niej korzystać, gdy chcą coś znaleźć czy przekazać informację.

Projekt, o którym wspomniał Ganza, powstał w 2009 roku w odpowiedzi na ponad pięćset ofiar mordów porzuconych w pobliżu autostrad lub na parkingach przy drogach. Choć zrodził się z inicjatywy FBI, Maggie znała go tylko z lektury.

– Dziwię się, że Kunze nie włączył cię do tej pracy – rzekł Ganza. – Wydaje się, że to idealne połączenie: sprawa niemożliwa do rozwikłania i niemożliwy do stworzenia portret psychologiczny. Akurat takie zadanie, jakie uwielbia ci wyznaczać.

Maggie wcale się nie podobało, że tak wielu kolegów widzi, co robi Kunze. Co jej o czymś przypomniało. Spojrzała na zegarek. Musi wracać do centrum na umówione przez szefa spotkanie z psychologiem.

– Wydajesz się przekonany, że wziął ofiarę do samochodu gdzieś na międzystanowej na Środkowym Zachodzie.

Ganza podrapał się w długą, wąską brodę.

– Może w jakimś punkcie przy drodze. Mam analizę benzyny. Pamiętasz, mówiłem ci, że chromatografia wykazuje skład chemiczny węglowodorów?

– Tak, że działa jak światłokopia.

– W tym wypadku prawie jak odcisk linii papilarnych.

– Co chcesz powiedzieć? Że możesz określić producenta benzyny?

– Lepiej. Mogę ci powiedzieć, na której stacji została kupiona.

– Niech zgadnę. Na jednej wzdłuż międzystanowej?

Ganza kiwnął głową, kiedy odezwała się komórka Maggie. Dzwoniła Racine. Niemożliwe, żeby tak szybko

zidentyfikowała ofiarę.

– Jesteś jeszcze w Quantico? – spytała Racine.

– Właśnie kończę.

– Wygląda na to, że facet przeniósł się na drugi brzeg.

– Jest środek dnia.

– Fort Myers przy autostradzie sześćdziesiątej szóstej. Pewnie zobaczysz dym. Podobno ruch przyhamował.

– Możliwe, że nie ma to związku z naszym piromanem?

– Dwa osobne pożary, w odległości trzech przecznic i trzydziestu minut drogi.

– Wygląda jak nasz – przyznała Maggie.

– Jest jedna różnica. Tym razem to nie magazyny. I mogą być ofiary.

– To co on podpalił?

– Dwa kościoły.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Tully poprosił Nadirę o wydrukowanie ostatniej klatki, zanim mężczyzna z czerwonym plecakiem znika z widoku. Dostał także powiększone zdjęcie faceta. Zbliżenie zniekształciło rysy, zamieniając twarz w zbiór ocienionych pikseli. Wyraźnie widać było tylko krótką brodę i zmierzwione włosy. Oczy, usta i nos pozostawały szaro-czarnymi rozmazanymi plamami.

Kilku strażaków i techników kryminalistycznych, korzystając ze sprzętu, wciąż przeszukiwało pogorzelisko. Żółta policyjna taśma otaczała spory teren, ale niespełna czterdzieści osiem godzin po pożarze dwóch bezdomnych już przeczołgało się pod nią, znajdując schronienie obok nowego pojemnika na śmieci.

To jednak nie alejka ani kontener przyciągnęły Tully'ego z powrotem na miejsce zbrodni. Znalazł się w tym samym punkcie, gdzie stała Samantha Ramirez, kiedy robiła zdjęcia, które trzymał teraz w ręce. Na ziemi połyskiwało potłuczone szkło. Większość śmieci – zwłaszcza te duże – została zagrabiona i przejrzana. Drobnica leżała na chodniku, śledczy wykorzystali betonowe płaskie podłoże jako miejsce do sortowania.

Uniósł fotografię formatu osiemnaście na dwadzieścia cztery centymetry, którą dostał od Nadiry. Próbował dopasować tło do tego, co widział w rzeczywistości.

Ramirez filmowała przed drugim wybuchem, więc zdjęcie różniło się od widoku, który właśnie oglądał.

Przyglądał się znakom drogowym i narożnikom budynków, aż zyskał pewność, że patrzy pod właściwym kątem. Miarowym krokiem ruszył tam, gdzie mężczyzna był widziany po raz ostatni.

Posuwając się powoli naprzód, trzymał fotografię przed sobą i przypatrywał się otoczeniu. Zerknął na trawę, potem na krawężnik i na jezdnię, skupiał się tylko na tym, co znajdowało się na jego drodze.

Po kilku minutach uznał, że zaszedł za daleko i zaczął się cofać. Zatrzymał się, by przyjrzeć się zdjęciu. Przesunął wyżej okulary na nosie. Na fotografii, tuż za prawym ramieniem mężczyzny, znajdowała się latarnia z przylepioną do niej ulotką. Tully nie zdołał dojrzeć szczegółów ulotki, widział za to, że ktoś przymocował ją szeroką taśmą.

Rozejrzał się i zobaczył prawdopodobnie tę samą latarnię. Ulotka i taśma klejąca wciąż na niej były, choć pokryte pyłem i sadzą. Wszedł na krawężnik i ustawił się dokładnie tam, gdzie, jego zdaniem, stał mężczyzna. Obejrzał się przez ramię, żeby się upewnić, że latarnia jest w tym samym miejscu co na zdjęciu. Potem Tully wziął głęboki oddech.

Okej, panie z czerwonym plecakiem, dokąd pan, do diabła, poszedł?

Powoli zaczął się obracać, obejmując wzrokiem okolicę, bramy i schody przeciwpożarowe na budynkach. Na fotografii nie było żadnych samochodów, pod które czy za

które mógłby się schować. Tully okręcił się wokół własnej osi, nim to zobaczył.

Jakiś metr na lewo ze studzienki kanalizacyjnej wydobywała się para.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Wszystko, co Cornellowi Stamoranowi pozostało na tym świecie, mieściło się w czerwonym plecaku. Czemu, do diabła, rzucił nim w tego gościa?

Zwyciężył instynkt – walcz albo uciekaj. Stamoran, który robił w życiu różne rzeczy i był dobry w różnych rzeczach, jednego nie mógł o sobie powiedzieć – że lubi walczyć. Za to ucieczki wychodziły mu nieźle.

Od czasu pożaru myślał wyłącznie o ucieczce. Zręcznie krążył newralgicznym podbrzuszem miasta, tam i z powrotem, zapisując sobie w pamięci rury i zawory, brnąc przez śmierdzące ścieki. Smród go nie odrzucał. Nie można mieszkać na ulicy, jeśli nie znosi się smrodu. Nawet odór własnego ciała już mu nie przeszkadzał.

Za to przeszkadzały hałasy. Echo go przerażało. Tak samo kapanie kropli, brzęk, syki, jęki i pomruki. Nie potrafił powiedzieć, co się, do diabła, wokół niego dzieje, czy słyszy kroki kogoś, kto go ściga, czy tylko mu się wydaje. Chociaż był prawie pewien, że ktoś za nim chodzi.

Z początku zmartwił się, że to ten człowiek, który rozlał benzynę w alejce. Nie mógł zapomnieć wyrazu jego twarzy, gdy tamten zobaczył Cornella ślizgającego się w kałuży paliwa. Jego krzywego uśmiechu, kiedy zapalił zapałkę. Gdyby Cornell nie dojrzał wówczas włazu kanału i nie doczołgał się tam, spaliłby się jak grzanka.

Ale to nie ten człowiek za nim szedł.

Potem Cornell pomyślał, że to zbieg okoliczności. Widział tego samego człowieka w różnych miejscach, zawsze tylko z daleka, ale tamten zawsze na niego patrzył. Cornell nie miał pojęcia, dlaczego tamten zadaje sobie tyle trudu i za nim łazi.

Wtedy właśnie zaczął schodzić do kanału i wychodzić z niego co i rusz w innym punkcie. Z dołu mógł spojrzeć przez kratę do góry i niemal zawsze stwierdzić, czy wyjście jest bezpieczne. O ironio, najlepiej było w porze największego szczytu, i to w najbardziej zatłoczonych miejscach, gdzie ludzie się spieszą i nikt nie zwraca uwagi na wyłażącego ze studzienki człowieka.

Oczywiście, pomagało mu to, że znalazł porzuconą kamizelkę i kask pracownika służb miejskich – fluorescencyjno pomarańczowe. Zamiast przyciągać uwagę, czyniły go niewidzialnym. Kamizelka i kask szybko stały się jego najcenniejszymi rzeczami. Nie tylko umożliwiały nieograniczony dostęp do podziemnego miasta, ale zyskał dzięki nim zaskakujący szacunek u ludzi. Kiedy w końcu przypomniał sobie, że ma w kieszeni spodni ponad trzydzieści dolarów, kupił miskę zupy i kanapkę w tym samym barze, gdzie jadł już poprzednio.

Ta sama kelnerka przyjęła od niego zamówienie. Ta, która wówczas przyglądała mu się podejrzliwie, a potem niechętnie wydała mu resztę, kiedy o to poprosił, w jednodolarowych banknotach. Tym razem, stawiając przed nim talerz, uśmiechnęła się. Dolała mu kawy, a nawet spytała:

– Jak leci?

Wiedział, że tego dnia cuchnie gorzej, niż wtedy gdy był tu za pierwszym razem. Choć próbował wyczyścić kurtkę, a wymiociny i benzyna już trochę wywietrzały, po łażeniu w kanałach przylgnął do niego nowy smród.

Wystarczyło jednak włożyć fluorescencyjną pomarańczową kamizelkę i kask i nikt nie zwracał na to uwagi.

Jadł znów przy barze i patrzył przez okno. Wciąż nie mógł uwierzyć, że rzucił swój plecak na ulicę. Wrócił do zaułka, żeby sprawdzić, czy uda mu się odzyskać coś z pudła. Myślał, że gliniarze opuścili już to miejsce. A przynajmniej alejkę. Kiedy zabrali ciało, widział, jak śledczy spakowali się i albo odjeżdżali, albo zajęli się gruzami wewnątrz budynku.

Powinien był poczekać dłużej. Jak już rzucił plecakiem pod nogi tego wysokiego gościa, ta kobitka za nim pobiegła. Nie mógł jej zgubić. Wiedział za to, jak zniknąć jej z oczu. Pozbył się jej, ale nie tego drania, który wciąż go znajdował.

Jeżeli to nie jest podpalacz, to kim on, do cholery, jest?

Nie wyglądał na glinę ani agenta FBI. Miał na sobie niebieskie dżinsy, niezłe robocze buty, czapkę z daszkiem, brązową zamszową kurtkę. Do diabła, wyglądał całkiem zwyczajnie, nie było w nim nic, co budziłoby grozę, poza tym, że wciąż się pojawiał. Cornell widział go opartego o latarnię i siedzącego na ławce. Raz nawet na przystanku autobusowym obok metra. Autobusy nadjeżdżały i odjeżdżały, a ten gość tam stał. Kiedyś zauważył go

w centrum, a potem kilka godzin później przy tych samych magazynach, gdzie wybuchły pożary. Nie istniał żaden inny powód, by facet znajdował się w tych dwóch różnych miejscach w mieście, poza tym, że śledził Cornella.

Parę razy, kiedy Cornell przemieszczał się kanałami, przysiągłby, że widzi za sobą jakiś cień. Światło było tam kiepskie, a długie odcinki pogrążone w kompletnej ciemności. Starał się ich unikać. Nawet tam, gdzie robiło się jaśniej, z rzadka jedynie znajdowały się gołe żarówki wetknięte w labirynt rur.

Pierwszy raz zauważył tego mężczyznę chwilę przed tym, nim rzucił plecakiem. Chociaż tamten nie wyglądał na gliniarza, Cornell pomyślał, że może należy do grupy śledczych, tylko dlatego, że gość stał za żółtą policyjną taśmą. Stał oparty o jeden z samochodów, patrzył i palił papierosa.

Może znał zmarłą kobietę. Dreszcz przebiegł Cornellowi po plecach i nagle ogarnęły go nudności. Odłożył łyżkę. Wypił łyk wody, czekał, aż mdłości miną. Nie lubił wracać myślą do tej kobiety. Nie lubił przypominać sobie jej zmasakrowanej twarzy, stłuczonej i rozerwanej jak kawał wołowiny.

Cornell chwycił paczuszkę słonych krakersów. Ręce mu drżały, z trudem rozerwał folię, zdesperowany, żeby się do nich dostać. Wyjął krakersa i szybko włożył do ust, trzymał na języku z nadzieją, że sól pomoże opanować mdłości. Niestety bezskutecznie.

Włożył do ust kolejnego. Czy nie mówi się, że krakersy pomagają na mdłości? Pewnie nie w przypadku, gdy gołymi rękami ciągnęło się trupa. Wciąż nie wierzył, że go dotknął.

Podniósł wzrok. Mężczyzna w brązowej zamszowej kurtce stał tuż za oknem baru i patrzył wprost na Cornella.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Kiedy Maggie dotarła na miejsce, krzyż na szczycie wieży płonął na tle przesłoniętego dymem nieba. Kilka przecznic dalej widziała drugi czarny słup dymu.

Okazała odznakę przy pierwszej barykadzie, pół przecznicy od ognia. Policjant w mundurze uniósł żółtą taśmę i wskazał na detektyw Racine. Teren na drugim brzegu rzeki nie podlegał jurysdykcji Racine. Tylko z tego powodu stała z tyłu i tolerowała mężczyznę, który jej towarzyszył. Maggie poznała Brada Ivana, śledczego ATF.

– Czy to się stało w czasie mszy? – spytała, dołączywszy do nich. Zobaczyła trzy zaparkowane w różnych miejscach karetki. Jedna wjechała na trawnik przed kościołem.

– Nie – odparła Racine. – Ale w piwnicy jednego kościoła było spotkanie Towarzystwa Ołtarzowego.

– Są ofiary śmiertelne?

Racine milczała, spojrzała na Ivana. Poza granicami stolicy sprawa podlegała ATF.

– Nie wiadomo. Są wciąż wewnątrz – odrzekł Ivan, podciągając spodnie. Nagle znieruchomiał, bo pasek spodni zatrzymał się poniżej pasa.

Maggie domyśliła się, że ten gest to stare przyzwyczajenie, ale brzuch jest nowy i wciąż go zaskakuje. Ivan wyglądał na człowieka, który jeszcze do niedawna dbał o formę. Może zmienił tryb życia, spekulowała, albo godziny pracy, może jest w separacji albo się rozwiódł.

Zaciekawiona, która z jej teorii jest prawdziwa, zerknęła na lewą dłoń Ivana i dojrzała delikatny pasek jaśniejszej skóry w miejscu, gdzie nosił obrączkę.

Maggie czekała, aż Ivan dokończy informację, ale po podciągnięciu spodni zamilkł. Nie widziała jego oczu za lustrzanymi okularami przeciwsłonecznymi. Dziwne, że nosił okulary, kiedy dym zasłonił słońce.

– Środek popołudnia to nie jego pora – powiedziała. – Skąd wiadomo, że to ten sam człowiek?

– Byłoby miło, gdybyśmy mieli jakiś profil psychologiczny.

Jego sarkazm zdziwił Maggie. Nie sądziła, że stać go na coś tak złożonego jak sarkazm. Racine uniosła brwi. Chyba ją też zaskoczył.

– Morderstwa w poprzednim miejscu wykluczają typowy profil podpalacza – odparła rzeczowo Maggie. – Jeśli odjąć te dwie ofiary, podpalacz staje się uciążliwym recydywistą.

– Tak, mężczyzna poniżej dwudziestu pięciu lat, biały, z dysfunkcyjnej rodziny, ojciec nieobecny albo agresywny, pracownik fizyczny, jeśli w ogóle ma pracę, niska samoocena, niskie IQ, społecznie nieprzystosowany i tak dalej, i tak dalej. Widziałem takie profile. Nic z nich nie wynika.

– Rozumiem, że ma pan własny profil – rzekła Racine.

Maggie zauważyła, że Ivan nie dostrzegł ironii policjantki. Zdawało jej się nawet, że Racine robi krok naprzód, jakby chciała stanąć w jej obronie. Może słyszała pulsowanie w jej skroni. Zaczęło się, gdy tylko agentka wyszła od Ganzy.

– Moim zdaniem jest starszy – oznajmiła, kiedy wyczuła, że Ivan nie spodziewa się jej komentarza. Pewnie dlatego kontynuowała: – Raport szefa straży pożarnej wspomina, że pożar spowodowała reakcja chemiczna.

– Zgadza się. Paliło się wyjątkowo szybko, temperatura była bardzo wysoka. Nie posłużono się żadnymi innymi środkami, które przyspieszają spalanie.

– Ale w alejce pachniało, jakby rozlano tam benzynę.

– To wyjątek. Nawiasem mówiąc, pożar nie zaczął się od tej strony budynku. Ten człowiek korzysta z materiałów, które znajduje na miejscu. Ale przynosi też ze sobą coś, cokolwiek to jest, co powoduje reakcję chemiczną.

– Żadnego układu zegarowego?

– Jak dotąd niczego nie znaleziono. Ale to wszystko pasuje do profilu piromana, prawda? – spytał Ivan z krzywym uśmiechem, jakby prowokował Maggie. – Zaburzenia kontroli impulsów. Zbiera to, co znajduje, żeby wzniecić pożar: szmaty, gazety, śmieci. Nie myśli o tym ani tego nie planuje. Musi zaspokoić impuls i pragnienie przeżycia czegoś ekscytującego, rozładować napięcie seksualne.

Powściągnęła westchnienie frustracji. Czy on mówi serio, czy się z niej nabija? Przyglądała się jego twarzy i stwierdziła, że śledczy ATF żartuje z niej i jej pracy. Piromania to termin, jakim lubią posługiwać się psychiatrzy i adwokaci. W rzeczywistości niewiele podpaleń tej skali przypisywano działaniu czyjegoś niekontrolowanego impulsu czy nieodpartej chęci podpalenia w celu „rozładowania napięcia seksualnego”, jak wyraził się Ivan.

– Powiedział pan, że musiał przynieść ze sobą jakieś środki chemiczne – zauważyła Maggie. – Trudno to nazwać działaniem impulsywnym, skoro nosi ze sobą coś, co pozwala mu wywołać taką temperaturę spalania.

Śledczy wzruszył ramionami.

– Więc jaki jest pani profil?

Wyglądał na zadowolonego, że postawił ją w niezręcznej sytuacji. Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i splótł ramiona na piersi. Za nimi wyły syreny. Policjanci z gwizdkami kierowali ruchem. Nad głowami słyszeli helikopter, wciąż zbyt daleko, by powiedzieć, czy to helikopter ratunkowy, czy ekipa telewizyjna.

– Jest wykształcony – zaczęła Maggie. – Reakcja chemiczna, w której ważny jest czas, a także właściwe proporcje, to nie jest coś, czego można się nauczyć w harcerstwie czy z internetu. Zapewne była to część jego pracy. Może nadal się tym zajmuje. Jest osobą, która nie przyciąga uwagi. Potrafi zniknąć w tłumie. Wygląda na miejscowego.

– Tak, a co to za praca, gdzie człowiek zajmuje się środkami chemicznymi, które wywołują pożar? – spytał sceptycznie Ivan.

Tym razem wzruszyła ramionami. Nie była ekspertem od podpaleń. Chciała powiedzieć, że być może ktoś z Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych albo śledczy ATF, jak Ivan, powinien rozwiązać tę część zagadki.

– A czym on jeździ?

Mało nie przewróciła oczami. Mieli taką obsesję na punkcie samochodu, jakim porusza się przestępca, że organizowali blokady, czy było to konieczne, czy też nie. Pokręciła głową.

– To bez znaczenia, myślę, że parkuje z dala od miejsca podpalenia i idzie kilka przecznic piechotą.

– Nie pomaga mi pani.

– Okej, a sprawdzał pan okoliczne oddziały ratunkowe?

– Oddziały ratunkowe?

– Proszę szukać osób z poparzeniami środkami chemicznymi. Środek, którego używa, mógł poparzyć mu skórę czy nawet zmienić jej kolor.

– Świetnie. Więc szukamy faceta powyżej dwudziestu pięciu lat, wykształconego, w dość dobrej formie, żeby przeszedł kilka przecznic na piechotę, i który może mieć – co? Fioletowe palce? To ma mi pomóc?

– Hej – odezwała się Racine. – To więcej, niż mieliśmy godzinę temu.

– Tyle że te dwa pożary trochę to zmieniają – podjęła Maggie.

– O czym pani znów mówi?

– Kościoły zamiast magazynów. Środek dnia. Jeśli wiedział, że w kościele są ludzie, nie jest recydywistą, który lubi stać z boku i przyglądać się chaosowi albo czytać nagłówki gazet nazajutrz. Fakt, że w środku byli ludzie, zmienia jego motyw.

– Co z ofiarami w ostatnim pożarze? – spytał.

– Mógł nie wiedzieć, że ktoś znajduje się wewnątrz. – Choć Maggie wiedziała, że jeśli czaszka została zmasakrowana w ten sam sposób jak twarz kobiety w alejce, istnieje szansa, że ofiara wewnątrz budynku nie była przypadkowa.

– Jeszcze nie znamy tożsamości tej kobiety – dodała Racine. – Zdecydowanie nie została tam zamordowana. Jej zabójstwo może nie mieć nic wspólnego z podpaleniami.

– Ciekawe – rzekł Ivan, przenosząc znów ciężar ciała z nogi na nogę i przytupując. – Nadal jednak nie usłyszałem od pani porządnej charakterystyki tego człowieka.

– Czego dokładnie pan oczekuje? – spytała Maggie. – Mam powiedzieć, że nosi dwurzędowe marynarki i się jąka? Że kuleje i jeździ białym samochodem? – Celowo połączyła profile sławnych przestępców. Po pierwsze Mad Bombera z lat czterdziestych dwudziestego wieku. Po drugie Snajpera z Waszyngtonu.

Ivan patrzył na Maggie, a raczej skierował na nią lustrzane okulary. Potem na jego wargach pojawił się uśmiech, jakby coś zrozumiał.

– Racja. Profil Snajpera z Waszyngtonu okazał się kompletną pomyłką. Typ samochodu to był tylko jeden z wielu błędów. Pani dowodzi tylko mojej racji, agentko O’Dell.

– Pan też musi mi podać jakieś fakty. Agent Tully i ja zostaliśmy poproszeni o przygotowanie profilu psychologicznego sprawcy pożarów, ale od waszego departamentu dostaliśmy bardzo mało informacji. Do tej

pory musi pan wiedzieć, a przynajmniej spekulować, jakie środki chemiczne zostały zastosowane podczas podpalenia.

– Chwileczkę – rzekła Racine. – Wydział Policji sądzi, że ATF i FBI wspólnie pracują nad tą sprawą.

Maggie zauważyła, że Ivan zacisnął zęby i wciągnął powietrze. Odwrócił od niej głowę. W szkłach jego okularów widziała odbicie tańczących płomieni. Było coś niepokojącego w tym widoku.

– Nasze laboratorium wciąż to rozpracowuje.

– Coś panu powiem. Zawrę z panem umowę.

Okulary znów odwróciły się w jej stronę.

– Proszę przesłać wszelkie dowody, które znaleźliście, do Keitha Ganzy. Kiedy on mi przekaże, jakie to środki chemiczne, będę dla pana miała szczegółowy profil w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Kolejny wóz strażacki nadjechał na sygnale i zatrzymał się jakieś sto metrów od nich. W okularach Ivana Maggie widziała dwóch wysiadających strażaków. Śledczy wciąż milczał. Maggie usłyszała, że ktoś ją woła. Dopiero po dłuższej chwili rozpoznała strażaka w pełnym ochronnym ubraniu i w nasuniętym na brwi kasku.

To był Patrick.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

– Ta laska, ta policjantka, to twoja siostra?

– Nie jest policjantką. Jest agentką FBI. – Patrick wyciągał sprzęt na chodnik.

– Wygląda znajomo. O, wiem. Wczoraj wieczorem w telewizji. Czy nie wystąpiła w programie Larry'ego Kinga?

– Larry King już nie prowadzi programu.

– Naprawdę? A co mu się stało?

Nie był w nastroju na pogaduszki. Wystarczy, że wpadł tutaj na Maggie. Niepotrzebne mu idiotyczne gadki Harpera.

– Jest mężatką?

– Rozwódką.

– To nawet lepiej. Wiesz, co mówią o rozwódkach?

Patrick nie wiedział i nie chciał wiedzieć.

– Co sobie zrobiłeś w rękę? – zmienił temat. Wskazał na świeżą bliznę na grzbiecie prawej dłoni Harpera.

– Nic. – Harper szybko włożył rękawicę. – Może byś mnie przedstawił.

– Nie uważasz, że powinniśmy przygotować sprzęt?

– Hej, wyluzuj, koleś. Tym razem nie jesteś szefem.

Harper znów objął Maggie spojrzeniem i wrócił do pracy.

– Między kościołem a budynkiem naszego klienta są trzy inne budynki – mówił cicho. – To nic pilnego. Pewnie nie

trzeba będzie nawet użyć piany, jeśli chłopaki zrobią, co należy.

Przez „chłopaków” rozumiał prawdziwych strażaków. Patrick popatrzył w ich stronę. Mieli cholernie trudną robotę. Węże były wciąż podłączone do hydrantów. Drugi wóz strażacki pędził dwie przecznice dalej. Syrena przycichła, a potem całkiem umilkła, kiedy samochód zajechał przed drugi płonący kościół. Ogień wypluwał czarne chmury dymu, ale pracownicy Agencji Ochrony Braxtona nie przyjechali tutaj pomagać przy gaszeniu kościołów.

Patrick znosił tę sytuację znacznie gorzej niż podczas ostatniego zadania, kiedy zlali dom na wszelki wypadek i przyglądali się z daleka. Być właśnie tutaj, czuć gorąco płomieni i dym w płucach, i tylko stać i patrzeć, to było nie w porządku. Wbrew jego instynktowi.

Ścisnął rękawice w ręce zamiast je włożyć. Bezradnie obserwował pożogę, nie wiedząc, jak postąpić. Spojrzał na partnera, który wyjął tablet, ale patrzył na płomienie.

– Nawet fajnie to wygląda, co? – powiedział Harper i uśmiechnął się do kolegi. – Ogień żyje własnym życiem, czerwono-złote piekło wszystko pochłania.

Patrick zawsze uważał, że ogień jest fascynujący, ale nie użyłby jednak słowa fajny.

– Czasami – odezwał się Harper cichym głosem – nawet gdy nie pracuję, jadę na miejsce pożaru, żeby popatrzeć.

– Poważnie?

– Tak. Mam skaner radiowy, więc wiem, czy pali się gdzieś w okolicy. Ogień zawsze mnie przyciągał. Jak byłem młodszy, miałem ksywkę Zapałka. – Zaśmiał się, ale Patrick mu nie zawtórował. – Rodzice bardzo się ucieszyli, kiedy się dowiedzieli, że chcę być strażakiem, a nie podpalaczem.

Harper patrzył na płonącą wieżę przez kilka sekund, po czym zajął się tabletem. Przeglądał ich listę kontrolną, wypełniał wymagany formularz, który ich klient – grupa biur prawnych trzy budynki dalej – będzie musiał podpisać, kiedy skończą.

Patrick obejrzał się na Maggie, która stała z detektyw Racine. Wyznanie partnera przypomniało mu o obiedzie świątecznym u Maggie na Boże Narodzenie w minionym roku. Racine spytała go wtedy, dlaczego chciał być „małpą z wężem”. Nie obraził się za to określenie rodem z policyjnego slangu. Wiedział, że policjantów i strażaków łączą miłość i nienawiść jednocześnie i że Racine nie miała nic złego na myśli.

Strażacy za pomocą toporów przedzierają się przez ogień, skupieni na tym, żeby uratować jak najwięcej osób, które przebywają w płonącym budynku. Muszą szybko dostać się do środka. Znaleźć żywych i błyskawicznie ich stamtąd wyprowadzić. A potem gaszą ogień. Jest przy tym sporo bałaganu. To nie ulega wątpliwości. Policjanci, detektywi, śledczy i technicy kryminalistyczni wściekają się, kiedy strażacy zadeptują dowody, czasem je niszczą, a czasami spłukują wodą.

Maggie sądziła chyba, że brat chciał zostać strażakiem tylko dlatego, by pójść w ślady ojca. Kiedy Patrick dowiedział się, że tata poświęcił życie, ratując innych, rzeczywiście pomyślał, że to wspaniałe. Nie znał go, ponieważ Thomas O'Dell zginął, zanim syn się urodził. Zapewne Patrick przesadzał, wyobrażając sobie ojca jako superbohatera, jednak nie było nic złego w tym, że chciał pójść w jego ślady.

Wiedział, że jest urodzony do tej pracy i może być dobrym strażakiem. Zrozumiał to przed rokiem, kiedy wybrał się razem z przyjaciółmi do Mall of America dzień po Święcie Dziękczynienia. Eksplodowały tam trzy bomby i część centrum handlowego legła w gruzach.

Mógł bez problemu oddalić się stamtąd, ale tego nie zrobił. Podczas gdy innym instynkt kazał uciekać, Patrick bez wahania zawrócił i pobiegł na miejsce katastrofy, żeby sprawdzić, czy może pomóc.

– Myślę, że jest mi to przeznaczone – wyjaśnił wtedy Racine.

– Czyli że co? Bóg ci powiedział, że powinieneś być strażakiem?

Już wówczas wiedział, że Racine ma cięty język. Uśmiechnął się uprzejmie i odparł:

– Właśnie. Tak jak pani Bóg powiedział, żeby została pani detektywem w wydziale zabójstw.

Nagle witrażowe okno kościoła wystrzeliło deszczem kolorowego brokatu. Drobinki roztrzaskanego szkła sypały

się na trzech strażaków. Zakryli się i natychmiast wbiegli do kościoła.

Patrick stał z tyłu i patrzył. Czuł ucisk w żołądku, zaciskał palce na rękawicach. Powinien za nimi pobiec, a nie przyglądać się z boku i szykować do zlewania wodą budynku, który się nie palił.

Strażak przed nim mocował się z wężem, chciał go bardziej rozwinąć. Kolega krzyknął na niego, żeby się pospieszył, po czym zniknął w kościele. Patrick nawet nie spojrzał na Harpera. Zapiął pasek kasku pod brodą i włożył rękawice. Potem ruszył na pomoc strażakowi z wężem, świadomy, że może przez to stracić najlepszą pracę, jaką miał od dłuższego czasu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

– Przejmujesz się tym – powiedziała Julia Racine, gdy tylko Ivan je opuścił, tuż po eksplozji okien.

Maggie dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Julia mówi o Patricku. A ponieważ milczała, policjantka podjęła:

– Tate Braxton to dupek, ale jego strażacy są świetnie przygotowanymi profesjonalistami.

– Skąd znasz Braxtona?

– Tylko ze słyszenia. Jest biznesmenem. Robi to dla kasy. Ale zatrudnia wyłącznie najlepiej wykwalifikowanych.

Stały ramię przy ramieniu, obserwując płomienie. Właśnie niesiono kogoś na noszach do karetki. Maggie westchnęła z ulgą, kiedy człowiek na noszach uniósł rękę i zobaczyły, że żyje. Wyczuwała jednak frustrację Racine. Zniecierpliwienie i napięcie dosłownie z niej promieniowały.

– Kilka lat temu umawiałam się z taką jedną ze straży Braxtona – dodała Racine.

Maggie wiedziała, że Julia nie znosi czekania i poczucia, że jest odsunięta na bok, i zawsze w takich sytuacjach ucieka się do pustych rozmów.

– Ona też nie doczekała się Walentynek?

Żadna z nich się nie poruszyła, nie wymieniły też spojrzeń.

– No – odparła Racine.

Maggie domyśliła się, że policjantka lekko się uśmiechnęła.

Telefon w kieszeni zaczął wibrować, wyjęła go.

– Maggie O’Dell, słucham?

– Mówi Tully. Właśnie się dowiedziałem o kościołach. Mam przyjechać?

– Nie, chyba że chcesz stać tu ze mną i Racine i się gapić.

– Jak to wygląda?

– Źle. Tym razem są ofiary. W piwnicy jednego z kościołów odbywało się spotkanie.

– Jest środek dnia. Facet nabiera pewności siebie.

– Albo staje się lekkomyślny.

Telefon Racine zaczął dzwonić. Wyciągnęła go z kieszeni i odeszła parę kroków, żeby odebrać.

– Ten gość z czerwonym plecakiem – podjął Tully. – Był tam podczas pożaru magazynów. Na filmie widać go w grupie gapiów, przed wybuchem w drugim budynku.

– To nie znaczy, że on je podpalił.

– Nie, ale posłuchaj. Zamiast normalnie odejść, facet znika w studzience włazowej.

– Dziwne. Jesteś pewien?

– Wróciłem tam. Tak, jestem pewien. Po co złazić do kanału, jeśli nie ma się nic do ukrycia?

– Może nie chciał być widziany. Wiesz, kim jest ten człowiek?

– Nie. Nie wiem nawet, jak go znaleźć, nie sprawdzając wszystkich studzienek w promieniu dziesięciu przecznic.

– Niezły pomysł.

– Żartujesz, prawda?

– Nie w promieniu dziesięciu przecznic, ale może wokół miejsca pożaru. Kręcił się tam podczas pożaru, a potem co najmniej raz tam wrócił. Może szukał czegoś w alejce. Czegoś, co tam zostawił. Co by go obciążyło.

– Słuszna uwaga.

Tully mówił zmęczonym głosem. Maggie chciała zapytać, jak się czuje i czy z jego ręką wszystko w porządku, ale wiedziała, że on nie znosi takich pytań tak samo jak ona.

– Kiedy skończysz z doktorem Kernanem?

Kernan. Prawie zapomniała.

Mocniej ścisnęła telefon. Przetarła oczy, palce znalazły bliznę na skroni. Nie zdawała sobie sprawy, że tak długo milczy, dopóki Tully nie powiedział:

– Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebowała, okej?

Uśmiechnęła się i obiecała mu, że tak właśnie zrobi. Potem się rozłączyła, w chwili gdy Racine skończyła rozmowę. Nie wyglądała na zadowoloną. Unikała spojrzenia Maggie, zerkała na płomienie, na karetki, wszędzie, byle nie na koleżankę.

– W końcu przekazali informację na temat implantu piersi – oznajmiła, wciąż na nią nie patrząc. – Producenta obowiązują przepisy dotyczące ochrony prywatności. Powiedział, że musimy się skontaktować z chirurgiem.

– Dzwonił ten producent?

– Nie. Chirurg. Nasza ofiara to Gloria Dobson, matka trojga dzieci, chorowała na raka piersi. Pochodzi z Concordii w stanie Missouri. Cały ten tydzień miała być na konferencji w Baltimore.

Maggie zauważyła, że policjantka wciąż unika jej wzroku. Wyglądała, jakby trzymała w ustach coś niesmacznego. Próbowała nie wypaść z roli twardzielki i nie okazać, że ta wiadomość ją poruszyła.

– Zwróciłaś uwagę – podjęła Racine – że to zawsze kobiety lądują w śmietniku? Facetom rzadko się to trafia.

Maggie milczała, choć mogła przypomnieć, że Gloria Dobson została znaleziona obok pojemnika na śmieci, a nie w nim. To szczegół bez znaczenia, kiedy człowiek pomyśli o brutalności tej bezsensownej zbrodni.

– Pokonała raka – ciągnęła Julia – żeby skończyć w pieprzonym śmietniku.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Po raz pierwszy Samantha Ramirez ujrzała go po drugiej stronie żółtej policyjnej taśmy. Kiedy ją spostrzegł, jego uśmiech – dołeczki i białe zęby – sprawił, że zarumieniła się jak nastolatka.

Co się z nią dzieje?

Rzuciła wzrokiem na Jeffery'ego Cole'a, czy coś zauważył. Na szczęście był zbyt zajęty sobą, żeby zwracać uwagę na innych. Samancie zawsze wydawało się to trochę dziwne. Czy dziennikarze śledczy nie powinni być spostrzegawczy? Od chwili gdy usłyszeli, że w piwnicy kościoła są uwięzieni ludzie, wlepiał wzrok w boczne drzwi, którymi, jak się spodziewał, ich wyprowadzą. Dotąd uratowali tylko jedną osobę. Jeffery kazał kamerzystce skierować obiektyw na drzwi, ale udało się zrobić zaledwie kilka ujęć tłumu.

Dziennikarz zamierzał przeprowadzić wywiad z którymś ze strażaków. Wszyscy go ignorowali. Kiedy Samantha zobaczyła zbliżającego się Patricka, chciała do niego pomachać, ostrzec go. Spotkała się z nim wzrokiem i powoli lekko pokręciła głową. Patrick zatrzymał się w pół kroku, minę miał taką, jakby go przyłapano na czymś niestosownym. Co gorsze, wyglądał na zranionego.

Było jednak za późno. Jeffery już go dojrzał i natychmiast popatrzył na kamerzystkę z niewypowiedzianym pytaniem: „Znasz tego gościa?".

Zanim Patrick zawrócił, dziennikarz pospieszył naprzód, w jednej ręce trzymał mikrofon, drugą poprawiał krawat. Ruszyła za nim, chociaż tego nie chciała. Nagle kamera wydała się ciężka do bólu. Zauważyła, że ręce jej się trzęsą.

Jeffery przedstawił się Patrickowi i zarzucił go pytaniami.

– Może nam pan powiedzieć, jak przebiega akcja? Są jakieś nowe wiadomości na temat ludzi uwięzionych wewnątrz? Czy ten pożar zaczął się tak jak wszystkie poprzednie?

Samantha się skrzywiła. Nie mogła spojrzeć Patrickowi w oczy. Przez ułamek sekundy dotknęła przycisku wyłączającego kamerę i mało go nie nacisnęła. Ale wtedy zgasłaby lampka kontrolna i Jeffery od razu wiedziałby, co zrobiła. Nalegałby, by włączyła kamerę. Za to Patrick miałby okazję uciec.

– Nie należę do tej jednostki – odparł Patrick, stojąc dokładnie tam, gdzie się zatrzymał. Nie cofnął się, ale też nie podszedł bliżej.

Poczuła na sobie jego pytający wzrok. Skupiła się na wizjerze i starała się nie patrzeć na niego nawet okiem kamery.

– Jest pan w stroju strażaka. – W głosie Jeffery’ego pobrzmiewało zdenerwowanie. – Kim pan jest? Musi pan mieć jakieś pojęcie, co się dzieje?

Wzdrygnęła się, stanęła sztywno wyprostowana. Wzięła głęboki oddech, czekała, aż dziennikarz pokaże swoją waleczną stronę. Ten człowiek znał tylko skrajności.

Samantha stała czujna. Opuściła rękę i jednym ruchem kciuka przerwała transmisję na żywo.

– Jestem w stanie gotowości.

Zobaczyła, że Patrick zaczyna się bronić. Zacisnął zęby. Zwinął w pięści dłonie w rękawicach. Jego spojrzenie stwardniało, nie patrzył już na nią ani na kamerę, ani na Jeffery'ego.

– W stanie gotowości? – Jeffery się zaśmiał. – Poważnie? Jak ochroniarz? Strażak do wynajęcia? Bardzo ciekawe. Dla kogo właściwie pan pracuje?

– Nie mam obowiązku na to odpowiadać. Zresztą muszę wracać do pracy – rzekł Patrick, ale się nie ruszył.

– Tak, oczywiście, nie chcielibyśmy przeszkadzać panu w tym stanie gotowości. Więc nic pan nie wie na temat pożarów? Jest pan tutaj tylko na wypadek, gdyby był pan potrzebny?

Wtedy Jeffery musiał sobie uświadomić, że straci jedyną okazję. Samantha zauważyła, że z antagonisty znów zamienił się w prezentera wiadomości.

– Z pewnością coś pan słyszał. Jest pan na terenie niedostępnym dla innych. Jakie są nastroje? Pewnie bardzo się spieszą, żeby tych ludzi wydostać? Może wiedzą już, że sprawa jest beznadziejna?

Poprawiła ustawienie kamery, a przy okazji zasłoniła palcem wizjer. Kciukiem wymacała przycisk i wyłączyła nagrywanie głosu. Lampka kontrolna nadal się paliła, jakby nigdy nic.

– Nie jestem upoważniony do przekazywania panu informacji.

– Czy stanie się coś złego, jeżeli powie nam pan ogólnie, co się dzieje? Jak to jest stać z boku i patrzeć?

– Na pewno już oznajmił, że nie ma panu nic do powiedzenia – odezwał się kobiecy głos.

Jeffery gwałtownie odwrócił głowę i ujrzał zbliżającą się do nich kobietę.

– Agentka specjalna Maggie O’Dell. Bardzo się cieszę, że jest pani dzisiaj z nami.

Samantha przesunęła kamerę zgodnie z ruchem ręki Jeffery’ego, ale nie ruszyła palca z wizjera. Wpadnie w poważne tarapaty. Już próbowała wymyślić usprawiedliwienie. Nakręciła jakiś materiał nawet wtedy, gdy zjeżdżała ze ściany błota podczas huraganu. Nie znajdzie wiarygodnego wyjaśnienia przerwy w tym nagraniu. Dziennikarz wydawał się zupełnie nieświadomy jej sekretu; żeby się czegoś domyślić, musiałby słyszeć jej walące serce.

– Pan Murhpy nie jest upoważniony do składania oświadczenia.

Kamerzystka modliła się w duchu: „Proszę, tylko nie mów, że to twój brat. Proszę, nie mów, że go znam”.

– Właśnie zamierzałem odejść – rzekł Patrick. Spojrzał na nią, a potem się odwrócił. Widziała, że Jeffery to zauważył. Jeśli miała jakieś wątpliwości, czy domyślił się, że się znają, jego uśmiech je rozwiał.

– No więc, agentko O’Dell, może pani powie nam, co się dzieje? Są ofiary śmiertelne? Czekamy na jakieś informacje, żeby przekazać naszym widzom, czy osobom przebywającym w podziemiach kościoła coś zagraża.

– Nie mam pojęcia. – Maggie ruszyła za Patrickiem.

– Może zechciałaby pani skomentować pani filmowy portret, który nadaliśmy wczoraj wieczorem?

Agentka wyprostowała plecy, ale się nie zatrzymała. Oby nie okazała złości, bo Samantha nigdy nie zrekompensowałaby braku tego nagrania. Jeffery by ją wylał, na sto procent.

Jeffery Cole, wieczny aktor, stanął tak, żeby kamera pokazała jego lepszy profil, po czym zaatakował:

– To może zechce pani skomentować wywiad z pani matką, który nadamy dziś wieczorem?

Tym razem O’Dell się zatrzymała.

– Słucham?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Kiedy Maggie siedziała w gabinecie doktora Kernana poprzednim razem, była jeszcze bardziej zdenerwowana. Seryjny morderca Albert Stucky przewrócił jej świat do góry nogami. Kilka lat wcześniej Stucky uciekł, porzucając ranną i krwawiącą Maggie w magazynie w Miami. Wcześniej kazał patrzeć, jak patroszy dwie kobiety.

Albert Stucky trafił w końcu za kratki, ale podczas transportu udało mu się uciec. Zabił dwóch strażników. Później postanowił mordować kobiety, które miały nieszczęście w jakikolwiek sposób kontaktować się z Maggie: dziewczynę, która dostarczała pizzę, sąsiadkę, kelnerkę.

Prowadził z Maggie chorą grę, bawiąc się z nią w kotka i myszkę. Pilnował, by dostawała albo znajdowała fragmenty ciał zamordowanych kobiet – śledzionę w kartonowym pudełku na pizzę, nerkę na tacy obsługi hotelowej. Jak ktokolwiek mógłby mieć O'Dell za złe, że znalazła się na skraju załamania nerwowego? Że ma się na baczności dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu, że wciąż ogląda się przez ramię?

Dawny szef i mentor Kyle Cunningham przesunął ją do innej pracy, po to, by chronić, a nie dlatego, że chciał ją ukarać. Choć w owym czasie, zajmując się wykładami i szkoleniem, odbierała to właśnie jako karę. Opowiadała

o mordercach, zamiast ich śledzić, zamiast polować na Alberta Stucky’ego.

W programie Jeffery’ego Cole’a na temat Maggie znalazła się część spraw, które tak bardzo starała się zamknąć raz na zawsze w szufladkach pamięci. Jednak nie tylko ich przypomnienie obudziło dawne wspomnienia i lęki. Jeśli Ramirez widziała kogoś za domem tamtej nocy, to kto to był? I co tam robił w środku nocy, w lodowatym deszczu? Czy to ten sam mężczyzna, który chodził po kanałach? Nie miała dowodu, niczego, co potwierdziłoby jej podejrzenia, poza przeczuciem.

Brzmiałoby to idiotycznie, gdyby nie to, co wydarzyło się w przeszłości. Kiedy Maggie siedziała w gabinecie starego profesora, czekając na niego, powróciły wspomnienia morderstw Stucky’ego. W pewnym sensie zdawało się, że od tamtego czasu minęły wieki. W tej chwili, gdy nasłuchiwała szurania stóp Kernana, wciąż czując zapach dymu z cygar, maści Ben-Gay i starej skóry, odnosiła wrażenie, że wszystko zdarzyło się wczoraj.

Wówczas była o wiele bardziej bezradna i wrażliwa. Właśnie zdecydowała się na separację z Gregiem. Kupiła dom w Newburgh Heights. Nie minął nawet tydzień od przeprowadzki w nowe miejsce, gdy Stucky zabił jej sąsiadkę. Kilka dni później zamordował agentkę nieruchomości. Jedyna dobra rzecz, jaka wyniknęła z tej ciężkiej próby, to Harvey. Choć Maggie nie zdołała uratować sąsiadki, właścicielki Harveya, ocaliła psa.

Tak, wtedy znajdowała się na innym etapie życia. Jej nastrój nigdy wcześniej nie był tak zmienny i nieprzewidywalny. Gabinet Kernana znów to wszystko przywołał. Sprawę pogarszał ciągły ból głowy, przez który czuła się słaba fizycznie. Bez ostrzeżenia ból zamieniał się w tępe pulsowanie, czasami zdawało się nawet, jakby ktoś wwiercał się wiertarką udarową w skronie. Tego popołudnia odchodził i wracał, teraz znów ją dopadł.

Jak ukryje go przed lekarzem?

Nawet w okularach o szkłach grubych jak denka butelek psychiatra wypatrzy grymas czy tik. Ten człowiek zdecydowanie miał zdolność widzenia rzeczy dla innych niewidocznych. Może to wyjaśniało wystrój gabinetu.

Rozejrzała się po niewielkiej przestrzeni wypełnionej dziwaczną kolekcją. Słój do przetworów z przednim płatem ludzkiego mózgu odgrywał rolę podpórki do książek. Przytrzymywał oprawne w skórę tomy rzadkich pierwszych wydań, między innymi „Interpretacji snów” Freuda czy „Alicji w krainie czarów” Lewisa Carrolla. Ta druga książka bardzo tam pasowała, Maggie z łatwością mogła sobie wyobrazić Kernana jako Szalonego Kapelusznika.

Na komodzie widniały dawne przyrządy chirurgiczne. Maggie rozpoznała kilka, a wśród nich narzędzie używane do lobotomii. Wiedziała o tym, gdyż Kernan przyniósł je na zajęcia z psychologii defektologicznej, które prowadził lata temu na Uniwersytecie stanu Wirginia. Maggie była jego studentką. Jedną z tysięcy. A on wciąż dokładnie pamiętał, gdzie siedziała w sali wykładowej.

Usłyszała szuranie stóp w korytarzu i przyłapała się na tym, że prostuje się na krześle z twardym oparciem, jedynym, jakie stało w gabinecie dla gości i pacjentów. Szuraniu towarzyszył inny dźwięk, stukanie czy tupot na wyłożonej linoleum podłodze korytarza.

– O’Dell, O’Dell, co woli czerń niż biel – psychiatra zaczął swoją idiotyczną przyśpiewkę, zanim wszedł do pokoju.

Usiadła tyłem do drzwi. Starała się siedzieć spokojnie i zlekceważyć denerwujące powiedzonka. Kernan lubił gry słowne, posługiwał się głupimi rymami, żeby wytrącić z równowagi studentów, a teraz pacjentów. Pewnie robił to dłużej, niż Maggie żyła. Budził tym irytację, zakłócał proces myślowy oponentów, którzy czujnie wsłuchiwali się w kolejne zaskakujące frazy, zamiast myśleć o tym, jak odpowiedzieć na pytanie. Tym razem to mu się nie uda. Była przygotowana na jego słowne pojedynki.

Została jednak zaskoczona. Przed Kernanem do gabinetu wszedł pies. Mały brązowo-biały corgi dotknął nosem jej ręki, jakby chciał ostrzec przed nadejściem swojego pana.

Tuż za nim, połączony z psem smyczą, wszedł profesor. Szurając nogami, minął Maggie, nieco bardziej zgarbiony niż dawniej. Jego gęste włosy całkiem pobielały, garnitur był zmięty, a grube szkła w czarnych oprawach zjechały na koniec nosa. Nawet nie zerknął na pacjentkę, tylko szedł do fotela za biurkiem.

Corgi usadowił się w kącie, zanim Kernan usiadł.

– Więc O’Dell, Margaret – zaczął, stojąc do niej tyłem, kiedy wysuwał skórzany fotel z wysokim oparciem. – Kurs

przygotowujący do studiów medycznych. Ptaszyna, która siedziała w tylnym lewym rogu sali i niewiele notowała. Panna agentka z kolejną blizną do leczenia.

Maggie ścisnęła siedzenie drewnianego krzesła. Nie miała w co wbić paznokci.

Drań.

Niczego mu nie powie. Niczego się od niej nie dowie.

– Chyba już raz panią naprawiałem – rzekł, odwracając się do niej twarzą.

Nawet przez grube szkła okularów Kernana widziała, że jego oczy wędrują gdzieś ponad jej głową. Spojrzała na psa, a potem znów na psychiatrę. Wodniste niebieskie oczy nie skupiały się na jej twarzy, tylko trochę na prawo od niej.

Maggie nie mogła w to uwierzyć. Stary stracił wzrok.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Samantha Ramirez poczuła ulgę, chociaż Jeffery miał naprawdę podły humor – jak to on – gdy tylko wyprowadzili ostatnią osobę. Żywą!

Siedem osób przeżyło pożar. Nie było żadnych ofiar śmiertelnych.

Natychmiastowa reakcja Jeffery'ego brzmiała: „Stracony pieprzony dzień".

Ramirez zdała sobie sprawę, że stała się chyba taka zła jak Jeffery. Ulżyło jej nie dlatego, że wszyscy się uratowali, ale raczej z tego powodu, że dziennikarz nie wykorzysta materiału. Zwłaszcza tego, który celowo zepsuła, z rozmów z Patrickiem i Maggie.

– Big Mac utnie to całe popołudnie do dwóch minut – psioczył Jeffery, kiedy poluzował krawat i mało nie oderwał górnego guzika koszuli. – Już zdecydował: „Nie ma ofiar, nie ma historii. Nieważne, że to kościoły. Ani że trzeba zrobić kurs z chemii, żeby zaplanować te pieprzone pożary".

– Jesteś pewien, że nie jest zainteresowany? Dwa kościoły w środku dnia? W Arlington? To nie magazyny w dzielnicy bezdomnych, które wszyscy mają gdzieś.

Zatrzymała się, składając sprzęt. Naprawdę to powiedziała? Jezu! Zaczyna mówić jak Jeffery.

– Rozmawiałem z nim wcześniej. Oznajmił, że potrzebuje czegoś, co ożywi ten temat.

Jeffery stał i patrzył na kamerzystkę. Zwykle zostawiał ją z tą pracą, ale tym razem chciał, żeby podwiozła go do baru, gdzie zostawił samochód.

– Bardzo mu się podobał ten kawałek o O’Dell – poinformował. – Niech tylko zobaczy wywiad z jej matką.

Samantha się wzdrygnęła. Czy dziennikarz zechce jednak wykorzystać nieistniejący materiał? Nic nie wiedziała na temat wywiadu. Jeffery zaprosił matkę O’Dell do siedziby stacji, więc nie potrzebował Sam.

– Hej, może wam pomogę?

Spojrzeli zaskoczeni. Żadne z nich nie zauważyło strażaka, który opuścił teren ogrodzony żółtą taśmą. Przesunął kask na tył głowy. Samancie od razu rzuciło się w oczy, że był czysty – żadnych czarnych smug na twarzy, żadnych śladów dymu czy sadzy. Pot nie skleił mu włosów. Nawet buty pozostały suche.

Wyglądał na jej rówieśnika – miał pewnie koło trzydziestki. Był niewysoki i atletycznie zbudowany, jak mogła się domyślić, choć ciało skrywał ciężki uniform. Miał kwadratową szczękę. Prawdopodobnie niejeden raz złamał nos. Spojrzenie wąskich, głęboko osadzonych oczu wędrowało po figurze Samanthy. Zwykle jej to nie przeszkadzało. Nie wiedziała, czemu teraz ją to irytuje. Co takiego miał w sobie ten człowiek?

– Z tego, co wiem – rzekł Jeffery – nie ma wiele do powiedzenia.

– Poznałem pana. Rozmawiał pan z moim partnerem. Pan jest Jeffery Cole z CNN.

O mało się nie roześmiała. Powinna była odwrócić wzrok. Już wiedziała, jaka będzie odpowiedź.

Za późno.

Zobaczyła uśmiech dziennikarza. Wypchnął pierś do przodu i poprawił krawat.

– W czym mógłby nam pan pomóc, panie strażaku?

– Nazywam się Wes Harper. Pracuję w prywatnej straży Agencji Ochrony Braxtona.

– Prywatnej? Nie miałem pojęcia, że coś takiego istnieje. To ciekawe. Ale chyba nie potrzebujemy więcej materiału.

– Widziałem wczoraj wieczorem ten fajny program, który pan zrobił.

Teraz, kiedy Jeffery stwierdził, że nie jest zainteresowany pseudostrażakiem, zaczął się zamykać, jak aktor, który zszedł ze sceny i wraca do prywatności. Chociaż ogromnie lubił komplementy, zbladł nawet jego uprzejmy uśmiech. Widać było, że Cole nie ma już ochoty odgrywać roli dziennikarza śledczego.

– Wiem, wolałby pan pogadać z moim partnerem, ale skoro on nie chciał, może ja coś powiem.

– To miło z pana strony, ale chyba skończyliśmy.

– A nie przygotowuje pan na dziś wieczór drugiej części o jego siostrze?

Samantha omal nie upuściła obiektywu, który ostrożnie pakowała.

– Słucham? – Jeffery podszedł bliżej Harpera, jakby nie dosłyszał. – Ten młody człowiek, ten strażak do wynajęcia, to brat agentki O’Dell?

– No właśnie – odparł Harper z uśmiechem, ani trochę nieprzejęty niezbyt pochlebnym określeniem jego zajęcia.

– No, no – rzekł dziennikarz. – Świat rzeczywiście jest mały, co?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

To będzie bardzo proste, pomyślała Maggie. Niepełnosprawny Kernan nie zobaczy jej reakcji na obraźliwe słowa i ataki. Odchylił głowę, uniósł brodę – jak człowiek, który polega raczej na słuchu i zapachu niż wzroku.

– Powtórzę to jeszcze raz – powiedziała. – Jestem tu tylko dlatego, że mój przełożony na to naciskał.

– Och, w porządku. Przełożeni zawsze się mylą, prawda?

Kernan oparł się, przekrzywił głowę, jakby oceniał jej odpowiedź.

Splótł palce i oparł na piersi. Wówczas Maggie zdała sobie sprawę, że do brązowej marynarki włożył granatowy krawat. Nie miał nikogo, kto pomógłby mu się ubrać. Nikogo, kto by mu doradził, zanim wyszedł z domu. Tylko psa, który, choć leżał w kącie, wciąż patrzył na swojego pana. Ale pies nie może powiedzieć, że krawat nie pasuje do garnituru. Nagle miała chęć się kopnąć, bo naprawdę zrobiło jej się żal doktora Jamesa Kernana.

– Wciąż uważa pani, że przełożeni są w błędzie? Że nie powinna pani tu siedzieć?

Usiadła wygodniej, już nie zaciskała palców, położyła dłonie na kolanach. Patrzyła na niego i zastanawiała się, jak to jest, mieć taki cięty język, być tak przebiegłbym, tak inteligentnym, wygrywać każdy intelektualny pojedynek,

a przy tym być tak całkiem samemu na świecie. Nie, nie współczuła mu, czuła się zażenowana jak on.

Czy taka będzie jej przyszłość? Czy Maggie będzie zbierała dziwaczne okazy i pamiątki po seryjnych mordercach, których tropiła?

Potem pomyślała o Lucy Coy, starej Indiance, którą poznała w Sandhills w Nebrasce. Cieszyłaby się, gdyby była taka jak Lucy, otoczona psami, ciszą i pięknym krajobrazem.

– Ma pani problem ze słuchem, pani O'Dell?

Zapomniała mu odpowiedzieć i teraz profesor po swojemu zrozumie to wahanie.

– Wolałaby pani strzelić jakiemuś mordercy między oczy? Mam rację?

Po takim ciosie powinna się wzdrygnąć, tymczasem się uśmiechnęła. Kernan stracił moc zastraszania i poniżania, zmuszania Maggie do kwestionowania samej siebie. Tym razem widziała jedynie żałosnego siwowłosego starca, który nie mógł nawet zobaczyć jej uśmiechu.

– Jestem inną osobą, niż byłam pięć lat temu, doktorze Kernan.

– Naprawdę? – Cmoknął swoim zwyczajem, co znaczyło, że nie da się oszukać, gdy tak naprawdę już się dał.

Chciała mu przypomnieć, że od ich ostatniego spotkania on także się zmienił, ale psychiatra wszedł jej w słowo.

– Od jak dawna ma pani te bóle głowy?

Maggie nikomu nie mówiła o bólach głowy. Wiedziała, że w raporcie z oddziału ratunkowego nie ma na ten temat ani

słowa. Czasami, kiedy ktoś traci jeden zmysł, inne stają się bardziej wyczulone. Czy tak właśnie stało się z Kernanem?

– Skąd pan wie?

Tym razem to on się uśmiechnął.

– Właśnie mi pani powiedziała – odrzekł.

Poczuła krew napływającą do twarzy. To jego najstarsza sztuczka, a ona dała się nabrać.

– Teraz jesteśmy kwita – oznajmił. – Chyba możemy zacząć od początku. Prawie straciłem wzrok, Margaret, ale niech mnie pani nie lekceważy. Proszę nigdy nie lekceważyć swojego oponenta, niezależnie od tego, jakie upośledzenie pani u niego dostrzeże.

– Może byłoby lepiej, gdyby nie postrzegał mnie pan jako oponenta – powiedziała ze złością, bo tak właśnie się czuła. Czy nie o to chodziło w tej sesji? O zrozumienie co i dlaczego się czuje?

Przygotowała się na jedną z jego głupich, kąśliwych gier słownych. Tymczasem Kernan milczał i patrzył gdzieś ponad jej głową, jego wodniste niebieskie oczy były powiększone przez grube szkła. Ściągnął wargi, a potem wypuścił powietrze, aż wargi mu zadrżały i wydobył się z nich bełkotliwy dźwięk.

W końcu jego niewidzące oczy znalazły się w takiej pozycji, jakby patrzył w oczy Maggie, i rzekł:

– Zgoda.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Samantha świetnie rozumiała, dlaczego Jeffery wybrał Old Ebbitt’s. To była ulubiona restauracja polityków, a także ludzi czynu stolicy. Ilekroć tam bywali, droga do stolika trwała trzy razy dłużej, niż to konieczne. Dziennikarz zatrzymywał się na słówko, ściskał komuś dłoń albo machał do wszystkich, którzy go rozpoznali. Upierał się, by nie siadali w boksie z wysokimi ściankami, który tak lubiła, bo ceniła ciszę i prywatność. Wybierał stolik, gdzie każdy mógł go zobaczyć. Tym razem najpierw chciał wpaść do baru obok na drinka.

Wszystko to rozumiała. Doskonale znała Cole’a i potrafiła przewidzieć jego zachowanie. Nie rozumiała jednak, czemu zaprosił także Wesa Harpera. Ten gość jej się nie podobał. Miał w sobie coś takiego, co wywoływało u niej ciarki.

– To ciekawy człowiek – ocenił Jeffery. Kiedy przewróciła oczami, dodał: – Są gorsze rzeczy.

Oczywiście nie zauważył, jak strażak pożerał ją wzrokiem. Jeffery rzadko zwracał uwagę na cokolwiek, co nie dotyczyło jego osoby. Harper był dość sprytny i szybko to pojął. Zasypywał dziennikarza komplementami, grubo przesadzając. Jeffery wydawał się zahipnotyzowany opowieściami tamtego o pożarach.

Samantha zgodziła się wypić jednego drinka, potem chciała wracać do domu. Wyraźnie uprzedziła, że nie pójdzie z nimi na kolację, bo w tym tygodniu za mało czasu

poświęciła synowi. Słowa, które miały zniechęcić Harpera, chyba tylko go zachęciły.

– Rozwódka? – spytał tonem pełnym nadziei. Powiedział to tak, że słowo rozwódka zabrzmiało seksownie, jakby było w tym coś atrakcyjnego. Jego spojrzenie, gdy patrzył na nią szarymi oczami, przypominało spojrzenie wilka. Ciarki przeszły jej po plecach. Może nie usłyszał, że ma małego syna. Zwykle działało to na mężczyzn jak kubeł zimnej wody.

Zamówili drinki i na szczęście Jeffery skierował znów rozmowę na podpalenia. Rozmawiali z Harperem niczym eksperci, którzy porównują swoje notatki.

– Ogień palił się intensywnie, rozżarzony do białości – rzekł dziennikarz. – Jak zwykle pod wpływem reakcji chemicznej.

– Kto powiedział, że pożar wywołała reakcja chemiczna? – spytała. Nie przypominała sobie, by jacyś fachowcy mówili o środkach chemicznych.

– Ktoś o tym wspomniał. – Machnął ręką, jakby w tej chwili nie zamierzał się zajmować takimi detalami. Podjął, zwracając się do strażaka: – Żaden środek przyspieszający spalanie tak nie działa. Może pan wylać całą benzynę, jaką pan ma, ale potrzebna jest iskra. Reakcja chemiczna działa jak samozapłon. Pomysłowe, prawda?

– Tak, rzeczywiście. – Harper sączył wódkę Grey Goose.

Jeffery oderwał palec wskazujący od brody i wykonał gest, którym zawsze zwracał na siebie uwagę. Tym mało wyraźnym sygnałem potrafił zatrzymać taksówkę. To była

jedna z tych rzeczy, które Samantha w nim podziwiała – pewność siebie, dzięki której wystarczyło skinienie głowy czy lekki ruch palca, by przyciągnąć uwagę. Kiedy podszedł kelner, dziennikarz wskazał na kieliszki, prosząc o powtórkę, choć Sam nie wypiła jeszcze ani łyka Bud Lighta.

– Gasiłem i próbowałem rozpalić chyba każdy rodzaj ognia, jaki można sobie wyobrazić – oznajmił Harper.

– Więc lubi pan też rozpalać ogień? – spytał Jeffery. – Strażak?

Harper się uśmiechnął.

– Mama bardzo się cieszy, że postanowiłem gasić ogień, a nie rozpalać. Ale z rozpalania dużo się nauczyłem. Na przykład, wie pan, że na podstawie koloru płomieni można określić, co się pali?

– Naprawdę?

Strażak wychylił spory łyk wódki i kiwając głową, odpowiedział po chwili.

– Czerwonawo-żółte płomienie to zwykle drewno czy szmaty. Żółto-białe to benzyna albo nafta. Palą się też w różnym tempie. Wciąż myślę, że nie ma ładniejszego widoku w zimną noc niż jaskrawożółte i czerwone płomienie tańczące na tle nieba.

Kelner przyniósł drinki. Harper wychylił do dna pierwszy kieliszek, a potem go odstawił. Wziął drugi ze środka stolika i postawił przed sobą, jakby się bał, że ktoś go zabierze.

– Ciekawe też, co ogień robi z ludzkim ciałem.

Patrzył teraz prosto na Sam. Wiedziała, co to znaczy – chciał zobaczyć, czy ją przestraszy. Istnieje wielu dupków, którzy lubią, gdy kobiety piszczą z byle powodu, zwykle słysząc opowieści z seksualnym podtekstem, a czasami przerażające. Harper wyglądał na takiego, który lubi łączyć oba elementy.

Kiedy słuchacze nie zareagowali, strażak uznał, że powinien kontynuować.

– Ręce i nogi palą się pierwsze. Są jak podpałka, cienkie i otoczone przez tlen. Łatwo je podpalić i szybko płoną.

Samantha słyszała już gorsze rzeczy. Wysłuchała tego z kamienną twarzą. Nie da mu satysfakcji i nie wzdrygnie się. Przeżyła gorsze rzeczy. Patrzyła mu w oczy i starała się ignorować uśmiech, który wypływał powoli na jego twarz, unosząc najpierw jeden kącik ust.

– Skóra dość szybko czernieje. Tłuszcz skwierczy – podkreślił „s”, mówił teraz trochę ciszej. Dobrze się bawił. – Zwykle w ciągu kilku minut skóra się rozłazi. Wtedy ciało zaczyna się kurczyć, nogi się rozsuwają, a kolana...

– Tak, tak, wszyscy wiemy o pozycji boksera – rzekł dziennikarz i machnął ręką na Harpera, dając mu znać, że wszystko, co ma jeszcze do powiedzenia, będzie nudne. Powściągnęła westchnienie ulgi. Gdyby tylko Jeffery mógł sprawić, żeby ten okropny facet przestał się na nią gapić.

– Pozycja pięściarza – dodał Cole. – Ogień wysusza mięśnie, a ścięgna się kurczą.

– No właśnie. Skąd pan tyle wie o ogniu? – spytał Harper.

Jeffery oparł się wygodnie. Samantha widziała, że ucieszył się z pytania. Był zadowolony, że uwaga znów skupiła się na nim. Tym razem też się cieszyła, że odzyskał kontrolę w rozmowie.

– Nie zawsze byłem dziennikarzem. Wcześniej robiłem co innego. Poza tym obszernie przygotowuję się do moich programów.

Powściągnęła uśmiech. Kto jeszcze powiedziałby, że obszernie się przygotowuje?!

– Rozmawiam z wieloma osobami – ciągnął Jeffery. – Robiłem dokument – może go pan widział – Życie za kratami. Fascynujące historie. Zdumiewające, co niektórzy z tych przestępców mają do powiedzenia. Oczywiście, trzeba się zastanowić, czy wszystkie ich opowieści są prawdziwe.

Zaśmiał się swoim najlepszym udawanym śmiechem. Nie przypomniała mu, że niezależnie od tego, czy te historie choćby zbliżały się do prawdy, nie zawsze powstrzymywało go to przed ich wykorzystaniem, a czasami robieniem z nich sensacji. Z wyjątkiem Otisa P. Dodda. Wciąż nie rozumiała, dlaczego Cole tak szybko z niego zrezygnował.

– Więc rozmawiał pan też z podpalaczem? Z takim, który używał środków chemicznych?

– Tak. Największego kalibru podpalacz. Nie tak sławny, jak ten kiedyś będzie. Ten przypadek z pewnością uczy nowego spojrzenia na środki do zmywania i sprzątania czy płyn do czyszczenia basenów.

Mężczyźni się roześmieli. Samantha sączyła piwo. Jedynym podpalaczem na ich liście był Otis P. Dodd, a Jeffery nie zadał ani jednego pytania na temat jego przygód. Pamiętała jednak, że długo przed spotkaniem dostał od Otisa P. szczegółowy list.

Do ich stolika podszedł jakiś mężczyzna.

– Wes, co tu, do diabła, robisz?

Ledwie poznała Patricka Murphy'ego. W dżinsach, czarnym golfie i skórzanej kurtce wyglądał, jakby zszedł z okładki „GQ". Gdy zwracał się do Harpera, jego wzrok padł na Samanthę, jakby tak naprawdę pytał, co ona tam robi.

Jeffery wyraźnie nie poznał Patricka. Jego pierwszą reakcją była irytacja i dobrze odegrał tę rolę. Odsunął się z krzesłem ze zniecierpliwionym westchnieniem. Nie lubił, jak ktoś usuwa go w cień.

– Wiecie co, chłopcy? – oznajmiła. – Muszę lecieć. Jeffery, dzięki za drinka. Miłej kolacji.

Zarzuciła torebkę na ramię, zanim zdążyli zareagować.

– Uściskaj synka – rzucił Jeffery, rozglądając się za kelnerem.

Kiedy zdawało się, że Harper zaprotestuje przeciw odejściu Samanthy, kelner przyniósł kolejne drinki, stawiając strażaka przed trudnym wyborem.

– Odprowadzę panią – rzekł cicho Patrick. Samancie przyspieszył puls, zastanowiła się, czy bezpieczniej nie było jednak zostać.

Kiedy wstała, unikając wzroku Patricka, spojrzała na ekran jednego z telewizorów nad barem. Obraz na ekranie przyciągnął jej uwagę. Peter Sanders, reporter ich stacji, którego Jeffery uważał za rywala, przekazywał informację na żywo z jakiegoś ciemnego, zalesionego terenu.

Głos był ściszony, ale na dole ekranu przesuwał się pasek. Samantha zaczęła czytać i nogi się pod nią ugięły.

Jeffery uniósł głowę, żeby sprawdzić, co ją tak poruszyło. Nie wierząc własnym oczom, zamilkł i gapił się na ekran.

Peter Sanders tymczasem wydawał polecenia swojemu kamerzyście. Na ekranie pokazał się przepust pod starą drogą gruntową i trzy pochylone osoby – dwóch mężczyzn i kobieta – z literami CSI na kurtkach. Rozstawione reflektory rzucały cienie. Samantha nie musiała widzieć nic więcej. Nie mogła oderwać wzroku od pomarańczowej skarpetki wystającej spod liści i błota.

– Sukinsyn – rzekł Jeffery pod nosem, patrząc na ekran. – Mówił prawdę.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

– O co chodziło? – spytał Patrick, kiedy wyszli na ulicę.

– O dokument na temat więźniów, który robiliśmy z Jefferym. Wczoraj jeden z tych facetów powiedział nam, że zna miejsce, gdzie ktoś porzucił ciało.

Odwróciła wzrok, patrzyła przed siebie. Patrick widział, że coś ją nurtuje, ale nie chce się z nim tym podzielić. Wiedział, że Samantha Ramirez należy do kobiet, które nie odkrywają uczuć ani nie okazują słabości.

– Powiedział, że to młoda kobieta. Że morderca zostawił ją w przepuście. I nie zdjął jej pomarańczowych skarpetek.

– Skąd to wszystko wiedział? Był tam?

– Twierdził, że ktoś opowiedział mu to którejś nocy w barze po paru szklaneczkach whisky.

– No, no. Wywiady z mordercami. Pani praca jest bardziej niebezpieczna niż moja.

W końcu się uśmiechnęła. Kierowała się w stronę samochodu.

– Chciałem tylko powiedzieć, że doceniam to, co pani zrobiła przy płonącym kościele.

– Nic nie zrobiłam.

– Wybroniła mnie pani przed wywiadem, który pewnie byłby żenujący.

– Na pewno świetnie by pan sobie poradził.

– Przez chwilę sądziłem, że jest pani z Wesem.

– A gdybym była?

Patrick usłyszał cień irytacji w jej głosie i zerknął przez ramię. Chciał się upewnić, że Wes Harper nie uznał jednak, iż pragnie Samanthy bardziej od drogiej wódki. Starał się przypomnieć sobie, czy powiedział Harperowi coś, czego mógłby żałować, coś, co tamten mógłby przekazać Jeffery'emu Cole'owi.

Nie pracowali razem z wyboru. Agencja Braxtona wyznaczała osoby, które tworzyły drużyny. Od pierwszego dnia nie ufał Wesowi Harperowi. Okazało się, że instynkt go nie mylił. Po ostatnim zadaniu Harper nie mógł się doczekać, żeby go sypnąć.

W końcu Patrick wrócił spojrzeniem do Sam, która stała naprzeciw niego, przytupując nogą, czekała na odpowiedź.

– Wes bywa niemiły.

– Naprawdę? To dziwne mówić tak o swoim partnerze.

– Nie dobraliśmy się sami – rzekł, ale nie chciał brnąć w długie wyjaśnienia. Obejrzał się znów przez ramię. – Mam się spotkać z Maggie. Ostrzec ją, że Cole tam jest?

– Nie trzeba. Jeśli nie ma kamery – poklepała torbę – jest raczej niegroźny. – Chwilę się nad tym zastanowiła, po czym dodała: – Ale może postara się pan, żeby nie oglądała dzisiaj drugiej części swojego portretu.

– Dlaczego wziął na cel Maggie?

Wzruszyła ramionami.

– Jego trzeba zapytać.

Żałował, że zadał to pytanie, bo Samantha zerkała w dół ulicy, jakby nie mogła się doczekać, kiedy od niego ucieknie. Może ktoś na nią czekał.

– Wiem, że ma pani dokąd wracać, ale może by pani do nas dołączyła? Coś byśmy przekąsili? Chyba nie miała pani okazji nic zjeść do tej pory.

– Dziękuję, muszę jechać do syna.

– No tak, jasne. Ignacio. – Starał się nie okazać radości, że to nie inny mężczyzna tak ją przyciąga.

– Pamięta pan jego imię?

– Pamiętam wiele rzeczy, jeżeli tylko mam sposobność – powiedział i natychmiast tego pożałował.

Nigdy nie umiał flirtować. Ta uwaga wywołała jednak lekki uśmiech Samanthy, która odwróciła wzrok i pokręciła głową. Nie ruszyła się z miejsca.

– Może innym razem, Murphy.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

W motelu, w którym spędzał tę noc, był telewizor z dużym płaskim ekranem. Upewnił się co do tego, zanim się zameldował, zajrzał przez okno, kiedy zobaczył, że pokojówki wychodzą. Nieważne, że kosztowało go to dodatkowe dwadzieścia dolarów za noc. Nie zależało mu na pieniądzach, tylko na prywatności, a teraz jeszcze na telewizorze z płaskim ekranem.

Po całym dniu pracy czuł zmęczenie. Większą część nocy spędził na zewnątrz, musiał odreagować, jeździł w śniegu z deszczem, szukał dobrego miejsca, gdzie mógłby się przyczaić i czekać na właściwy obiekt. Był tak dobry, że nie stanowiło to już wielkiego wyzwania. Wciąż musiał coś dodawać, zmieniać. Zabójstwo minionej nocy uspokoiło go, ale nie było tak satysfakcjonujące, jak udana podwójna gra sprzed kilku dni.

Nieważne. Skończył z tą robotą. Chciał wrócić do domu. Jeszcze jedno zadanie i rusza w drogę.

Wniósł swoją ostatnią zdobycz, wszystko ładnie się zmieściło w małym czarnym worku na śmieci. Niestety w samochodzie worek przeciekł. Musiał wyrzucić nowiutką wykładzinę. Wybrał pojemnik na śmieci za barem na postoju dla ciężarówek, przepełniony i śmierdzący. Nikt nie zauważy, że coś tam dorzucił. Na razie wsadzi lepki worek do wanny. Potem go wyciągnie.

Wyjął burgera i frytki i położył je na zatłuszczonej papierowej torbie, w której je przywiózł. Usiadł wygodnie na środku łóżka, gdzie mógł jeść i oglądać drugą część programu o życiu Margaret O’Dell.

Niecierpliwie czekał na kolejny odcinek, chociaż nie podobało mu się, że ten gość, Cole, wtrąca tyle własnych opinii. Udawał, że jest dziennikarzem, ale lepiej by zrobił, gdyby trzymał się faktów. Mimo wszystko było to wyjątkowo interesujące.

Korki na międzystanowej trochę go zatrzymały, więc gdy znalazł odpowiedni kanał, Cole już wypytywał Kathleen O’Dell o dzieciństwo córki.

Dostrzegł podobieństwo między dwiema kobietami. Te same kasztanowe włosy i brązowe oczy. Miał nadzieję, że pokażą więcej zdjęć. Może z dzieciństwa Margaret. Albo Margaret nastolatkę.

– Ojciec nazywał ją Sroczką – mówiła Kathleen do Cole’a. – Zmarł, kiedy miała dwanaście lat. Czasem myślę, że tak bardzo go kochała, że po jego śmierci nie była już zdolna do miłości.

Nie słyszał odpowiedzi Cole’a. Usłyszał tylko „sroczka” i umysł natychmiast zaczął pracować. Jego matka była bardzo przesądna, wszystkie przesądy dotyczące rozmaitych spraw usiłowała przekazać synom. Pamiętał opowieść matki o sroce, która jako jedyny ptak nie chciała wejść do arki Noego. Wolała przycupnąć na dachu. Sroka widziana przed podróżą przynosi pecha. A jeśli ktoś odważy się ją zabić, zginie. Najlepiej traktować srokę z szacunkiem.

Od pierwszego razu, gdy ujrzał Margaret O’Dell, czuł, że jest w niej coś wyjątkowego. Teraz był tego pewien.

Kiedy wrócił myślami do programu, wywiad dobiegł końca. Ktoś inny zastąpił Jeffery’ego Cole’a. Burger wystygł, frytki stwardniały. Leżał na łóżku i skakał po kanałach, próbował oczyścić umysł. Rzucił okiem na najnowsze wiadomości na jednym z kanałów, a potem cofnął się z ciekawości.

W pierwszej chwili nie rozpoznał miejsca. Zobaczył kurtki Patrolu Stanowego i ciemny las, podejrzewał, że znaleziono tam ciało. Ucieszył się, że w niczym nie przypomina to parkingu, gdzie był poprzedniej nocy. A jednak kręta droga wydała mu się znajoma. Potem zobaczył przepust i już wiedział, że w końcu znaleźli jedną z jego ofiar.

Usiadł na skraju łóżka, z rękami na kolanach, i próbował się uspokoić. Wtedy właśnie zauważył krew na zabłoconych roboczych butach. Cały dzień pracował w pochlapanych krwią butach.

Cholera! Staje się nieostrożny.

Oczywiście wszyscy inni widzieli tylko błoto. Zdjął buty, musi je wyczyścić.

W skarpetach poszedł do łazienki, żeby zajrzeć do czarnego worka, który zostawił w wannie. Na dnie pojawiła się kałuża krwi, szkarłatna na tle białej porcelany. Otworzył worek. Teraz nie czuł już zjełczałej woni. Teraz przypominało mu to surowe mięso w rozmaitych stadiach gnicia.

Zawsze tak uważał, zostawiając te, które chciał, żeby znaleziono, i zabierając te, które zamierzał ukryć. Jak, do diabła, znaleźli dziewczynę w pomarańczowych skarpetkach? I dlaczego teraz, kiedy akurat wrócił w te okolice? Czy zaczyna go prześladować pech?

SOBOTA

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Gdy tylko Maggie weszła do laboratorium antropologa kryminalnego, przypomniała sobie, jak bardzo nie znosi zapachu gotowanego ciała. Co nie znaczy, że spalone czy rozkładające się ciało pachnie lepiej. Ale kiedy robiono to celowo, tak jak tutejsi naukowcy, smród był jakby silniejszy.

Kilka garnków i jedna spora brytfanna stały na palnikach dużej kuchni. Maggie widziała wrzącą zawartość brytfanny. Cokolwiek się w niej znajdowało, cuchnęło tak, że gorzej już nie można.

Za to Maggie przynajmniej myślała o czym innym. Od minionego wieczoru unikała telefonów matki. Rano wysłuchała tylko dwóch z dwunastu nagranych przez nią wiadomości.

– Ten Jeffery Cole przekręcił wszystko, co powiedziałam – jęczała matka. – Zrobił ze mnie potwora.

Oczywiście skupiła się na tym, że to ona została potraktowana niesprawiedliwie, zamiast przyznać, że popełniła błąd. I zapomniała przeprosić. Choć to dziwne, Maggie wolała smród gotującego się ciała niż żałosne wymówki matki.

– Pani jest pewnie agentką O’Dell – powitała ją drobna Azjatka w białym laboratoryjnym fartuchu. – Mia Ling – przedstawiła się.

Stała przy szerokim stole z nierdzewnej stali pod wiszącą fluorescencyjną lampą. Ręką w fioletowej rękawiczce

wzięła fragment kości.

– Detektyw Racine jest w drodze. Mam nadzieję, że nie pogniewa się pani, że nie uścisnę pani ręki. Już prawie z tym skończyłam.

– Nie, oczywiście, że nie. Proszę kontynuować.

Maggie zajrzała do jednego z garnków na gazie. Czerwie wiły się i ślizgały na warstwie tłuszczu. Kilku udało się dostać do brzegu garnka i próbowały wspiąć się wyżej, by ostatecznie zakończyć żywot ze skwierczeniem. Czerwie należały do niewielu rzeczy, które przyprawiały Maggie o ciarki.

Podczas autopsji wydawały się niezniszczalne. Nawet zamrażanie tylko je spowalnia. Kiedy już pojawiają się na ciele, nie można się ich pozbyć, nie niszcząc cennego dowodu. Autopsja z czerwiami staje się wyścigiem, jasne światło kostnicy tylko je pobudza. Czasami wypychają jeden drugiego na podłogę, gdzie szukają najbliższego ciepłego wilgotnego miejsca, często włażą na nogę pod nogawkę spodni. Maggie z niezdrową satysfakcją patrzyła na czerwie w gotującej się wodzie. W końcu coś, co je niszczy.

Właśnie wtedy przyszło jej na myśl, że na ciele Glorii Dobson nie było czerwi, chociaż została porzucona przy śmietniku.

– Robiłabym to samo z pani ofiarą – rzekła Ling, wskazując na gotujący się garnek. – Gdybyście jej nie zidentyfikowali. Byłoby zdecydowanie łatwiej wygotować ciało, niż je wydłubywać. – Uniosła kość w palcach. – Zabawne, że rodziny ofiar nie doceniają, że odcinamy

ofierze głowę, żeby stwierdzić, co się stało. Muszę ręcznie odrywać tkankę mózgu od kości.

Maggie polubiła Mię Ling, zanim ta dodała:

– A moja rodzina nie rozumie, dlaczego nie jem mięsa.

– Więc to należy do Glorii Dobson? – Maggie wskazała na tacę z kawałkami kości i czegoś, co wyglądało na pojedyncze zęby.

– Tak, to fragmenty, które mamy. Wielu brakuje. Pewnie zostały na miejscu zbrodni. – Pokazała na zęby. – Znalazłam je na dnie czaszki i w jej szyi. Niektóre fragmenty kości twarzy były wbite w mózg.

Maggie przyciągnęła stołek, usiadła i przyjrzała się z bliska.

– Staram się je wyczyścić i posortować, zanim wyciągnę ją z lodówki.

Maggie widziała kawałki, które doktor Ling już oczyściła i zidentyfikowała. Ułożyła je jak puzzle.

– Widzi pani te przecinające się linie złamania? – Długim palcem wskazującym Ling przesunęła wzdłuż zarysowań na kości.

– Tak – odparła Maggie.

– I widzi pani, że ta kość jest jakby wypaczona? – Uniosła ją do światła.

Było to ledwie widoczne, ale Maggie kiwnęła głową.

– Kość zagina się pod wpływem bardzo mocnego uderzenia. Zanim pęknie. Gdyby wgniecenie miało okrągły kształt, zgadywałabym, że morderca posłużył się czymś w rodzaju młotka z noskiem kulistym. To chyba ulubione

narzędzie tych, którzy masakrują czaszki. Narzędzie, którym się tu posłużono, miało jednak większą powierzchnię, rejon uderzenia jest szerszy. Musiało to być coś większego i cięższego. Porysowało też kość, więc myślę, że możemy wyeliminować takie rodzaje narzędzi jak kij golfowy czy łyżka do opon. One zwykle zostawiają długie wąskie wgłębienie. Czymkolwiek się posłużył – a zgaduję, że nie przerywał sobie, żeby zmienić narzędzie – miało sporą główkę czy zakończenie, które wyrządziło tak straszliwy uraz. Musiało też mieć jakiś pazur lub hak, który spowodował zarysowania i wyszczerbienia widoczne na niektórych kościach.

– Stan mówił, że tkanka wygląda tak, jakby była porozrywana.

– Gdyby można zbadać miejsce zbrodni, założę się, że znaleźlibyśmy tam mnóstwo śladów biologicznych. Nie znając go, sporo spekulujemy.

Ślady biologiczne to między innymi ślady krwi i tkanki znajdowane na miejscu zbrodni, na przykład na ścianach i suficie pomieszczenia, gdzie do ofiary oddano kilka strzałów. W tym wypadku oboje eksperci mówili, że broń nie tylko połamała i roztrzaskała kości oraz rozbryzgała krew i tkankę, ale także niszczyła wyrwane już fragmenty ciała.

– Może łom? – spytała Maggie.

– Musiałby mieć dość długi trzonek, żeby uderzyć z taką siłą. Moim zdaniem raczej lewar.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Dłonie doktor Ling leżały nieruchomo.

– Co z drugą ofiarą, tą czaszką znalezioną w spalonym budynku?

– Spędziłam prawie pięć godzin na miejscu, przeglądając popiół. Nie znalazłam innych kości.

– Możliwe, że reszta ciała doszczętnie spłonęła?

– Dość trudno jest spalić całe ciało, nawet przy użyciu przyspieszaczy spalania. Po kremacji zostają kawałki kości, które trzeba mechanicznie sproszkować. To był ogień o bardzo wysokiej temperaturze, ale nie dość wysokiej, by spalić wszystko prócz czaszki. Spodziewałabym się znaleźć jakieś długie kości, a przynajmniej ich fragmenty. Szczęka jest roztrzaskana. Ale nie znalazłam żadnych zębów, a zęby się nie palą.

– Chce pani powiedzieć, że również ta ofiara została zamordowana gdzie indziej?

– Tak mi się zdaje. Do urazu, a także odcięcia głowy, najprawdopodobniej nie doszło w tym budynku.

– Ta sama broń?

– W tej chwili nie mogę tego stwierdzić.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna. Biały. Na tym etapie tylko tyle mogę powiedzieć.

Zapadło milczenie. Maggie słyszała bulgot gotującej się wody. Gdzieś włączyło się jakieś urządzenie i zaczęło szumieć.

– To bestialski mord – odezwała się w końcu Ling z obojętną miną, ze wzrokiem skupionym na tacy z kośćmi i zębami, fragmentami Glorii Dobson. – Niektóre kości były pokryte skrzepniętą krwią i wbite w mózg.

Ling nie musiała tłumaczyć, co to znaczy. Gloria Dobson wciąż żyła – oby nieprzytomna – i serce nadal pompowało krew, kiedy zadawano najbardziej brutalne ciosy.

W tym momencie Racine wkroczyła do laboratorium, wołając:

– Hej, pani doktor, co pani gotuje?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

To był jeden z niewielu wolnych dni Samanthy, a cały ranek spędziła w pracy. Abe Nadira wpuścił ją do pustej montażowni. Pomógł znaleźć materiał, którego szukała, a potem zawahał się, jakby nie chciał zostawiać jej samej. Na szczęście nie miał czasu z nią siedzieć. Natychmiast po jego wyjściu zamknęła się na klucz.

Opowieść Wesa Harpera, który minionego wieczoru mówił, co ogień robi z ludzkim ciałem, przeraziła ją bardziej, niż by przyznała. Najbardziej niepokoiła ją przyjemność, z jaką Harper przekazywał makabryczne szczegóły. Nie podobało jej się także, że Jeffery i Harper zachowywali się jak starzy kumple, choć podobno dopiero co się poznali.

Skąd Jeffery wiedział tak dużo o tych wszystkich pożarach i o podpalaczu? Owszem, świetnie się przygotowywał do programów, twierdził, że zostało mu to po latach pracy nauczycielskiej w liceum. Samantha nigdy się nie dziwiła, że Jeffery coś wie czy pamięta. Był jedną z najbystrzejszych osób, jakie znała. Mógł też wiele dowiedzieć się z listów Otisa P. Dodda, jednak nie znalazłby tam szczegółów dotyczących ostatnich pożarów.

Nie przypominała sobie też, by któryś z ich rozmówców wspominał, że zostały wywołane na skutek reakcji chemicznej. Jeffery mówił o tym z przekonaniem. Chciała sprawdzić część ich materiału filmowego. Chciała

sprawdzić datę i znaczniki czasu. Skąd tak wcześnie wiedział o tych podpaleniach?

Zastanowiła się, czy ktoś dał mu cynk. Często żartował, że ma więcej kontaktów i informatorów niż CIA, a Samanthę zawsze zdumiewała liczba osób, które zna, nie tylko w kraju, ale na świecie.

Ogromnie ją dziwiło, czemu Big Mac dotąd nie dał mu własnego programu. Właściwie na przeszkodzie stało tylko jedno: Jeffery Cole nie miał odpowiedniej prezencji, wyglądał po prostu zbyt zwyczajnie.

Zapisała nazwiska, oglądając fragmenty materiału. Czy to możliwe, że jeden z tych przestępców został zwolniony warunkowo po wywiadzie, jakiego im udzielił? Na pewno da się to sprawdzić.

Po dwóch godzinach była już pewna, że nikt z listy ich rozmówców poza Otisem P. Doddem nie został oskarżony o podpalenia ani osadzony w więzieniu z tego powodu. Oczywiście, to nie znaczy, że tego nie robili. Większość tych mężczyzn siedziała, ponieważ popełniła wiele wykroczeń. Nie byli zbyt wybredni. Jeśli jednak istniał związek między jednym z przestępców, z którymi Jeffery przeprowadzał wywiad, i pożarami z minionych dwóch tygodni, Samantha go nie znajdowała. Nawet „tajemniczy człowiek” Otisa, który zabił kobietę w pomarańczowych skarpetkach i wsadził ją do przepustu, zupełnie tu nie pasował.

Była jednak przekonana, że dziennikarz zdobył poufne informacje. Jeśli nie bezpośrednio od podpalacza, to od kogoś, kto wie, kiedy i gdzie dojdzie do podpalenia. Ale kto

to jest? I w jaką niebezpieczną grę wpakował się tym razem Jeffery?

Sięgnęła po materiał z pożaru magazynów, który nakręciła przed przyjazdem wozów strażackich i ratowników medycznych. Pamiętała swoje zdziwienie, że nikogo tam nie zastali, a równocześnie podniecenie, że mają materiał na wyłączność. Agent Tully interesował się dokładnie tym samym materiałem, dopóki nie ujrzał na ekranie człowieka z czerwonym plecakiem. Zaczęła oglądać od momentu, w którym agent Tully przerwał oglądanie.

To było nudne. Nic się nie działo. Przyspieszyła przeglądanie. Zatrzymała, kiedy zaczął rosnąć tłum gapiów. Zrobiła powiększenie. Przyjrzała się twarzom. I nic. Nie wiedziała nawet, czego szuka. Czy naprawdę spodziewała się, że kogoś rozpozna?

Znów puściła materiał w przyspieszonym tempie. Tuż po drugim wybuchu zatrzymała film. Przewinęła, a potem włączyła w normalnym tempie. Sięgnęła po filiżankę z kawą i popijała małymi łykami, nie odwracając wzroku od ekranu monitora. Zerknęła na zegarek. Potem znów popatrzyła na ekran i zauważyła w tłumie kilka nowych osób. Tuż przed momentem, kiedy, jak wiedziała, doszło do drugiego wybuchu, zatrzymała film i znów zrobiła powiększenie. Zaczęła przyglądać się nowym twarzom. Wtedy nagle kogoś rozpoznała.

Gwałtownie wyciągnęła rękę, by nacisnąć STOP, aż przewróciła filiżankę.

Co on tam robi, do diabła?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Maggie słuchała, jak doktor Ling przekazuje Racine wszystkie informacje. Detektyw nie wydawała się szczególnie zainteresowana. Maggie znała Julię dość dobrze, by wiedzieć, że coś się stało. Policjantka była cierpliwa i uprzejma, ale prawie nie zadawała pytań. Kiedy doktor Ling zaczęła mówić o czaszce znalezionej w spalonym budynku, Racine spytała z lekkim wzburzeniem:

– Przecież nie może pani być pewna, że został zamordowany w ten sam sposób czy tą samą bronią?

– Tak, to czyste spekulacje. Choć złamania na czubku i z boku czaszki wyglądają podobnie jak u Glorii Dobson, ma pani rację, to o niczym nie decyduje.

– Czy jest możliwe, że ten ktoś podczas pożaru upadł i uderzył się w głowę?

– Nie. – Doktor Ling uśmiechnęła się, po czym dodała: – Musiałby też sam pozbawić się głowy.

– Stan mówił nam, że pod wpływem temperatury ognia w czaszce powstaje wysokie ciśnienie. Wie pani, krew i mózg zaczynają się gotować. – Racine przeniosła spojrzenie z doktor Ling na Maggie i z powrotem, jakby szukała wsparcia. – I to ciśnienie może dosłownie oderwać głowę od reszty ciała. Tak powiedział Stan.

– To możliwe – przyznała doktor Ling – lecz nie w tym wypadku.

Podeszła do innego blatu. Po drodze zmieniła fioletowe lateksowe rękawiczki na nową parę. Potem ostrożnie podniosła czaszkę z głębokiej tacy, która Maggie bardzo przypominała formę do pieczenia.

– Wyczyściłam ją najlepiej jak mogłam. – Odwróciła czaszkę do góry nogami. Nadal miała brązowy błotnisty kolor, ale pęknięcia były widoczne. Ling wskazała na jej podstawę – Widzicie panie te zadrapania? Nazywam to oznaką wahania. Zaczął ciąć i przerwał. Może narzędzie się nie sprawdziło tak, jak chciał. Tutaj i tu.

Odwróciła znów czaszkę, przesuwając palcem wzdłuż zadrapań.

– Ogień trochę utrudnił rozpoznanie, ale to są ślady odrąbywania, nie cięcia.

– Czyli nie ma mowy o wypadku. – Racine wydawała się wyraźnie zawiedziona. – No to czym, do diabła, się posłużył?

– Jeżeli chce się coś odrąbać, trzeba użyć ciężkiego i dość dużego narzędzia, żeby siła uderzenia była wystarczająca. Początkowo sądziłam, że musiał posłużyć się czymś z ostrzem. Może maczetą.

Maggie obserwowała Racine. Domyślała się, że te informacje przeczą jednej z teorii policjantki.

– Wspomniała pani wcześniej, że morderca Glorii Dobson użył tylko jednego narzędzia – wtrąciła Maggie. – Czy jest możliwe, że ta ofiara została zamordowana przez kogoś innego? Może nawet kiedy indziej i w innym miejscu?

– Uraz czaszki jest całkiem podobny do tego u pani Dobson.

– Ale jej nie pozbawiono głowy – zauważyła Racine z nadzieją.

– To prawda. – Doktor Ling uśmiechnęła się i dodała: – A jednak można by powiedzieć, że bardzo starano się to zrobić.

– Pani doktor? – odezwał się wysoki młody mężczyzna, pojawiając się w drzwiach. – Dostarczono przesyłkę, na którą pani czeka.

– Dziękuję, Calvinie. Zaraz przyjdę. – Ling odłożyła czaszkę na tacę. – Przepraszam na moment. To zajmie nie więcej niż pięć, dziesięć minut.

– Oczywiście.

Ledwie Ling zniknęła za drzwiami, Maggie złapała Racine za rękę, jak matka niesforne dziecko, nim ta dotknęła jednej z kości, na której wciąż była tkanka mózgowa.

– Co? Chciałam wiedzieć, jakie to uczucie.

– Masz jakieś nowe informacje?

Racine nie czuła się gotowa o tym mówić, próbowała zmienić temat.

– Ten wczorajszy wywiad z twoją matką, to była masakra.

– Na pewno. Cały ranek zostawia mi wiadomości, bo chce się wytłumaczyć. Nie zmieniaj tematu. Powiedz, czego się dowiedziałaś.

Racine zamilkła. Wciąż patrzyła na kość, którą Ling zostawiła na tacy.

– Myślałam, że znalazłam rozwiązanie – rzekła w końcu. – Wczoraj wieczorem rozmawiałam z mężem Glorii Dobson. Kolega miał z nią jechać. Mąż powiedział, że nawet się ucieszył, że nie będzie jechała sama setki kilometrów. Lubił tego chłopaka. Mówił, że to fajny gość.

Z kieszeni kurtki wyjęła mały notes i przekartkowała go.

– Zach Lester, dwadzieścia osiem lat, siedemdziesiąt pięć kilogramów wagi, jasnobrązowe włosy, niebieskie oczy. Także nie pokazał się na konferencji. Wydałam nakaz poszukiwania Lestera i srebrnej toyoty highlander z dwa tysiące siódmego roku, należącej do Glorii Dobson.

– Myślisz, że Lester ją zabił i zabrał samochód?

– Czasami najprostsze rozwiązania są właściwe.

– Kiedy Dobson ostatnio rozmawiał z żoną?

– Trzy dni temu. Zbliżali się do celu podróży, byli już prawie w Baltimore. Powiedział, że nie widział w tym nic niezwykłego, że potem się nie odezwała. Konferencje to dużo zajęć, a on chciał, żeby wiedziała, że nie musi się meldować, dał jej odpocząć od siebie i od dzieci.

– Jaki motyw mógł mieć Lester?

– Pracowali razem, byli w podróży z dala od domu. Może coś ich łączyło. Może uderzył ją w głowę, kiedy go odtrąciła.

– Byłby tak szalony, żeby ją zatłuc na śmierć?

Racine wzruszyła ramionami.

– Obie widziałyśmy, że ludzie robią gorsze rzeczy z mniej istotnych powodów. To ma więcej sensu, niż gdyby zrobił to

całkiem obcy człowiek. Kiedy ktoś tak komuś rozwala twarz, zwykle jest w tym coś osobistego.

– Czaszka znaleziona w budynku trochę komplikuje tę teorię.

– Tylko trochę. Mogło być dwóch działających niezależnie morderców. Sama mówiłaś, że twoim zdaniem podpalacz nie zamordował Dobson.

– Nie spalił jej ciała.

– A ofiara w budynku była przypieczona.

– Doktor Ling powiedziała, że nie znalazła żadnych innych kości tej ofiary.

– Mogły się spalić?

Maggie tylko pokręciła głową, nie chciała powtarzać długiego wyjaśnienia doktor Ling.

– No to chyba musimy poczekać i zapytać Zacha Lestera, co się stało, gdy tylko Patrol Stanowy z Wirginii znajdzie podejrzanego i SUV-a Dobson.

– Powinnam ci o czymś powiedzieć. – Maggie czekała, aż Racine skupi na niej uwagę. – Tamtego dnia, jak zeszłam do kanału, wydaje mi się, że ktoś za mną szedł.

– Co masz na myśli? Zszedł za tobą na dół?

– Słyszałam przed sobą kroki. Potem ni stąd, ni zowąd odgłos kroków pojawił się za mną. Ktoś próbował stłuc żarówki w tunelu, zanim zawołałaś i go przestraszyłaś.

– Teraz mi to mówisz?

– To nie wszystko. Tamtej nocy widziano kogoś na tyłach mojej posesji, obserwował podwórko.

– Może jakiś szaleniec, który oglądał program Cole’ a.

– Zrobiłam naprawdę wiele, żeby nikt mnie nie znalazł.

– Podatki od nieruchomości są teraz w internecie.

– Mój jest pod cudzym nazwiskiem.

Racine uniosła brwi, o nic nie spytała. Splotła ramiona na piersi. Maggie czekała na wykład. Nie doczekała się. Na twarzy Racine zamiast złości pojawiła się troska. Poważna troska. To było bardziej irytujące niż złość.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Samantha Ramirez starała się nie wyciągać pochopnych wniosków. To, że Wes Harper znajdował się na miejscu pożaru magazynów, jeszcze nie świadczyło przeciw niemu. W końcu był strażakiem. Czemu jednak miał na sobie codzienne ubranie i stał z tyłu w tłumie gapiów? Czy właśnie po to przyjechał – żeby popatrzeć? Czy zjawił się tam już wcześniej, czekał, żeby zobaczyć swoje dzieło i obserwować, jak zawodowi strażacy zmagają się z ogniem?

Przez następną godzinę przeglądała wszystko, co znalazła na temat Wesa, korzystając z baz danych w internecie, do których dostęp miała stacja telewizyjna. Harper nie był karany. Wytoczono mu kiedyś sprawę w sądzie dla nieletnich, która została zamknięta. Co prawda minionego wieczoru przyznał, że dawniej bawił się ogniem, ale grzechy młodości raczej nie zrobiły z niego podpalacza przestępcy. Z tego, co Samantha wiedziała na temat Agencji Ochrony Braxtona, nie zatrudniliby Harpera, gdyby w jego przeszłości dopatrzyli się czegoś, co budzi wątpliwości. Może po prostu chciała, żeby okazał się winny.

Schowała kasetę do torebki i wyszła ze studia, unikając Nadiry i Jeffery’ego. Przemykała korytarzami, jakby miała coś do ukrycia.

Już prawie dotarła bezpiecznie do windy, kiedy jedne z drzwi otworzyły się i wyszedł z nich Jeffery.

– Co tu robisz?

– Coś sprawdzałam. – Minęła go, by wsiąść do pustej windy.

– Powinienem wiedzieć, o co chodzi? – Oparł rękę o drzwi, żeby się nie zamknęły.

– Nie, to nic ważnego. – Zastanowiła się, czy Nadira ją wsypał. Czemu serce tak szybko jej bije? Nie zrobiła nic złego. To Jeffery coś przed nią ukrywał.

– Słyszałaś, że matka O'Dell dzwoniła do Big Maca ze skargą na nasz wywiad? Chce to odwołać. Mówi, że tak to pocięliśmy i zmontowaliśmy, żeby wyszła na złego człowieka.

Samantha nie miała do czynienia z tym wywiadem, nie oglądała go też, ale wiedziała, że Jeffery potrafi tak zmontować materiał, że nawet ona nie poznawała rozmowy, którą kręciła, stojąc obok niego.

– Mówiłam ci, żebyś nie zadzierał z agentką FBI.

Jeffery wzruszył ramionami, ale wciąż się uśmiechał, kiedy opuścił rękę i drzwi windy się zamknęły. Kontrowersje go podniecały, sprawiały mu przyjemność. Widząc jego minę, Samantha domyśliła się, że traktował skargę Kathleen O'Dell jako wyraz uznania. Wiedziała, że telewizyjny portret agentki FBI wzbudził rozmaite reakcje, a on – a nawet Big Mac – to uwielbiali. Czasami zastanawiała się, jak dalece Jeffery jest zdolny zatrzeć granicę między informacją a sensacją. Zdawało się, że nie istnieje nic, czego nie można by podretuszować, wyciąć,

uatrakcyjnić czy skasować. Nic dziwnego, że zaczęła się czuć jak paparazzi.

Kiedy Samantha wróciła do domu, jej matka i syn zabierali się do pieczenia ciasteczek. Matka po angielsku tłumaczyła Iggy'emu, jak się je robi, a on powtarzał jej przepis po hiszpańsku. W ten sposób pomagali sobie nawzajem w nauce języków. Przygotowanie ciasta, wycinanie ciastek foremką w kształcie serca, pieczenie, a potem lukrowanie i dekorowanie miało im zająć dwie godziny. Iggy chciał upiec dużo ciastek, żeby zabrać trochę do szkoły i poczęstować kolegów. Samantha zostawiła ich na dole i poszła wziąć długą kąpiel i poczytać w wannie – to rzadka przyjemność.

Tydzień dał się jej we znaki. Zanurzyła się w ciepłej wodzie i poczuła, jak napięcie znika. Myśli bez wysiłku popłynęły w stronę Patricka Murphy'ego – jego łagodnych brązowych oczu, seksownego dołeczka w brodzie, gęstych włosów ze sterczącym kosmykiem, który nadawał mu chłopięcy urok.

Głupie myśli. Był dla niej o wiele za młody. Nie miała co do tego wątpliwości. Ledwie skończył college i zaczynał karierę zawodową, zaczynał życie. Samantha zebrała już spory bagaż doświadczeń. Z trzydziestką na karku czuła się o wiele za stara i zbyt cyniczna dla kogoś takiego jak on. Brakowało jej też cierpliwości, żeby bawić się flirtem. Najlepiej przestać o nim myśleć.

Położyła się wygodnie i zamknęła oczy. Straciła poczucie czasu, zapadła w drzemkę. Chciała się pozbyć napięcia

całego tygodnia, uwolnić zmysły od zapachu dymu, wycia syren i brzęku tłuczonego szkła. Potrzeba jednak więcej niż kąpiel, żeby uporządkować chaos, jaki w niej zapanował. Prawdę mówiąc, wciąż czuła woń dymu, jakby ulatniał się z jej ciała. Przypomniała sobie, co Wes Harper mówił o palącym się ludzkim ciele: nogi i ręce palą się pierwsze.

Coś się paliło. Naprawdę poczuła smród spalenizny. To nie był wybryk wyobraźni.

Samantha skoczyła na równe nogi, aż woda przelała się przez brzeg wanny. Coś paliło się w jej domu.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Matka stała na krześle, rączką chochli próbowała sięgnąć wyjącego czujnika dymu, ale wciąż nie trafiała i uderzała w ścianę. Iggy stał w kącie, zasłaniając uszy i śmiał się z babci, choć dym unosił się z piekarnika. Gdyby Samantha nie przybiegła owinięta tylko szlafrokiem i ociekająca wodą, gdyby jej serce nie biło jak oszalałe, może też by się śmiała. Matka wyglądała, jakby próbowała rozbić piñata, wypełnione słodyczami naczynie.

– To nie jest zabawne – zwróciła się Samantha do syna tonem, który za bardzo przypominał ton jej matki. Objęła ją w pasie. – Mamo, zostaw to.

– Strasznie wyje.

– Pozbędziemy się dymu i przestanie wyć.

Matka nie wyglądała na przekonaną, ale pozwoliła, by Samantha pomogła jej zejść z krzesła.

– Co się stało?

– Oglądaliśmy telewizję – przyznał Iggy, już się nie śmiał i spojrzał na babcię, co powie na to wyznanie.

W ostatnich latach, gdy Jeffery ciągał Samanthę po świecie, Iggy i jej matka bardzo się zbliżyli. Czasami przyłapywała się na tym, że jest zazdrosna o tę bliskość. Nawet teraz Iggy chciał chronić babcię, chociaż cały dom śmierdział spalonymi ciastkami.

Samantha otworzyła okno. Kuchnię wypełniło zimne powietrze, ale dym i zapach spalenizny szybko się ulotniły.

– Już w porządku – zapewniła matkę i syna, gdy alarm wreszcie ucichł.

Matka wyjęła blachę z ciastkami i pokręciła głową.

– Taka strata.

– Zostaw to – powiedziała Sam. – Zabieram was na kolację.

Popatrzyli na nią, jakby mówiła w obcym języku, którego żadne z nich nie rozumie. Zdała sobie sprawę, że już nie pamięta, kiedy ostatnio jedli razem na mieście.

– Ja wybiorę restaurację.

Iggy i babcia wymienili spojrzenia.

– No już. – Samantha machnęła rękami. – Umyjcie się i ubierzcie się elegancko.

Była gotowa pierwsza. Włożyła spódnicę, której od lat nie nosiła, długi sweter i wysokie buty. Kiedy matka zeszła na dół w bordowej dzianinowej sukni i apaszce w pawie, prezencie z Włoch, córka ledwie ją poznała. Matka była piękną kobietą.

– Może być? – spytała, zaniepokojona osłupiałym spojrzeniem Sam.

Córka pocałowała ją w policzek.

– Wyglądasz prześlicznie.

Zrzędliwa, dokuczliwa matka zaczerwieniła się jak nastolatka.

Samantha chciała sprawdzić, jak radzi sobie Iggy, myślała, że może potrzebuje pomocy. Ale matka zauważyła:

– Zostaw go. Da sobie radę. Powiedział, że jest już duży.

Iggy schodził po schodach, patrząc pod nogi, jakby nie ufał rzadko noszonym skórzanym eleganckim butom. Samantha patrzyła ze ściśniętym gardłem. W spodniach i białej koszuli, z czerwonymi szelkami, które pasowały do czerwonej muszki, Iggy wyglądał jak mały mężczyzna.

– Ja mu ją zawiązałam – pochwaliła się matka, a potem machnęła ręką.

Kiedy zadzwoniła komórka, wszyscy troje znieruchomieli. Dwie osoby, które Sam kochała najbardziej na świecie, spojrzały na nią krótko z nieśmiałą obawą, po czym w ich oczach pojawiło się rozczarowanie.

Zerknęła na wyświetlacz, choć wiedziała, że to Jeffery. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Podczas tych wszystkich lat, gdy pracowała z nim jako operator kamery, nigdy go nie zawiodła. Jeffery był tylko jednym z reporterów, którzy nie robią zdjęć samodzielnie. Samantha wiedziała, że może ją kimś zastąpić – zarówno tego wieczoru, jak i we wszystkie kolejne. Wystarczy, że pstryknie palcem.

Oczywiście, nikt nie wytrzymałby z nim tak długo jak ona. Byli jak stare małżeństwo, ignorowali wzajemnie swoje dziwactwa, akceptowali wady i zalety. Doświadczenie podpowiadało, że w małżeństwie czy innych związkach zwykle jedna ze stron jest bardziej poszkodowana. W rodzinie Samanthy to jej matka i syn w ciągu ostatnich lat byli tą właśnie stroną.

Palec Sam zawisł nad dzwoniącym telefonem. Widziała, jak Ignacio wsunął kciuki pod szelki, gotowy ściągnąć je

z ramion, i dała mu znak, żeby tego nie robił.

– Nawet nie próbuj – powiedziała i przesunęła palcem po ekranie. Potem wyłączyła komórkę, nie czekając, aż znów zadzwoni. – Chodźmy.

Ani syn, ani matka nie ruszyli się z miejsca. Patrzyli na nią zaszokowani tym, co Samantha właśnie zrobiła, niemal tak zaszokowani, jak ona sama.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Patrick otworzył drzwi i domyślił się, kim jest ta kobieta, choć się nie przedstawiła. Z jej zdziwionej miny zgadywał, że ona także go rozpoznała.

– Mówiła, że wyglądasz dokładnie jak twój ojciec.

– Maggie tak powiedziała?

– Nie. Twoja matka.

– To pani jest Kathleen O'Dell?

– A ty jesteś Patrick.

– Maggie nie ma w domu. – Otworzył jednak drzwi i zaprosił ją do środka.

Zawahała się, ale tylko na moment, patrzyła na niego, jakby ujrzała ducha.

– Wiem, że jej nie ma. Nie do niej przyszłam.

Teraz pożałował, że pospieszył się z otwarciem drzwi. Maggie miała zainstalowaną kamerę. Mógł uniknąć tego spotkania i udać, że go nie ma.

– Jest pani w kontakcie z moją matką?

– Od czasu do czasu. – Kathleen ruszyła do salonu. – Nie patrz z takim zdziwieniem. Jak twoim zdaniem przez te wszystkie lata miałyśmy pilnować, żebyście o sobie nie wiedzieli?

Nie podobał mu się ten sarkazm. Może nawet istniało zewnętrzne podobieństwo między matką a córką, ale szorstkość i opryskliwość tej kobiety w niczym nie

przypominały mu przyrodniej siostry. Nie minęły dwie minuty, odkąd się poznali, a Patrick już wyczuł jej wrogość.

– W jakiej sprawie chciała się pani ze mną widzieć?

– Twoja matka nie wspominała, że jesteś niegrzeczny.

Poczuł, że kark mu się zaczerwienił.

– Może zaproponujesz mi coś do picia?

Poszła za nim do kuchni, jakby znała drogę. Stanęła przy wyspie kuchennej i patrzyła, jak Patrick wyjmuje z szafki szklanki i otwiera lodówkę. Zanim wyjął dzbanek mrożonej herbaty, powstrzymała go.

– Na pewno masz coś mocniejszego niż mrożona herbata. Wiem, że byłeś barmanem w czasie studiów, więc jesteś chyba dość dorosły, żeby pić alkohol.

– Wie pani dokładnie, ile mam lat – odrzekł zirytowany.

Popatrzyła na niego przez chwilę, a on zobaczył w jej oczach głęboki smutek. Powiedziała:

– Tak, wiem dokładnie, ile masz lat.

Matce zabrało to całe życie – życie Patricka – by przyznać, że został poczęty podczas trzymiesięcznego romansu z Thomasem O’Dellem. Dorastając, niewiele wiedział o ojcu, kilka pamiątkowych drobiazgów trzymał w pudełku po butach Nike. Dopiero przed pięciu laty, kiedy Maggie przyjechała spotkać się z nim na Uniwersytecie Stanu New Haven, Patrick poznał sekret, który żona i kochanka Thomasa ukrywały przez ponad dwadzieścia lat. Zastanawiał się, co Kathleen O’Dell zamierza osiągnąć swoją wizytą.

Wyjął wino, którego nie dokończyli z Maggie podczas kolacji poprzedniego wieczoru. Zamienił szklanki na kieliszki, otworzył butelkę i nalał. Z początku chciał zostać przy herbacie, ale potem stwierdził, że ta rozmowa może potoczyć się łatwiej z pomocą wina.

Zostało pół butelki. Kiedy napełnił kieliszki, przesunął jeden z nich po blacie w stronę Kathleen, która usiadła na barowym stołku. Patrick stał, przyjął dawną pozycję barmana, a potem przypomniał sobie, że podczas konfrontacji o północy Maggie i Samantha zajmowały te same miejsca co oni teraz.

– Maggie ma wobec ciebie nieuzasadnione poczucie obowiązku – rzekła Kathleen, wypijając spory łyk.

– W przeciwieństwie do pani i mojej mamy.

– Czemu, na Boga, miałabym czuć się odpowiedzialna za sukę, która zamierzała ukraść mi męża?

Patrick powstrzymał się przed jakąkolwiek reakcją, słysząc, że Kathleen nazywa jego matkę suką.

– O czym chce pani ze mną mówić, pani O’Dell?

– Chcę, żebyś wyjechał. Pakuj się i wynoś się z życia Maggie.

– Maggie mnie zaprosiła, żebym tutaj został. Nie prosiłem o to.

– Ale oczywiście skorzystałeś z zaproszenia.

– Jestem pewien, że to nie pani interes.

– Więc ile to będzie kosztowało?

– Słucham?

– Ile chcesz za to, że stąd znikniesz?

– Myślę, że to ty powinnaś stąd wyjść, mamo – odezwała się Maggie od drzwi.

Żadne z nich nie słyszało, kiedy przyszła. Patrick zapomniał zamknąć drzwi na klucz i ustawić alarm. Maggie musiała zobaczyć samochód matki na podjeździe.

– Patrick jest moim gościem. Jeśli chcesz jeszcze kiedykolwiek gościć w moim domu, sugeruję, żebyś w tej chwili wyszła.

– Spodziewałam się, że cię zainteresuje. Może nawet zechcesz go poznać. Nie spodziewałam się, że ściągniesz go do naszego życia.

– Mojego życia. Nie twojego.

Kathleen O'Dell zeszła z wysokiego stołka i stanęła naprzeciw córki. Wtedy dopiero Patrick zdał sobie sprawę, że Kathleen lekko chwieje się na nogach. Musiała wypić kilka drinków, zanim tu przyjechała.

– Więc wybierasz tego chłystka, przyrodniego brata, a nie własną matkę?

– Nikogo nie wybieram. Chcesz porozmawiać o decyzjach, mamo? Może powinnaś mi powiedzieć, czemu zdecydowałaś się udzielić wywiadu jakiemuś lichemu dziennikarzynie?

– Jeffery Cole zdobył wiele dziennikarskich nagród. Skąd miałam wiedzieć, że przekręci moje słowa?

– Racja, przekręcił twoje słowa i wyszło na to, że zdradzasz własną córkę.

– Zdradzam? Dla ciebie to zdrada? A to – zaproszenie go do własnego domu – to nie zdrada?

Kathleen O’Dell machnęła ręką, jakby uważała, że Maggie jest śmieszna. Pokręciła głową powoli. Dla Patricka wyglądało to melodramatycznie, a nawet sztucznie. Ruszyła do drzwi – najwyraźniej albo spieszno jej było uciec, albo po prostu chciała mieć ostatnie słowo. Tak czy owak, zrozumiał, że Kathleen zamierza ich opuścić bez wyjaśnień czy przeprosin.

Zanim wyszła, mruknęła pod nosem coś, co brzmiało jak: „Jeszcze pożałujesz”.

Patrząc na zawiedzioną twarz Maggie, Patrick stwierdził, że siostra już żałuje.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Tully włożył dżinsy, starą szarą bluzę, najpaskudniejsze trampki, jakie miał, i znoszoną kurtkę, którą kupił w sklepie Armii Zbawienia. Minionego wieczoru, kiedy dokładnie przejrzał zawartość czerwonego plecaka, znalazł interesujący zbiór bezwartościowych śmieci.
A przynajmniej wydały mu się bez wartości. Potem odkrył, że osoba, do której należy plecak, ma ten sam zwyczaj co on – z baru, gdzie wpada coś zjeść, zabiera serwetkę albo i dwie.

Tully wyjął wszystkie serwetki – osiem różnych oraz cztery z jednego lokalu. Kupił mapę turystyczną stolicy i zaczął zakreślać bary, z których pochodziły. Ponad połowa interesujących go miejsc znajdowała się w okolicy spalonych magazynów, niedaleko Biblioteki imienia Martina Luthera Kinga Jr., skąd autobusy dla bezdomnych zabierają pasażerów. Pozostałe były w centrum. Cztery jednakowe serwetki zostały wzięte z małego narożnego sklepu U Williego między biblioteką i miejscem pożaru na Massachusetts Avenue.

Facet, który podciął Tully’emu nogi i uciekł Maggie, schodząc do kanału, wyglądał na bezdomnego. Może to tylko przebranie. Jeśli to on jest podpalaczem, może dzięki przebraniu zniknął w tłumie. Oboje, Tully i Maggie, podejrzewali, że podpalacz piechotą dotarł na miejsce

przestępstwa. Czy istnieje lepszy sposób na zniknięcie, niż zejście do kanałów i bezpieczny powrót tą drogą do domu?

Oczywiście pożary w kościołach w Arlington zaprzeczały przeczuciu Tully'ego. A jednak instynkt mu podpowiadał, że ten gość, właściciel plecaka – kimkolwiek jest – wie coś więcej. Może coś albo kogoś widział. W końcu czemu znikałby w studzience tamtej nocy, kiedy mógł bez kłopotu odejść? Czy to przypadek, że zniknął, zanim drugi budynek stanął w płomieniach?

Między narożnym sklepem U Williego i terenem pożaru Tully wytypował trzy włazy w miejscach, gdzie można było się dostać niezauważenie do kanałów. Potem znalazł punkt, z którego mógł obserwować wszystkie trzy włazy.

Prócz serwetek na dnie plecaka Tully znalazł też kilka paragonów. Większość z nich od Williego. Wszystkie miały wydrukowaną godzinę – między piątą a siódmą wieczorem.

Tully kupił u Williego kawę i kanapkę i skierował się w upatrzony punkt. Była za dziesięć piąta. Pomyślał, że poczeka ze dwie godziny. Usiadł na zimnym betonie i szybko pojął, czemu większość kratek, z których ulatnia się para, jest już zajęta.

Jadł kanapkę i popijał kawę. Miał przed oczami powiększoną podobiznę tego człowieka. Choć rysy były zamazane, sądził, że rozpozna go po budowie ciała, kudłatych włosach i spiczastej bródce. Zresztą nie powinien się martwić dokładnym rysopisem. Ile osób wychynie ze studzienki po piątej po południu?

Siedział, jadł, popijał i obserwował. Pół godziny później pośladki mu ścierpły na zimnym betonie. Zastanowił się, czy nie przenieść się na jedną z kratek, ale wszystkie były nadal zajęte, a on obawiał się, że nie dojrzy stamtąd włazów. Słońce zniknęło za budynkami, ulica pogrążyła się w cieniu. Wkrótce zrobi się przejmujący wilgotny ziąb.

Tully podniósł się i oparł o budynek, rozglądał się za cieplejszym miejscem. Był trochę rozkojarzony, gdy nagle z włazu po drugiej stronie ulicy, najdalej od punktu obserwacyjnego, wyjrzała głowa w pomarańczowym kasku.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Maggie obserwowała doktor Ling, która pokazała dokumenty mundurowemu policjantowi w pierwszym punkcie kontrolnym. To, że Ling pojawiła się tutaj zamiast Stana Wenhoffa, koronera, czy jednego z zastępców, oznaczało, że z ciał wewnątrz budynku zostały głównie kości. Patolog bada tkanki i organy, a antropolog wzywany jest, kiedy nawet już to nie zostało.

Ling ujrzała Maggie chwilę wcześniej, nim przeszła pod żółtą policyjną taśmą. Nie kryła wielkiej ulgi na widok znanej sobie twarzy.

Maggie żałowała, że jej nie wystarczy spotkanie znajomej osoby, by poczuła się lepiej. Ogień został ugaszony, nie było już płomieni ani czarnego dymu. Strażacy zabrali sprzęt gaśniczy. Ratownicy medyczni zajmowali się trzema wymagającymi pomocy strażakami. Jeden siedział w masce tlenowej. Drugi miał zabandażowaną głowę, gaza nasiąkła krwią. Trzeci pochylał się nad zapasowym kołem, jakby wymiotował.

Zignorowała atak nudności. Właśnie połknęła trzy tabletki ibuprofenu, z nadzieją, że uśmierzą ból. Na razie bez skutku. W krótkim czasie, jaki zajęło jej pokonanie stu metrów do doktor Ling, zauważyła, że ulga na twarzy kobiety zamieniła się w troskę.

Zanim antropolog spytała o jej samopoczucie, Maggie uniosła ręce.

– To tylko ból głowy – powiedziała, nie dzieląc się informacją, że żołądek podchodzi jej do gardła.

– Nie musi pani wchodzić do środka.

Nie weszła do poprzednich budynków. Ling miała rację. Do tego też nie musi wchodzić. Ale podpalacz przyspieszał i rozwijał się w nieprzewidywalnym tempie. Jeżeli chce go zrozumieć i wiedzieć, jak go złapać, musi na własne oczy zobaczyć miejsce zbrodni.

– Muszę zobaczyć, co zrobił.

Doktor Ling patrzyła na nią chyba przez minutę. Potem kiwnęła głową i ruszyła do wypalonych drzwi. Przed wejściem przystanęła, otworzyła worek marynarski i wyjęła dwa ciasno zwinięte ochronne kombinezony. Jeden z nich podała koleżance.

– Zawsze mam przy sobie dodatkowy.

Strażak dał Maggie specjalne buty, gdy tylko tam przyjechała. Włożyła je na skórzane mokasyny, czuła się w nich jak clown. Zdjęła je, żeby włożyć kombinezon.

Kobiety podwinęły rękawy i nogawki. Maggie złożyła ich kurtki i schowała je do marynarskiego worka. Potem znów włożyła ciężkie strażackie buty. Doktor Ling wciągnęła swoje. Na szyi zawiesiła ochronne okulary, później przyszła pora na cienkie skórzane rękawiczki i nakolanniki, które upodobniły ją do łapacza z drużyny bejsbolowej.

Maggie w pośpiechu włożyła granatową czapkę z daszkiem z napisem FBI, a Ling spytała:

– Gotowa?

W budynku śledczy ATF Ivan stał między szefem strażaków, który nad nim górował, i Julią Racine. Kiedy Ivan zobaczył Maggie, potrząsnął głową, jakby to wszystko była jej wina. Agentka szła ostrożnie za Ling w stronę sterty gruzu, która przyciągnęła uwagę śledczego. Na środku leżało coś, co wyglądało na grube drewniane drzwi.

Szef strażaków spojrzał na Ling i natychmiast zaczął przepraszającym tonem:

– Wchodziliśmy tędy. Obawiam się, że weszliśmy prosto na nich.

Szczątki wciąż się tliły. Maggie dopiero po chwili dojrzała jakieś kształty. Czaszkę z pustymi oczodołami patrzącymi na sufit. Pod osmalonym kawałkiem drewna widziała długą poczerniałą kość. Potem nagle dostrzegła inne kości wystające z rumowiska.

Błyski światła przestraszyły Maggie. Ling miała aparat fotograficzny i zręcznie poruszała się wokół grupy stojących. Spokojnie i cierpliwie, bez słowa przesunęła ich do tyłu.

– Nie ruszaliśmy niczego z tych ciał – oznajmił szef strażaków.

– Bardzo dobrze. – Ling była już w swoim żywiole, ale pozostała uprzejma. Schowała aparat do kieszeni i podniosła wzrok na szefa strażaków. – Pomoże mi pan przesunąć ten kawał drewna?

Podczas gdy ci dwoje ostrożnie unosili osmalone i kruszące się drewno, nikt się nie ruszył. Zanim je odłożyli na bok, Racine jęknęła.

– Jezu! Jak myślicie, ile tam jest osób?

– Próbowali wydostać się na zewnątrz tym wyjściem.

Maggie doliczyła się jeszcze czterech czaszek. Jedno ciało leżało wykrzywione na boku, w pozycji zwanej pozycją pięściarza. Pozbawione tlenu mięśnie podciągnęły ręce, dłonie zacisnęły się w pięści, a nogi zgięły w kolanach, jak u boksera gotowego do zadania ciosu. Dopiero niedawno o tym czytała. To znaczy, że ofiara żyła, kiedy płomienie paliły jej skórę, ściągając ją i rozkładając, powodując skurcz mięśni. Żyła, ale była już zatruta dymem. Na szczęście tlenek węgla szybko gromadzi się we krwi, powodując utratę przytomności.

I znów Maggie przyłapała się na myśli o ojcu. Tak właśnie mógłby wyglądać, gdyby jeden z kolegów strażaków nie wyciągnął go na zewnątrz. Jako dziecko nie rozumiała, dlaczego twarz leżącego w trumnie ojca sprawia wrażenie pomalowanej, a brwi zniknęły. Wydawał się spokojny, tylko plastikowa folia pod garniturem się marszczyła. Dopiero po latach Maggie się dowiedziała, że kiedy większość skóry i mięśni jest spalonych, przedsiębiorcy pogrzebowi muszą zawinąć ciało – ręce i nogi – w folię, żeby płyn do balsamowania nie wyciekał.

Doktor Ling zrobiła ostatnie zdjęcie, błysk lampy zwrócił znów uwagę Maggie na stertę kości i popiołu.

– Muszę to robić powoli – powiedziała im Ling, gotowa do pracy. Czekała, aż sobie pójdą. Przyniosła plastikowe pojemniki i papierowe torebki, szpadel ogrodniczy, miotełkę

z krótką rączką i zwykłą śmietniczkę. – Dołączy do mnie dwóch techników.

– Możemy pani pomóc zapakować większe kawałki – zaoferował Ivan, podczas gdy Maggie już się cofnęła, gotowa do ucieczki.

– Prawdę mówiąc, zostawiam tors na koniec. Zaczynanie od dużych fragmentów często niszczy te mniejsze.

Ling oczyściła miotełką najbliższą czaszkę, odkrywając kolejne fragmenty kości. Ostrożnie je podniosła i schowała do plastikowego pudełka, które już oznakowała. Maggie patrzyła z takim skupieniem i fascynacją na małe dłonie Ling, ich pewne i nieprzypadkowe ruchy, że prawie zapomniała, po co znalazła się w tym miejscu, aż Racine pociągnęła ją za łokieć.

– Szef jest gotowy pokazać nam, gdzie to się zaczęło.

Maggie odwróciła się i zobaczyła, że szef strażaków i Ivan wychodzą na zewnątrz. Zerknęła na Ling, która nie zwracała już na nikogo uwagi. Kiedy Maggie ją mijała, dostrzegła małą dziecięcą czaszkę, którą Ling właśnie podniosła ze sterty śmieci i trzymała w dłoniach.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Tym razem, kiedy ten wysoki gość w złachanej zielonej kurtce zwrócił się do niego, Cornell Stamoran nie robił problemu. Nawet gdy facet wspomniał o czerwonym plecaku, Cornell go nie rozpoznał. Tamten wyjął coś, co wyglądało jak portfel, a Stamoran pomyślał, że może chce mu dać pieniądze, aż sobie uprzytomnił, że ma na sobie kask i jaskrawą kamizelkę służb miejskich. Pewnie gość zamierza się poskarżyć na jakiś wybój czy kanał ściekowy. Już się to wcześniej zdarzało, więc był naprawdę zaskoczony, kiedy w otwartym portfelu ujrzał odznakę.

– Pan jest tym gościem, któremu podciąłem nogi.

– Agent R.J. Tully. A pan jest?

– Zatrzymany.

Nie rzucił się do ucieczki. Agent Tully wyglądał na zdziwionego, prawie rozczarowanego, jakby cały dzień na to czekał. Może myślał, że będzie miał okazję odpłacić się Cornellowi za to, że przewrócił go twarzą na chodnik.

Cornell nie pamiętał, jak i skąd pojawił się policyjny samochód. W jednej chwili usłyszał, że FBI chce mu zadać kilka pytań, a w następnej gliniarz zakładał mu kajdanki.

– Jestem aresztowany? – musiał zadać to pytanie trzy albo cztery razy, zanim agent Tully przyznał, że zamierza go zabrać tylko na krótką rozmowę.

Zanim wylądował na ulicy, Cornell był raz aresztowany za prowadzenie po alkoholu. Wtedy miał cholernego stracha,

że klienci się o tym dowiedzą. Zabawne, jak życie się plecie i jak okoliczności zmieniają perspektywę.

Tym razem myślał wyłącznie o tym, czy w celi będzie ciepło. Wiedział, że muszą go nakarmić. Może nawet dadzą mu czysty pomarańczowy kombinezon. Przyłapał się na tym, że cieszy się szansą na prysznic i toaletę. Ten gość, który za nim łazi, wreszcie się odczepi. Mało się nie zaśmiał, myśląc o znienawidzonym dupku, który patrzył, jak bezdomny wsiada na tylne siedzenie policyjnego wozu.

Będzie odpowiadał na pytania całą noc, a może nic nie powie. Zależnie od tego, czym zasłuży sobie na celę. Potrafi przechytrzyć tych gości. Kiedy pracował, potrafił podczas lunchu tak zagadać klientów, że czuli się zupełnie zagubieni. Nie ma sprawy.

Chociaż oczywiście byłoby mu łatwiej z przyjacielem Jackiem Danielsem.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Maggie potrzebowała powietrza. Szła za Racine, Ivanem i szefem strażaków. Wystarczy sześć głębokich oddechów czystym świeżym powietrzem. Tylko tyle było jej trzeba. Ale sadza i popiół wciąż wypełniały wilgotną noc. W za dużych butach szło jej się ciężko, a starała się ostrożnie stawiać kroki. Miała wrażenie, że zamiast stóp ma bloki betonu.

Czaszka, którą trzymała Ling, była taka mała. To musiało być dziecko, roczne albo niewiele starsze. Kiedy Racine do niej zadzwoniła, uprzedziła, że tym razem może być kiepsko. Sklepy na parterze zostały już zamknięte, ale Racine ostrzegła ją, że niektórzy właściciele sklepów mieszkali nad nimi na piętrze. Ta rodzina zeszła na dół, do sklepu, z nadzieją, że tędy ucieknie. Dlaczego nie pomyśleli o schodach przeciwpożarowych? Musi się tego dowiedzieć.

– Była tam sterta starych szmat i gazet – oznajmił szef strażaków. Czarnoszara góra popiołu leżała teraz na chodniku w alejce, ale szef wskazał wyżej, na podest. Maggie natychmiast zauważyła, że drabina przeciwpożarowa została ściągnięta.

– Przypuszczalnie polał gazety benzyną. Na tych łatwopalnych materiałach położył kawałek drewna. A na nim jakieś środki chemiczne. Dzięki temu mógł spokojnie zejść i się oddalić. Może miał nawet pięć do dziesięciu minut.

– Wiemy już, jakie to środki chemiczne? – Racine spojrzała na śledczego Ivana.

– Wysłaliśmy próbkę do laboratorium FBI.

Szef strażaków kontynuował:

– Myślę, że jedno to substancja stała, może w formie krystalicznej. Druga musiała być płynna. Mógł nawet między nimi umieścić coś jeszcze. Płyn, który wylał, najpierw przeciekł przez tę barierę, a dopiero potem został absorbowany przez pierwszy środek chemiczny. Po połączeniu się obu substancji nastąpiła gwałtowna reakcja. Rozżarzony do białości błysk, który natychmiast podpalił stertę znajdujących się pod spodem materiałów łatwopalnych.

Wskazał znów latarką na podest i przesunął strumień światła na boczną ścianę budynku, pokazując czarną plamę ciągnącą się od podestu schodów przeciwpożarowych do otworu, który dawniej był oknem.

– Spryskał benzyną cały parapet. Nie musiał się włamywać czy w ogóle wchodzić do budynku. W oknach wisiały firanki. Kiedy szyba pękła, firanki się zapaliły i ogień łatwo dostał się do środka. Podobnie było podczas pożaru magazynów. Niewiele wiem o wczorajszych pożarach w kościołach w Arlington, ale rozumiem, że też zaczęły się na zewnątrz.

– Przepraszam – wtrąciła Racine. – Dla mnie to brzmi jak jakieś czary-mary. Skąd wiedział, że to zadziała?

– Mówiąc między nami, śmiem twierdzić, że ten gość wie, co robi.

– Chwileczkę, co ma pan na myśli? Sugeruje pan, że to może być strażak?

Szef strażaków spojrzał na Ivana, jakby powiedział za dużo, albo, co gorsze, obraził śledczego ATF.

– Nie byłby pierwszy – oznajmiła Maggie. – Myślę o Benjaminie Christensenie z Pensylwanii. Zdaje się, że był strażakiem ochotnikiem. Nikogo nie zabił, ale spowodował co najmniej tuzin pożarów, niektóre w miejscach o historycznym znaczeniu.

– John Orr w Południowej Kalifornii – dodał szef strażaków.

– To było dawno. – Ivan się skrzywił.

Maggie dobrze pamiętała opis tamtej sprawy sprzed trzydziestu lat. Natknęła się na nią, kiedy zaczęła się interesować seryjnymi podpalaczami. Orr był kapitanem straży pożarnej i śledczym do spraw podpaleń. Został przydzielony do śledztwa w sprawie pożaru, który sam wzniecił.

Nic dziwnego, że Ivan się irytuje, ponieważ ktoś wyciąga sprawę przestępczego zachowania kolegi po fachu. Na pewno mają własną wersję cienkiej niebieskiej linii.

Maggie pomyślała o Bradzie Ivanie. Miał w sobie coś, co ją niepokoiło, ale nie traciła czasu na to, by to nazwać. Był niezadowolony z udziału FBI w śledztwie, i to do tego stopnia, że zatajał przed nią i Tullym informacje. Od początku uderzyło ją, że Ivan nie potrafi współpracować z innymi, a konfrontacyjna postawa nie pasowała do jego funkcji.

Ivan słuchał szefa strażaków z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Płaszcz ledwo mu się dopinał na brzuchu. Przypomniała sobie, jak próbował podciągnąć spodnie i zdziwił się, że to niewykonalne. Jak ktoś, kto nagle stwierdza, że figura mu się zmieniła.

Podrapał się w głowę i zaczesał do tyłu stalowoszare, zachodzące na uszy kosmyki, jakby już dawno powinien był się ostrzyc. Maggie zdała sobie sprawę, że dodatkowe kilogramy i nieostrzyżone włosy mogą oznaczać, iż Ivan pracuje ostatnio więcej niż dotąd. To tłumaczyłoby także jego poirytowanie. Jednak coś kazało się agentce zastanowić, czy jest niezadowolony, czy tylko bardzo zmęczony.

Ivan stał za szefem strażaków, kiedy zobaczyła, że zmarszczył czoło na jakieś słowa, które szef powiedział do Racine. Postanowiła sprawdzić Ivana. Zaczęła się zastanawiać, czy to przypadkiem nie on wszedł za nią do kanału, licząc, że złapie podpalacza, a przy okazji śmiertelnie ją wystraszy. Pokaże pani psycholog, jak ograniczona jest jej wiedza. Czy byłby do tego zdolny? Czy to on stał za jej ogrodzeniem? Jako śledczy ATF mógł bez problemu zdobyć informacje na temat pracowników federalnych, w tym ich prywatnych adresów.

Rozmyślała nad tym wszystkim, gdy raptem coś po drugiej stronie ulicy przyciągnęło jej uwagę. Pusta parcela z wykopami i pooraną ziemią. Bloki betonu, sterty śmieci, ogromne żółte koparki i wywrotki, które stały tam zaparkowane na noc. W całym mieście były place budowy,

ale dwa z nich znajdowały się dokładnie naprzeciw dwóch miejsc pożarów. Czy to przypadek?

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Jakąś godzinę wcześniej Samantha śmiała się z synem, patrząc, jak matka usiłuje chwycić pałeczkami smażonego pieroga. Właśnie w tamtej chwili usłyszała pierwszą syrenę.

Dźwięk zatrzymał się kilka przecznic dalej, ale Sam natychmiast się zdenerwowała. Uśmiechnęła się siłą woli, żeby rodzina nie zauważyła, że serce zaczęło jej walić. Nie chciała, by widzieli, że rozgląda się po sali z lekką paniką, szukając najbliższego wyjścia.

Kilka minut później usłyszała kelnera, który mówił komuś, że palą się sklepy pięć przecznic dalej. Od razu pomyślała o Jefferym. Wiedziała, że będzie próbował się z nią skontaktować. Sięgnęła po telefon, żeby go znów włączyć. Wyjęła go z torebki i wtedy nagle uświadomiła sobie, co robi. Po drugiej stronie stolika jej syn i jej matka zaśmiewali się z wróżb znalezionych w ciasteczkach.

– Mamuś, przeczytaj swoją.

Dłonie zaczęły jej się pocić. Kiedy wrzucała telefon z powrotem do torebki, wydawał się strasznie ciężki.

To był najsłuszniejszy wybór, jakiego dokonała od bardzo długiego czasu.

Teraz, kiedy ujrzała escalade Jeffery’ego na swoim podjeździe, poczuła ucisk w żołądku i przypomniała sobie, że słuszna decyzja nie zawsze jest najłatwiejsza. Nie będzie też najlepsza dla jej kariery, jeśli w ogóle jeszcze ma pracę.

– To mój szef – powiedziała do matki.

– Twój szef tutaj? Przecież masz dzisiaj wolne?

Zamiast cokolwiek wyjaśniać, poprosiła matkę, żeby zabrała Iggy’ego do domu i schowała resztki do lodówki.

– Zaraz wracam – zapewniła z nadzieją, że w jej głosie nie słychać alarmu, który włączył się już w głowie.

Patrzyła, jak matka i Ignacio przemykają obok zderzaka dużego SUV-a, który stał niewiele ponad pół metra od jej garażu. Matka spojrzała na Jeffery’ego wilkiem, choć nie mógł tego zobaczyć, bo było ciemno, a samochód miał przyciemnioną przednią szybę. Samantha mało się nie uśmiechnęła. Gest matki pomógł jej zebrać się na odwagę. Mimo wszystko nogi trochę jej drżały, kiedy wysiadła z samochodu i stanęła naprzeciw garażu, w bezpiecznej odległości od Jeffery’ego i w takim miejscu, gdzie raczej nie mógł jej przejechać. Wiedziała też, że nie widać jej z okien domu.

Stała i czekała.

Nie zamierzała wsiąść do SUV-a. Jeśli Jeffery chce jej zrobić krzywdę, musi to zrobić tak, żeby sąsiedzi to zobaczyli i wezwali policję.

Silnik zaczął cicho pracować. Szyba w oknie od strony pasażera powoli zjechała. Twarz dziennikarza wyglądała spokojnie. Oczy już nie.

Poświata z samochodu nadawała mu upiorny wygląd. Krawat wisiał luźno, biały kołnierzyk koszuli był zabrudzony. Kurtkę Jeffery rzucił niechlujnie na bok, rękawy podwinął niedbale. Całe ciało wręcz emanowało wściekłością.

– Dzisiaj wieczorem były ofiary śmiertelne – rzekł jakby od niechcenia, co zabrzmiało dość dziwnie. – Big Mac właśnie tego się domagał.

Czuła, że dziennikarz w skupieniu patrzy jej w oczy, lecz nie drgnęła i nie odwróciła wzroku.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, ile to nas będzie kosztowało? Mam nadzieję, że twoja chińska potrawka była tego warta. Żebyś więcej nie śmiała się tak zachowywać.

Szyba w oknie samochodu się zamknęła. Samantha ledwo stała.

Skąd wiedział, dokąd wybrali się na kolację? Jechał za nimi?

Potem przypomniała sobie, że matka wzięła do domu to, czego nie zjedli na miejscu. No jasne, opakowania musiały mieć logo restauracji. Kiedy jednak weszła do kuchni, zobaczyła na blacie torebki z białego gładkiego papieru. Bez logo, bez żadnej wskazówki, że pochodzą z chińskiej restauracji.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Maggie śmierdziała dymem, ale przynajmniej nie wyglądała tak fatalnie jak Tully.

– Co się z tobą działo? – spytała.

Wszedł do sali konferencyjnej i opadł na skórzany fotel po drugiej stronie stołu.

– W końcu złapałem tego gościa od plecaka.

– To ten, którego szukamy?

Tully wzruszył ramionami, wyglądał na przegranego i umęczonego.

– Myślę, że to bezdomny pijaczek, paranoik i może trochę schizo. A tu co słychać?

Wskazał na teczki z dokumentami i mapy, które Maggie rozłożyła na dużym stole. Zamiast wracać do domu, przyjechała do Quantico, żeby przejrzeć parę teczek i zajrzeć do baz danych. Właśnie sprawdzała nieodebrane połączenia, wciąż unikając wiadomości głosowych matki, kiedy zadzwonił zastępca dyrektora Raymond Kunze i nalegał, by Maggie i Tully spotkali się z nim za godzinę w sali konferencyjnej. Nic go nie obchodziło, że jest późny sobotni wieczór.

– Po drugiej stronie tych sklepów, które spłonęły dziś wieczorem, jest plac budowy.

– Okej.

– Na końcu ulicy, gdzie są spalone magazyny, też znajduje się plac budowy.

– Ten sam przedsiębiorca?

– To była moja pierwsza myśl. Niestety nie. Dwie różne firmy. Ale jest coś interesującego: oba projekty powstają z funduszy federalnych. Naprzeciw sklepów ma być magazyn z darmowym jedzeniem. W tym drugim miejscu schronisko i świetlica dla bezdomnych. Oba to projekty Departamentu Mieszkalnictwa i Urbanistyki.

– Możemy zdobyć listy pracowników, żeby sprawdzić, czy ktoś pracuje na obu budowach?

– Próbuję. Tyle biurokracji, że nawet moje pozwolenia nie pomagają.

Tully się zaśmiał.

– To nie wszystko – powiedziała Maggie. – Rozmawiałam przez telefon z właścicielem firmy budowlanej pracującej w pobliżu magazynów.

– Założę się, że ucieszył się z telefonu w sobotni wieczór.

– Prawdę mówiąc, nie był zaskoczony. – Wyczuła raczej irytację rozmówcy. Odniosła wrażenie, że nie jest pierwszym pracownikiem federalnym, który wtrąca się w jego biznes.

– Da ci listę pracowników?

– Powiedział, że to trudne.

– Z powodu ochrony prywatności?

– Nie, nie o tym mówił. On nie ma listy wszystkich pracowników.

Tully zamrugał powiekami i pochylił się, jakby się przesłyszał.

– Musi zatrudniać masę prywatnych podwykonawców, bo projekt przyspieszono. Ktoś z Departamentu Mieszkalnictwa i Urbanistyki powiedział mu, że ma skończyć wcześniej i nie przejmować się, że nie zna nazwisk wszystkich robotników.

– Powiedział ci to, wiedząc, że jesteś agentką FBI?

– Nie powiedziałam mu dokładnie, kim jestem. – Nie pierwszy raz Maggie czy Tully zataili jakąś informację, by uzyskać inną.

– To może ktoś pracuje na obu tych budowach.

– Albo ktoś uznał, że pożary przyciągną większą niż zwykle uwagę, jeśli będą blisko budów opłacanych z funduszy federalnych.

– Może dlatego Kunze robi w portki.

– Tyle czasu zajęło wam obojgu, żeby do tego dojść.

Zastępca dyrektora Raymond Kunze stał w drzwiach sali konferencyjnej. Tully usiadł prosto, kark mu poczerwieniał. Maggie opuściła ręce na kolana i powściągnęła uśmiech. Ich szef wyglądał jak wspomagający z drużyny futbolu amerykańskiego, tyle że ubrany niczym wykidajło w nocnym klubie. Jego sweter był pewnie rudy, ale we fluorescencyjnym świetle wyglądał na pomarańczowy.

– Będę wysłuchiwać opieprzu jednego senatora i dyrektora Departamentu Mieszkalnictwa i Urbanistyki, dopóki nie złapiecie tego pieprzonego podpalacza. – Ruszył do środka, ale zatrzymał się w połowie drogi. – Tully, wygląda pan koszmarnie. O’Dell – wciągnął powietrze nosem – śmierdzi pani.

Gdyby Maggie nie wiedziała lepiej, pomyślałaby, że Kunze w końcu z nimi żartuje, jakby byli częścią drużyny. Po raz pierwszy tak otwarcie przyznał się do swoich politycznych powiązań.

Rzucił na stół coś, co wyglądało na przesłany faksem dokument. Papier był cienki i zwijał się jak papier z bardzo starych faksów.

– Właśnie dostałem raport ATF w sprawie pożarów w kościołach. – Usiadł u szczytu stołu, postukując w dokument. – Na progu drzwi do sutereny rozlano benzynę. Ten drań nie tylko wiedział, że na dole będzie spotkanie, ale zawziął się, żeby kogoś zabić. Dzisiaj wieczorem w końcu mu się udało. Zamordował całą rodzinę, podkładając ogień przy wyjściu przeciwpożarowym i tylnych drzwiach, ich jedynej drodze ratunku.

Maggie nie wiedziała o tylnych drzwiach. Patrzyła na Kunzego. Przywykła do jego złości, ale tego wieczoru widziała u niego emocje, których nie rozpoznała. Wydawał się wstrząśnięty ostatnimi zgonami.

– Tam było osiemnastomiesięczne dziecko – rzekł cicho. – Kiedy to się dostanie do mediów, skopią mi tyłek. – Podniósł na nich wzrok. – Wasze tyłki także, jeżeli nie schwytacie drania.

NIEDZIELA

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

W kamerze zainstalowanej przy drzwiach frontowych Maggie widziała przestępującą z nogi na nogę kobietę. W pierwszej chwili pomyślała, że przynajmniej tym razem Samantha Ramirez zdecydowała się przyjść od frontu zamiast od tyłu.

– Wiem, powinnam była wcześniej zadzwonić, ale bałam się, że pani nie zechce mnie widzieć – wypaliła Ramirez tak szybko, że dało się słyszeć lekki hiszpański akcent.

– Skąd pani wie, że teraz zechcę? – Maggie stała w otwartych drzwiach, podczas gdy Samantha wciąż przestępowała z nogi na nogę.

– Bo mam coś, co chyba panią zainteresuje. – Uniosła klapę torby na ramię, w której była kamera. – Muszę pani pokazać materiał nakręcony podczas pożaru magazynów.

– O co chodzi? – Patrick stanął za plecami siostry.

Na dźwięk jego głosu Ramirez zaczęła się inaczej zachowywać. Z początku Maggie pomyślała, że kobieta wolałaby zastać ją w domu samą. Po chwili uznała jednak, że nie o to chodzi. To nie rozczarowanie pojawiło się nagle na twarzy przybyłej i nie przez to straciła nad sobą panowanie. Była wyraźnie podniecona obecnością Patricka, co do tego stopnia ją zaskoczyło, że nie kontrolowała swoich reakcji.

Maggie obejrzała się na brata. Z mokrych włosów kapała woda. Pewnie wyskoczył spod prysznica i przybiegł jej na

pomoc. Miał na sobie tylko ręcznik, którym obwiązał się w pasie. Powstrzymała się przed wzniesieniem oczu do nieba, ale nie mogła powściągnąć uśmiechu. Nic dziwnego, że Ramirez się zaczerwieniła.

– Wszystko w porządku – powiedziała Maggie do Patricka. – Pani musi mi coś pokazać o ósmej rano w niedzielę.

– Patrick też może to obejrzeć.

Odsunęła się na bok i zaprosiła Ramirez do środka, ze skrywanym rozbawieniem patrząc na jej skrępowanie, kiedy mijała Patricka.

– Tylko coś na siebie wrzucę – zawołał i zniknął w holu.

– Myślałam, że agent Tully oglądał już nagrania z pożaru magazynów?

– Do momentu, kiedy znalazł człowieka z czerwonym plecakiem.

Nie czekając na pozwolenie, Ramirez zaczęła wypakowywać kamerę, adapter, kable, przewody i przejściówkę.

– Agent Tully nie chciał dalej oglądać. Ale ja coś zauważyłam.

Samantha znieruchomiała. Podniosła wzrok na Maggie. Przeniosła spojrzenie na Patricka, który właśnie wrócił w niebieskich dżinsach i T-shircie, i znów zmusiła się do patrzenia na agentkę.

– Prawdę mówiąc, zauważyłam kogoś w tłumie. Pojawił się dopiero po drugim wybuchu.

Wskazała na telewizor.

– Gdybym mogła podłączyć się do pani telewizora, miałybyśmy lepszy i większy obraz.

– Jasne, pomogę. – Patrick minął siostrę i wyciągnął rękę po kabel.

Maggie stała z tyłu i przyglądała się tym dwojgu. Musiała przyznać, że elektroniczne gadżety wprawiają ją w zakłopotanie, ale ci dwoje doskonale wiedzieli, co robią. Teraz zauważyła, że zainteresowanie było wzajemne – muśnięcie dłoni, ukradkowe spojrzenia.

Nagle pomyślała o Benie. Świetnie rozumiała te niekontrolowane reakcje. Jej ciało pragnęło czegoś, czego rozum odmawiał. Wmawiając sobie, że nie może mieć Bena, pragnęła go jeszcze bardziej. Czy kiedykolwiek sobie z tym poradzi? Czy kiedykolwiek zakocha się w mężczyźnie, który będzie na to gotowy emocjonalnie w tym samym czasie co ona?

Patrick włączył telewizor. Ramirez nacisnęła jakieś przyciski w kamerze i ekran wypełniły płomienie.

– To jest zaraz po drugim wybuchu.

Obraz lekko drżał. Wyglądało to, jakby Ramirez z kamerą podnosiła się z ziemi. Maggie rozpoznała Tully’ego na czworakach. I Racine tuż obok niego. Po lewej stronie Tully’ego zobaczyła siebie. Ledwie poznała tę leżącą twarzą do ziemi kobietę, która unosi się i opiera się na łokciach. Za ich plecami widać było doskonale, jak płomienie ogarniają drugi budynek. Ramirez nie mogłaby lepiej się ustawić, gdyby to zaplanowała.

– Proszę patrzeć uważnie. Ten człowiek będzie w górnym lewym rogu ekranu.

Obraz znów się poruszył, kamera pokazała ziemię, potem niebo, jak z samolotu, który odrywa się od ziemi.

– Trochę się zachwiałam – tłumaczyła. – Zaraz będzie widać lepiej.

Kamera zostawiła Maggie i posuwała się za Racine, która już wstała i biegła pomóc grupie ludzi za żółtą policyjną taśmą. Kilka osób wciąż leżało na ziemi.

Kamera zatrzymała się na nich, a potem ruszyła znów naprzód. W tle słychać było cichy głos – Jeffery Cole opowiadał, co się dzieje, klatka po klatce. Ramirez ściszyła głos.

Teraz kamera pokazywała tłum zbierający się na chodniku po drugiej stronie ulicy. Podczas panoramy, gdzieś w połowie, Ramirez zrobiła stop-klatkę i podeszła z lewej strony telewizora.

– Tutaj. – Wskazała na mężczyznę stojącego w środku tłumu, z rękami w kieszeniach i obojętną twarzą. Na ekranie postać była dość duża, więc łatwo dało się ją rozpoznać. Maggie pomyślała, że skądś go zna, ale nie mogła dojść skąd.

Ramirez jednak nie interesowała reakcja Maggie. Popatrzyła na Patricka.

– Kto to jest? – spytała w końcu.

– Wes Harper – odparł. – Mój partner.

Nagle Maggie się zainteresowała. Przeszła przez pokój i podeszła do telewizora, by przyjrzeć się Harperowi

z bliska.

– To pewnie nic nie znaczy – rzekł Patrick. – Mówił, że lubi oglądać pożary.

– Oglądać pożary? – powtórzyła Samantha. – Czy to nie dziwne?

– Opowiedz mi coś o nim – zwróciła się Maggie do brata, nie zdejmując wzroku z ekranu.

– Tak naprawdę nie znam go zbyt dobrze.

– Przecież spędzacie razem dużo czasu. Jest żonaty?

– Nie.

Powiedział to w taki sposób, że Maggie na niego zerknęła. Patrzył na ekran, unikał jej oczu.

– O co chodzi?

– Pytał o ciebie. Brzmiało to jakoś dziwacznie.

– O moją pracę?

– Nie. Czy jesteś mężatką. To playboy. Lubi kobiety.

Widziała, że Patrick mówi o tym ze skrępowaniem.

– Co to właściwie znaczy?

Odpowiedziała jej Ramirez.

– To znaczy, że myśli o tym, żeby pieprzyć się z każdą kobietą, którą spotyka.

– Podrywał panią? – chciał wiedzieć Patrick.

– Potrafię się o siebie troszczyć.

Maggie przyglądała się mężczyźnie. Ramirez zrobiła doskonałą stop-klatkę. Podczas gdy inni gapie szeroko otwierali oczy zaszokowani, jeden ściągnął brwi, inny zakrył usta ręką, jeszcze inny pochylił się i oparł dłonie na

kolanach, Harper stał prosto, z rękami w kieszeniach i spokojnym, niemal zadowolonym wyrazem twarzy.

Był chyba po trzydziestce, średniego wzrostu, dobrze zbudowany, o kwadratowej szczęce i szerokiej klatce piersiowej. Miał na sobie zwykłe spodnie, nie dżinsy, i niebrzydką kurtkę. Maggie podeszła jeszcze bliżej, żeby zobaczyć logo na kieszeni.

– Czy to kurtka Members Only?

– Tak, on ją uwielbia. – Patrick stanął obok siostry. – Już nie wiem, ile razy mi powtarzał, że firma ukradła slogan jakiemuś producentowi prezerwatyw. Zawsze wtedy się śmieje. Uważa, że to super.

– Jaki to slogan?

Zawahał się, znów wyglądał na skrępowanego.

– Kiedy to włożysz, coś się wydarzy.

– Czy Harper skończył szkołę pożarnictwa?

– Zaczął, ale mówił, że było marnie. Rzucił szkołę po roku.

– Wczoraj w nocy opowiadał Jeffery'emu i mnie, co ogień robi z ludzkim ciałem – odezwała się Ramirez, a Maggie widziała, że samo wspomnienie przyprawia kobietę o ciarki. – Zdawało się, że opisywanie tego wszystkiego sprawia mu wielką frajdę. Jakby to widział i...

– I co? – spytała Maggie.

– I lubił patrzeć na płonące ciała.

Maggie wyjęła telefon komórkowy i zwróciła się do Patricka:

– Chcę, żebyś powiedział mi wszystko, co wiesz o Wesie Harperze. – Potem wybrała numer Racine.

– Hej, właśnie miałam do ciebie dzwonić – odezwała się policjantka. – Patrol Stanowy z Wirginii zlokalizował SUV-a Glorii Dobson.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Wirginia

Maggie ze zdziwieniem zobaczyła, że za parkingiem rozciąga się las. Nie widać żadnej łąki ani pastwiska z żółtym zielskiem, które znalazł Ganza. Ale za to mogły tam pojawiać się jelenie.

Maggie odbyła półtoragodzinną podróż razem z Tullym, podczas gdy Racine wydała kolejny nakaz poszukiwania towarzysza podróży Dobson, Zacha Lestera. Zaczęła też sprawdzać Wesa Harpera. Maggie musiała ją powstrzymać przed wezwaniem Harpera na przesłuchanie, mówiąc: „Nie mamy dość dowodów, a nie chcesz chyba, żeby uciekł”.

Zaparkowali w odległym końcu parkingu i wysiedli.

– Patrol Stanowy odholował już samochód do ich laboratorium – powiedział Tully. – Nie wiem, co mamy tu więcej znaleźć.

– To miejsce zbrodni. Stąd ją zabrał.

– Samochód może być jedynym miejscem zbrodni.

Maggie stała na skraju chodnika i bacznie się rozglądała. Ledwie słyszała ruch z drogi międzystanowej. Samochody osobowe i ciężarowe miały tu osobne miejsca postojowe, rozjeżdżały się przy wjeździe na parking. Ceglany budynek z łazienkami schowany był między drzewami. Dobrze utrzymane chodniki wiły się po całym terenie, łącząc część dolną, gdzie stali razem z Tullym, z położoną wyżej, gdzie

parkowały ciężarówki. Maggie słyszała cichy szum silników. Przez gałęzie drzew widziała, że tylko pięć ciężarówek z naczepą zajmowało teren, który wedle jej oceny mógł pomieścić ich co najmniej tuzin. Zauważyła też przykryte ściółką ślady prowadzące do lasu.

– Jeśli zamordował ją współpracownik, ten Zach Lester, czemu zostawił jej samochód? – spytała. – I jak ją przetransportował do stolicy?

– Może miał wspólnika.

– I tutaj się umówili?

– Albo stąd do niego zadzwonił. To możliwe. To by wyjaśniało, dlaczego w samochodzie nie ma żadnych śladów walki, szamotaniny. Patrol Stanowy powie nam, czy przy samochodzie majstrowano. Lester mógł coś zrobić, żeby wyglądało to wiarygodnie, jak utknęli w tym miejscu.

– Więc gdzie ją zabrał, żeby zmasakrować jej twarz? Nie mógł zrobić tego wszystkiego w samochodzie. Ganza znalazł sierść jelenia i jakiś chwast na jej ubraniu. Doktor Ling mówi, że morderca prawdopodobnie posłużył się dużą, ciężką bronią.

– Jeśli miał drugi samochód albo wspólnika, mógł ją zabrać wszędzie. – Tully patrzył na koleżankę, zamiast przyglądać się okolicy. – Twoim zdaniem to się stało tutaj.

– To tylko przeczucie. Spodziewałam się odludzia, ale z otwartą przestrzenią w pobliżu, jakimś polem.

– Z powodu tego zielska Ganzy?

Kiwnęła głową i ruszyła przed siebie. Tully poszedł za nią.

– Mogli być tutaj całkiem sami, zależnie od pory dnia czy nocy, kiedy się tu zatrzymali.

– Bez trudu mógł ją zaciągnąć do lasu – rzekł. – Może ją przekonał, żeby poszła z nim rozprostować nogi.

– Widziałam to, co Racine znalazła na temat Lestera. Muszę przyznać, że facet wygląda na wyjątkowo czystego. Nie powiedziałbyś, że to morderca.

– Ile razy słyszeliśmy coś podobnego? To zawsze ci, których nikt nie podejrzewa – odparł. – Spokojny sąsiad. Pomocny dozorca. Pamiętasz, co ludzie mówili o Tedzie Bundym? Taki miły człowiek. A morderca BTK? Czy nie zasiadał w radzie kościelnej czy czymś takim?

– Czytałam też informacje na temat Glorii Dobson. Zdecydowanie nie wygląda na kobietę, która poszłaby do lasu z kimś, kto budzi jej podejrzenia. Na pewno walczyłaby o życie. Miała trójkę dzieci. Niedawno pokonała raka piersi.

Maggie szła na górę, gdzie parkowały ciężarówki. Było to dość wysoko, by zobaczyć stamtąd teren znajdujący się za umieszczonym niżej parkingiem dla samochodów osobowych. Dokładnie przyglądała się ciężarówkom.

– Ganza mówił mi, że istnieje cała subkultura związana z parkingami przy autostradach. Świat, którego nikt nie widzi, jeśli nie wie, gdzie spojrzeć. Do szoferek wielkich ciężarówek pukają prostytutki, handlarze narkotyków. Gdzie oni się podziewają w przerwach między numerkami i interesami? Przyjeżdżają własnymi samochodami? Dlaczego nikt inny ich nie widzi?

Tully przez chwilę milczał, rozglądał się.

– Może się nie wyróżniają, wtapiają się.

Maggie odwróciła się i spojrzała na ścieżki poniżej, na wchodzących do toalet i wychodzących z nich podróżnych. Wtedy nagle jej wzrok przyciągnęły ptaki.

Wcześniej ich nie dostrzegła. Na tle zachodzącego słońca ptaki krążące nad drzewami tworzyły aureolę, promienie rozświetlały końcówki czarnych skrzydeł na żółto i pomarańczowo. Usłyszała, jak Tully wciągnął powietrze, i wiedziała, że on też je zobaczył. I pomyślał dokładnie to samo co ona.

Bez słowa czy wymiany spojrzeń ruszyli na dół przez parking, na skróty, depcząc zwiędłą trawę, nie korzystali z chodników. W głąb lasu prowadziły ścieżki. Poszli najbliższą z nich. Ścieżka od razu się zwężała, ale Maggie szła dalej, uchylając się przed dużymi gałęziami i nie zwracając uwagi na mniejsze, które drapały jej ręce.

Kilkaset metrów dalej poczuła ten zapach – woń gnijącego mięsa, które leży kilka dni, tak bardzo różniącą się od smrodu świeżego trupa. Cokolwiek przyciągnęło ptaki, było martwe już od jakiegoś czasu.

Podniosła wzrok, żeby ptaki wskazały jej kierunek. Zwolniła, by nie stracić równowagi. Pod kopułą drzew w cieniach zmierzchu traciła orientację przestrzenną. Szukała zatem ptaków, ale to, co zobaczyła, sprawiło, że stanęła jak wryta. Tully wpadł na nią.

– Co to jest?

Wskazała na gałęzie potężnego klonu, który rósł dwadzieścia parę metrów przed nimi.

Tym razem usłyszała, jak Tully z trudem łapie oddech.

– Dobry Boże.

Rozpoznała serpentyny, które dekorowały niższe gałęzie, choć były już wyschnięte. Zastanowiła się, czy rozpoznałaby je tak łatwo, nie widząc wybebeszonego ciała, które leżało pod drzewem.

– Co to za kurestwo?

Natychmiast zorientowała się, że ciało jest pozbawione głowy.

– Myślę, że znaleźliśmy Zacha Lestera – powiedziała.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Poważne okaleczenia ciała zawsze zaskakiwały Tully’ego. Niezależnie od tego, że widział je wiele razy. Cofnął się i starał się normalnie oddychać, choć smród już dostał się do nozdrzy. Wiedział, że to moment szoku, jakby oczy musiały przekonać rozum, że tak, rzeczywiście, zło nie ma granic.

Maggie podeszła bliżej i już się przyglądała, analizowała, lekko ruszyła ubranie. Odganiała muchy, roje much, które tak powoli i niechętnie opuszczały swój skarb, że machnięciem ręki mogła je zabić.

Tully nie widział u niej wahania ani strachu, jakie zauważył tamtej nocy, gdy płonęły magazyny. Raz nawet zażartował, że jest specjalistką od rozczłonkowanych ciał. Fragmenty ludzkiego ciała pojawiały się w sprawach, które prowadziła – a to w pojemnikach na jedzenie na wynos, a to w słoikach czy rybackich lodówkach.

– Mamy wezwać z powrotem Patrol Stanowy?

Maggie przykucnęła jakiś metr od ciała, ostrożnie, by go nie dotknąć, patrzyła uważnie pod nogi. Wydawała się tak skupiona, że Tully sądził, iż go nie słyszała. Spuścił wzrok na sosnowe igły i zgniłe klonowe liście, niektóre całe w błocie. Podszedł bliżej, idąc po śladach koleżanki.

– Przekroczył granice stanu – rzekła w końcu. – Droga międzystanowa jest własnością federalną. Parkingi też?

Tully nie miał pojęcia.

– Formalnie to podlega naszej jurysdykcji – powiedziała.

Zamknął oczy i wypuścił powietrze. Kwestia jurysdykcji zbyt często stanowiła powód sporu między agencjami ochrony porządku publicznego. Nigdy tego nie rozumiał. Otworzył oczy i patrząc na coś, co wcześniej było jelitami Zacha Lestera, pożałował, że nie mogą przekazać tej sprawy komukolwiek innemu.

– Laboratorium kryminalne stanu Wirginia jest pierwszorzędne – rzekł mimo wszystko.

– Jedno z najlepszych – przyznała.

Zobaczył, że Maggie zerka na zegarek. Wyjął z kieszeni kurtki komórkę.

– Ganza powinien zorganizować przyjazd zespołu w ciągu czterdziestu do czterdziestu pięciu minut – stwierdziła.

Ganza. Tully ugryzł się w język i milczał, nie zdziwił się, że zdecydowała się przekazać sprawę laboratorium FBI. Pewnie był to mądry wybór, a nawet właściwy. Ale to znaczyło, że utkną tu do czasu, kiedy ostatni dowód nie zostanie stąd zabrany.

Mimo to Tully zadzwonił bez pytania czy komentarza.

Podczas rozmowy telefonicznej nie spuszczał oczu z Maggie. Zaczęła robić zdjęcia smartfonem. Dobry ruch, biorąc pod uwagę, że kiedy pojawi się Ganza ze swoją drużyną, będzie już prawie ciemno.

Chowając komórkę z powrotem do kieszeni, Tully się zawahał. Chciał zadzwonić do Gwen, bardzo pragnął usłyszeć jej głos. Może właśnie dlatego, że nie spodziewała się jego telefonu, więc mile by ją zaskoczył.

Maggie skończyła fotografować, powoli się odwróciła i rozglądała się, jakby widziała to wszystko po raz pierwszy.

– Myślisz, że Glorię Dobson także tu zabił?

Oddech Tully'ego wrócił do normy, serce biło już spokojnie. Nie słyszał ruchu z drogi międzystanowej. Nie słyszał żadnego ruchu ani trzasku drzwi samochodów, ani głosów na parkingach. Lekki wiatr poruszył gałęziami nad jego głową. Ptaki zaskrzeczały i zakrakały. Jeżeli zabójca dobrze trafił i na parkingu nikogo nie było, lasy pochłonęły krzyki ofiar.

– Ganza powinien to rozstrzygnąć – odparł.

Gdy potoczył wzrokiem dokoła, pomyślał, że to będzie trudna praca. Miejsca zbrodni znajdujące się na zewnątrz zawsze stanowią wyzwanie, a ta ofiara nie żyła od kilku dni, była naruszona przez ptaki i drapieżniki. Kałuże krwi, które wsiąkły w ziemię, trzeba będzie wykopać. Ciało zostało zasypane liśćmi i rozmaitymi śmieciami. Wiatr mógł zdmuchnąć włosy i strzępy materiału.

Tully pamiętał twarz Glorii Dobson – a raczej to, co zostało z jej twarzy. Jeśli fragmenty tkanki zbryzgały tu pień drzewa czy przykleiły się do źdźbeł trawy, Keith Ganza i jego technicy to znajdą.

– Nie sądzę, żeby tu ją zabił – odezwała się Maggie. – Musiałby za daleko ciągnąć ją z powrotem. To było gdzieś, gdzie mógł podjechać blisko samochodem.

– Może nie dotarła tak daleko w głąb lasu.

Tully próbował sobie wyobrazić pościg mordercy za ofiarą i przyłapał się na tym, że szuka wzrokiem złamanych gałęzi,

śladów hamowania w błocie, znaków świadczących o tym, że ktoś kogoś ciągnął. Czy tu także padało?

Zerknął na Maggie i zobaczył, że myśli o tym samym. Uważnie przyglądała się ścieżce, którą przyszli.

– Czemu zabił dwie osoby naraz? I jak to zrobił? Czy to zaplanował, czy to był impuls, który w koszmarny sposób wymknął się spod kontroli?

– Tak czy owak, mamy do czynienia z chorym pojebańcem.

Podniosła wzrok na rozwieszone jelita. Podziobane i porozrywane przez ptaki. Tully pomyślał, że nadal mimo wszystko za bardzo przypominają ludzkie flaki. Jelito grube zachowało ciemnoczerwony kolor, a cienkie – szarofioletowy.

– Przeciętne jelito cienkie ma sześć metrów długości – powiedziała Maggie, a Tully wiedział, że nie plecie bez sensu. Potem dodała dokładnie to, o czym myślał: – On już to robił.

Tully podszedł trzy kroki i spojrzał z bliska. Zgadzał się z nią. Jelita wisiały przeplecione na niskich gałęziach klonu tak, jak wiesza się łańcuchy na choince. To wymaga czasu, wysiłku i doświadczenia. To nie było chaotyczne dzieło szaleńca, który patroszy, wyrywa, rwie i rzuca.

Zaczęła dzwonić komórka Maggie. Spojrzała na wyświetlacz i odezwała się do telefonu:

– Nie uwierzysz, co znaleźliśmy.

Jednak osoba po drugiej stronie linii przerwała jej i Maggie zamilkła, słuchała, rzucając wzrokiem dokoła, aż zatrzymała spojrzenie na Tullym.

Po kilku sekundach szepnęła:
– Będę najszybciej jak się da.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Cornell przekonał ich, by zatrzymali go w więzieniu na kolejną noc. Upierał się, że ma cenne informacje dla agenta Tully'ego. Problem polegał na tym, że agent wyjechał z miasta i nie może z nim rozmawiać aż do poniedziałku.

Co za szkoda. Co za cholerne szczęście.

Cienka jak opłatek prycza okazała się oczywiście wygodniejsza niż koc na chodniku – do diabła, nie potrzebował nawet koca, w celi było o wiele cieplej. Starał się jak mógł nie okazać, że więzienna niewygoda to dla niego wakacje. Chociaż może nie do końca. Tęsknił choćby za szklaneczką whisky. Ból głowy to nie przelewki, ale dawano mu ciepłe jedzenie i pozwolono spędzić dwie godziny w sali telewizyjnej.

Tak długo już nie oglądał telewizji, że nie rozpoznał żadnego z celebrytów czy ekspertów. Co prawda nigdy specjalnie się tym nie interesował. Reality show – co za nuda!

Tego wieczoru pilota trzymał wycieńczony ćpun i Cornell wiedział, że lepiej mu się nie narażać. Ten gość o szklanych oczach, chudy jak szczapa, wyglądał, jakby zszedł z reklamy filmu o zombi. Z jakiegoś powodu wydawał się zafascynowany programem informacyjnym. Nie skakał po kanałach, nie sprawdzał wyników meczów ani prognozy pogody.

Jako następny program zapowiedziano dokument na temat pożarów. To przyciągnęło uwagę Cornella. Siedział spokojnie. Co innego miał do roboty? Zaćpany zombi ściszył głos prawie do szeptu, więc Cornell przez większość czasu czytał napisy na dole ekranu.

Przysunął się z krzesłem bliżej odbiornika, kiedy zaczął się wywiad. Na pasku pojawiły się nazwiska dwóch mężczyzn: dziennikarza Jeffery'ego Cole'a i Wesa Harpera z prywatnej straży pożarnej z Agencji Ochrony Braxtona. Cornell czytał z takim napięciem, że dopiero po chwili spojrzał na mężczyzn, a wówczas ledwie uwierzył własnym oczom. Bez żadnych wątpliwości rozpoznał gościa z alejki. Tego, który wylał benzynę.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Maggie odrzuciła ofertę Tully’ego, który chciał ją podwieźć do szpitala. Ktoś musiał zaczekać i zabezpieczyć miejsce zbrodni do chwili przyjazdu Ganzy i jego ludzi. Poza tym to nie pierwsza próba samobójcza matki. Prawdę mówiąc, Maggie straciła już rachubę i nie pamiętała, ile razy Kathleen O’Dell usiłowała się zabić.

Za pierwszym razem sięgnęła po tabletki nasenne. Potem tabletki i alkohol. Pięć lat temu, gdy Maggie pracowała akurat w Nebrasce, Kathleen postanowiła dla odmiany użyć żyletki. Jej terapeuta nazwał wówczas cięcia śladami wahania. W końcu, gdyby traktowała to poważnie, ciełaby się pionowo, otworzyłaby żyłę, zamiast nacinać ją w poprzek.

Od ostatniej próby samobójczej matki minęły trzy lata. Wówczas była tam również Julia Racine. W toalecie w parku w Cleveland tuż przed wiecem wspierającym pewną organizację religijną.

Potem Maggie pytała policjantkę, co takiego powiedziała, że matka się powstrzymała. Racine odparła: „Powiedziałam jej, żeby dała mi święty spokój, bo miałam już kupę kłopotów z jej córką”. Oczywiście Kathleen się roześmiała. To do niej przemawiało. Przez minione dwadzieścia lat czuła się, jakby i ona miała kupę kłopotów z córką, ponieważ wciąż ją zawodziła.

Maggie zdała sobie sprawę, że od śmierci ojca matka zmieniała swoje uzależnienia, jak zmieniają się trendy w modzie – od Johnniego Walkera, przez valium, seks, religię i zdrową żywność, na Johnniem Walkerze kończąc. Kiedy Maggie zastała ją w swoim domu, gdy usiłowała pozbyć się Patricka, od razu wiedziała, że Kathleen znów pije, i wcale nie musiała czuć jej oddechu.

Pielęgniarka na oddziale ratunkowym szpitala skierowała Maggie na intensywną terapię. Tam za radą siostry oddziałowej postanowiła zaczekać na lekarza. W poczekalni na końcu korytarza znalazła Racine.

Na jej bluzie było tyle krwi, że Maggie pomyślała, iż policjantka została zraniona. Nawet gdy sobie uświadomiła, że to krew jej matki, Maggie spytała:

– Nic ci nie jest?

Racine po raz pierwszy brakowało słów. Kiwnęła tylko głową i przeczesała palcami włosy, które sterczały bardziej niż zwykle.

Potem wzruszyła ramionami i oznajmiła:

– Nienawidzę szpitali.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Samantha wiedziała, że postąpiła słusznie, mówiąc agentce O’Dell i Patrickowi o Wesie Harperze. Po ataku wściekłości Jeffery’ego na podjeździe minionego wieczoru coś wciąż nie dawało jej spokoju. Zwłaszcza kiedy wysłuchała jego wiadomości głosowych. Prosił ją o spotkanie w miejscu pożaru sklepów poprzedniej nocy na długo, zanim Sam usłyszała syreny wozów strażackich, siedząc w restauracji. Skąd wiedział o pożarze z takim wyprzedzeniem?

Kiedy matka i Iggy poszli spać, postanowiła przejrzeć materiał z pożaru magazynów, chciała się upewnić, że tym człowiekiem w tłumie jest Wes Harper. Właśnie wtedy zaczęło jej się to układać. Harper był podpalaczem i w jakiś sposób dawał cynk Jeffery’emu. Może Jeffery nawet nie wiedział, że to Harper. Cokolwiek ich łączyło, cieszyła się, że pokazała ten materiał agentce O’Dell.

Nie była pewna, czemu nie powiedziała o Harperze Jeffery’emu. Nawet gdy do niej zadzwonił podniecony, mówiąc, że „wrócili do gry” – jak się wyraził. Udało mu się załatwić wywiad na wyłączność z kimś, kto twierdził, że zna nieujawnione dotąd szczegóły pożarów.

Ten „ktoś” chciał spotkać się z Jefferym w jakimś oddalonym miejscu, „bezpiecznym domu”, jak nazwał to dziennikarz. Zgodził się też wystąpić przed kamerą, z zastrzeżeniem, że będą z nim tylko Cole i Ramirez. Nikt

więcej. Jeffery powiedział też, że dokładny adres dostaną dopiero wtedy, kiedy pojawią się tam, gdzie, jak nalegał tajemniczy rozmówca, mają zostawić samochody.

Była przekonana, że tym kimś jest Wes Harper. Jadąc samochodem i widząc znajomą okolicę, nie dziwiła się wyborowi miejsca spotkania.

Chociaż przyjechała przed czasem, dziennikarz już tam czekał. Zatrzymała się za jego SUV-em. Jeffery siedział na tylnym siedzeniu, drzwi zostawił otwarte. Wyglądało, jakby zmieniał buty. Potem opuścił rękawy koszuli i zapiął kołnierzyk.

Kiedy wysiadła z samochodu, wyciągnął rękę, dając znak, że ją zauważył. Samantha wyjęła torbę ze sprzętem i czekała obok auta. Jeffery, wciąż bez krawata, rozpiął suwak torby na ubranie. Czemu nie przebrał się wcześniej?

SUV stał pod latarnią, przez otwarte tylne drzwi Sam widziała bałagan w aucie. Wnętrze było wyłożone czarnymi workami na śmieci. Najwidoczniej podczas weekendu Jeffery pracował w ogrodzie, zbierał rzeczy do recyklingu i mył SUV-a. Miał w aucie kilka stert gazet, aluminiowe kanistry, środek do czyszczenia basenów, który zauważyła już innego dnia, stare szmaty i czerwoną dwudziestolitrową puszkę benzyny.

Zabawne, nigdy nie myślała, że Jeffery zajmuje się takimi domowymi pracami, ale to miało sens. Był tak wybredny, że nigdy nie znalazłby nikogo, z kogo byłby do końca zadowolony.

– Mam adres – powiedział, podnosząc kartkę papieru. – To tylko około dwóch przecznic stąd.

Dzień był słoneczny, ale wieczorem zrobiło się chłodno. Mogliby pójść spacerem, gdyby Jeffery już nie wydawał się zadyszany. Kiedy zbliżali się do miejsca spotkania, zrozumiała, dlaczego Wes Harper je wybrał. Patrick mówił, że Harper pytał o jego siostrę. Teraz Samantha sobie uświadomiła, że to było coś więcej niż zwykła ciekawość. Czy Harper jest tym człowiekiem w czapce z daszkiem, który obserwował dom agentki O’Dell tamtej nocy w deszczu?

Budynki w tej okolicy stały na półhektarowych albo około hektarowych parcelach z potężnymi sosnami, które gwarantowały dość prywatności, żeby Sam nie mogła dojrzeć domu O’Dell, choć wiedziała, że stoi w sąsiedztwie.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Maggie siedziała na sofie obok Julii Racine. Pochyliła się do przodu, łokcie oparła na kolanach, siedziała sztywno, zdenerwowana, z pulsującym bólem w skroniach.

– Szpitale przypominają ci o twojej matce – powiedziała, a policjantka znów skinęła głową, patrząc na telewizor w rogu naprzeciwko, włączony bez dźwięku.

Maggie próbowała sobie przypomnieć, na jaki rodzaj nowotworu zmarła pani Racine, kiedy Julia miała dziewięć czy dziesięć lat. Pamiętała, że kobieta zmarła w szpitalu.

– Nie rozumiem, czemu do mnie zadzwoniła – powiedziała policjantka niemal szeptem, zapominając o swoich przemądrzałych dowcipach. To była Racine niekontrolująca się w chwili nieuwagi, jej mechanizm obronny nawalił przez zmęczenie, a może nawet szok, choć Maggie domyślała się, że Julia nigdy by się do tego nie przyznała.

– Bo wiedziała, że ty zadzwonisz do mnie – odparła Maggie.

Nie wiedziała, czy pojmuje sens działania matki, więc jak miała wyjaśnić to komuś innemu?

– Było tyle krwi. – Znów ten spokojny cichy głos. – Wezwałam cholerną karetkę. Uciskałam jej nadgarstki własnymi rękami. Potem zawiązałam ręczniki jak opaski uciskowe.

Racine patrzyła na swoje dłonie, jakby wciąż widziała na nich krew, którą już zmyła. Maggie rozumiała ten szok – w końcu Julia znała jej matkę. Miała krew Kathleen, wciąż ciepłą, na skórze i na ubraniu. Obie, Maggie i Racine, widziały miejsca niezliczonych bestialskich mordów, a jednak nic człowieka nie przygotowuje na widok kogoś bliskiego we krwi – kolegi, przyjaciela, członka rodziny. Nic nie przygotowuje na ten moment, na to poczucie bezradności.

– Pamiętam, gdy pierwszy raz ją znalazłam – powiedziała Maggie. Łokcie nadal opierała na kolanach, ale teraz wsparła brodę na rękach, obolała głowa wydawała się bardzo ciężka. – Połknęła garść tabletek i popiła je wódką. Nie wiedziałam, co się z nią dzieje. Leżała nieprzytomna na łóżku. Jeden bok twarzy miała zarzygany. Nie pamiętam, skąd wiedziałam, żeby zadzwonić pod dziewięćset jedenaście.

Ta noc niemal bez wysiłku wracała do niej jak żywa, jakby ten koszmar wydarzył się w minionym tygodniu. Maggie nie chciała wracać tam w tej chwili. Nie chciała też opowiadać Racine wszystkich szczegółów. Na przykład tego, że matka nie pierwszy raz targnęła się na własne życie. Że nie była sama. Jej facet, jeden z wielu, omal nie przewrócił Maggie, w pośpiechu opuszczając ich mieszkanie. Nie zadzwonił po pogotowie ani nie przejął się tym, że Maggie miała tylko czternaście lat. Niektóre rzeczy lepiej pozostawić w ukryciu, w ciemnych kątach, gdzie jest ich miejsce.

Wszyscy terapeuci matki – a trudno ich zliczyć – zawsze powtarzali, że to był krzyk o pomoc czy uwagę. Że Kathleen tak naprawdę nie chciała się zabić. Maggie się z nimi nie zgadzała. Matka nie chciała zwrócić na siebie uwagi. Chciała się ukarać.

Zrozumienie tego zabrało Maggie wiele lat, bo przez długi czas wyglądało na to, że to ją matka chciała ukarać. Nieważne, jaki był powód czy pretekst prób samobójczych Kathleen O'Dell. Jedno Maggie wiedziała na pewno. Za którymś razem przez czysty przypadek matce się uda.

Wzięła głęboki oddech i usiadła prosto. Rozpaczliwie pragnęła zmienić temat.

– Jak się ma twój tata? – spytała. Racine uratowała matkę Maggie przed samozniszczeniem, a Maggie kiedyś uratowała Luca Racine'a przed seryjnym zabójcą. Często myślała o tym miłym łagodnym człowieku, ale wahała się, czy o niego pytać, wiedząc, że choruje na Alzheimera i trudno oczekiwać dobrych wieści.

– Zaczyna zapominać, jak się nazywam. – Racine skrzyżowała ręce na piersi i jeszcze bardziej zapadła się na sofie.

– To przez chorobę. Nie możesz brać tego do siebie – powiedziała Maggie, żałując, że zmieniła temat kosztem koleżanki.

– Nigdy nie zapomina, jak się nazywa pieprzony pies.

Tym razem Maggie milczała. Objęła Racine i przytuliła. Policjantka się rozluźniła, jakby w końcu pozbyła się

napięcia tego dnia, zsunęła się lekko i oparła głowę na ramieniu Maggie.

Siedziały tak bez słowa. W tle słychać było stłumione pikanie monitorów na oddziale intensywnej terapii.

– Może powinnaś zadzwonić do Bena? – spytała Racine, znów prawie szeptem.

– Nie wiem, co zrobić z Benem – odparła Maggie, trochę zdziwiona, że tak się odsłoniła. O życiu prywatnym rozmawiała tylko z dwiema osobami – z Benem i Gwen Patterson. Julii Racine nawet nie brała pod uwagę. W tym momencie była jednak zbyt wyczerpana, żeby się tym przejmować. – Ben chce mieć dzieci.

– Bo jego ekszona założyła nową rodzinę. – Zabrzmiało to jak stwierdzenie, a nie pytanie. Racine poznała byłą Bena. Maggie wzruszyła ramionami, chociaż Racine tego nie widziała. – A ty nie chcesz mieć dzieci?

– Nigdy nie wyobrażałam sobie siebie w roli matki.

– Ani ja – przyznała Racine bez wahania. – Rachel mówi, że to dlatego, że nie miałam szansy być dzieckiem.

– A ty co myślisz?

– Myślę, że nie znoszę dzieci.

Maggie się uśmiechnęła, ale natychmiast zdusiła śmiech, bo Julia mówiła z powagą.

– Czy Rachel przypadkiem nie ma córki?

– Taa, CariAnne. Potwornie upierdliwa mała. Bez przerwy o coś pyta. Ciągle się czepia, że używam za dużo pieprzonych słów na k i p. Zeszłej jesieni zarzygała mi

ulubione buty. Mokasyny Cole Haan. Kochałam te buty. Nie mogłam pozbyć się smrodu ze skóry. Musiałam je wyrzucić.

– I co?

– Kupiłam sobie nowe.

– Nie, głuptasie. Pytam, czemu zmieniłaś zdanie?

Tym razem Racine wzruszyła ramionami.

– Ona jest częścią Rachel. Jak mogę kochać Rachel i nie kochać jej dziecka?

W drzwiach pojawił się jakiś mężczyzna w spodniach khaki i sportowej kurtce.

– Panie są córkami Kathleen O’Dell?

Jego głos brzmiał mocno i autorytarnie, ale patrzył łagodnym wzrokiem. Jego dłonie były wielkości rękawic łapacza. Maggie przyłapała się na tym, że się na nie gapi, myśląc, że łatwo mógłby zacisnąć je wokół nadgarstków matki i zatrzymać krwawienie.

– Jestem Maggie – powiedziała w końcu, podnosząc się. – A to jest Julia. – Nie wyjaśniła, że nie są obie córkami Kathleen. Zapobiegając jednemu samobójstwu Kathleen i będąc świadkiem skutków próby kolejnego, Julia miała prawo nazywać się jej córką, choć był to raczej ciężar niż honor.

Maggie wyciągnęła rękę i zobaczyła, że mężczyzna natychmiast dostrzegł blizny na jej nadgarstku.

– Nie, to nie jest dziedziczne – zapewniła.

Nie wyglądał na przekonanego. Maggie nie czuła jednak potrzeby tłumaczenia mu, że kilka miesięcy wcześniej morderca związał jej nadgarstki plastikową zapinką. Że

plastik wbił się w jej skórę, kiedy turlała się po skalnych występach i biegła przez ciemny las w nocy. Wbił się tak głęboko, że kiedy w końcu przecięła zapinkę, musiała wydłubywać go z ciała. Oczywiście, zostały jej po tym blizny, ale nie musi się z nich tłumaczyć.

– Jak ona się ma? – spytała Racine, stając obok Maggie.

– Dałem jej coś na uspokojenie. Powiedziała, że teraz nie chce nikogo widzieć. Będzie trochę otumaniona po lekach, ale za jakąś godzinę myślę, że dobrze by było, gdyby jedna z pań albo obie chwilę z nią posiedziały. Możecie tutaj poczekać albo pojechać do domu i wrócić. W recepcji na zewnątrz oddziału stoi automat z kawą. Bar jest na dole.

Powiedział im jeszcze, jak się z nim kontaktować i czego mają się spodziewać. Maggie przestała go słuchać. Wyłączyła się. Zbyt wiele razy już słyszała tę litanię.

Mężczyzna wyszedł, a Maggie i Racine opadły znów na sofę, kiedy do środka wpadł pies – brązowo-biały corgi.

Maggie podniosła wzrok i zobaczyła doktora Jamesa Kernana z dwoma parującymi kubkami, które niósł w wyciągniętych przed siebie rękach.

– Kawa jest paskudna – odezwał się do nich. – Ale pomaga zabić czas.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Samantha Ramirez postawiła kamerę na trójnogu. Wywiady były mniej nerwowe, kiedy stała obok kamery, niż gdy trzymała ją w ręce i kierowała obiektyw na mówiących. Zastali z Jefferym otwarte drzwi i pusty dom, poza jakimiś śmieciami w kącie, stertą gazet i czymś, co wyglądało jak taca z trutką na szczury.

Tylko jedna lampa podłączona do timera oświetlała wnętrze, stała na środku salonu.

Samantha zapaliła górne światło, lecz Jeffery natychmiast je wyłączył.

– Będziemy potrzebowali więcej światła. Nie wzięłam dodatkowego oświetlenia.

Mimo to dziennikarz upierał się, żeby górne światło pozostało zgaszone.

Dopiła kawę, którą dla niej przyniósł. Nie potrzebowała kofeiny. Poziom adrenaliny miała wystarczająco wysoki. Z jakiegoś powodu trudno było jej się skupić, zdawało jej się, że widzi niewyraźnie. Zabawne, bo nawet nie zauważyła, że Jeffery chodzi tam i z powrotem. Dziwne, że tak się denerwował, aż pot wystąpił mu na czoło i krawat miał przekrzywiony. To ważny wywiad, ale robili już ważniejsze – z kilkoma premierami, z kongresmenem tuż przed jego rezygnacją i z dwoma przywódcami talibów.

– Wiem, że się domyśliłaś.

Ręce Samanthy znieruchomiały. Zdawało jej się, że serce także stanęło.

– Nadira powiedział mi, że wzięłaś kasetę z pożaru magazynów.

Mówił spokojnie, ale wciąż chodził.

Czy Jeffery spuścił wszystkie żaluzje, czy były już spuszczone, kiedy tu weszli? Starała się nie wpadać w panikę. Co z tego, że dziennikarz wie o Wesie Harperze? Może mieli jakąś umowę. Tak bardzo zależało mu na własnym programie i był bliski osiągnięcia celu. Ten ważny wywiad na wyłączność może przesądzić o jego losie.

– Jak zgadłaś? – Wciąż krążył.

– Tak szybko wiedziałeś o pożarach – odparła. Jeffery nie wyglądał na wściekłego, był nawet zbyt spokojny. – Pomyślałam, że ktoś daje ci cynk.

Zatrzymał się naprzeciw niej i przekrzywił głowę, jakby się przesłyszał. Uniósł zaciśnięte w pięści dłonie, na jednej z nich widniała brązowa smuga.

– Daje mi cynk?

– Widziałam Wesa Harpera podczas pożaru w magazynach. W tłumie, po drugim wybuchu.

Patrzył na nią zimnym przenikliwym wzrokiem. Nagle się roześmiał.

– I to właśnie zobaczyłaś na tych taśmach?

– Nie ma sprawy. Nikomu nie powiem, że był z tobą w kontakcie. Ale skąd masz pewność, że on nie powie? Zwłaszcza jeśli jest gotowy mówić.

Zaśmiał się znów i potrząsnął głową.

– Sam, Sam... Gdybyś tylko nie odwróciła się do mnie plecami w sobotę wieczorem.

– Wiem, myślisz, że nie możesz mi ufać, ale ten wywiad...

– Nie ma żadnego wywiadu, moja droga.

– Ale Harper...

– Nie ma Harpera. Wiedziałem o tych pożarach, moja droga, bo to ja podkładałem ogień.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Nawet o tym nie pomyślała.

Jak to możliwe?

– To nie jest zabawne, Jeffery – powiedziała, przełknąwszy chłodną kawę z nadzieją, że kofeina da jej kopa.

– Nikt mi nie dawał cynku. – Krążył po pokoju i sprawdzał okna. – Trafiłem na żyłę złota. Po co czekać na wielkie wydarzenie, żeby zwiększyć wskaźniki oglądalności, kiedy można je stworzyć?

Niemożliwe, żeby mówił poważnie. Pokój się zachwiał. Oparła się o trójnóg. Na sekundę zamknęła oczy, czekała, aż minie zawrót głowy. To jakiś żart, chory dowcip.

– Big Mac bez przerwy domagał się atrakcyjniejszych tematów – ciągnął Jeffery. – Przeprowadziliśmy wywiad z dyktatorem. Nie dość dobre. Mało nie zginęliśmy w samym środku pieprzonych protestów na Bliskim Wschodzie. Nie dość dobre. Dostaliśmy nagrodę za materiał o Afganistanie, ale wszyscy uznali, że to nie dość dobre.

Otworzyła oczy, powieki miała ciężkie i z jakiegoś powodu widziała trzech Jefferych. Kilka razy zamrugała, lecz wciąż widziała nieostro.

– Cholernie dużo nauczyłem się z rozwlekłych listów Otisa. Podsunął mi pomysł. Sądziłem, że tamtego wieczoru z Harperem wszystkiego się domyśliłaś. Spieprzyłem sprawę i wspomniałem o reakcjach chemicznych.

– Ale jak... – Myśli Samanthy uciekały.

– Wiesz, że uczyłem w liceum. Nie wiesz, że uczyłem chemii. To podstawy. Dziecinnie proste. Niewiarygodnie doskonałe – perorował dalej. – Mogłem przewidzieć czas. Mogłem to kontrolować, żebyśmy mieli materiał na wyłączność. Ale wtedy ty, ty wszystko spieprzyłaś.

Poczuła, że się osuwa. Trójnóg przewrócił się na podłogę. Próbowała wyciągnąć ręce, żeby się na nich oprzeć, ale jej nie słuchały.

– Największy pożar ze wszystkich dotychczasowych, a ty postanawiasz zjeść chińszczyznę z mamusią i synkiem. Nie odbierasz moich telefonów! – Jego głos brzmiał teraz twardo, jak odgłos ciosów. – Cała rodzina zginęła, a ja nie miałem materiału życia. Przez ciebie zostałem odsunięty na bok. Przez ciebie, moja droga.

Kawa. Musiał dodać coś do kawy. Podniosła na niego wzrok, leżąc na podłodze. Była jak sparaliżowana, obraz przed jej oczami wirował, rozum krzyczał, bo nie mogła krzyknąć inaczej.

Wciąż krążył, a ona leżała przytulona policzkiem do zimnego kafla podłogi. Teraz widziała tylko jego buty, błyszczące, skórzane. Cały Jeffery, taki czysty i porządny. Nadal coś mówił, ale ona słyszała przekręcone słowa. Coś o szansie, jaką jej ofiarował. Że nie pozwoli, żeby wszystko zrujnowała.

Powiedział, że musi złapać samolot. To nie miało sensu. Jego głos docierał do niej spowolniony, stłumiony, niewyraźny. Chwytała pojedyncze słowa i frazy. Jakiś temat na Bliskim Wschodzie. Będzie za nią tęsknił. Zrobi

wszystko, żeby wszyscy widzieli, jak bardzo ją opłakuje, kiedy dowie się o jej nieszczęśliwym końcu.

– Widziałem, jak na niego patrzysz – ciągnął, a ona nie miała pojęcia, o kogo chodzi.

Co to za zapach?

– Pomyślą, że byliście kochankami. Że oboje byliście celem. Zwłaszcza że jego dom też płonie. Biedny Patrick Murphy. Nawet słynna siostra z FBI go nie uratuje.

Jak przez mgłę widziała Jeffery'ego, który na tacę z fioletowymi kryształkami nalewa jakiś płyn. Smuga dymu była taka ładna.

Nie słyszała nawet, jak wychodził. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, kiedy ujrzała białe światło. Z tacy posypały się iskry i w ciągu paru sekund sterta gazet pod tacą zajęła się ogniem.

Cokolwiek jej podał – lekarstwo czy narkotyk – pozbawiło ją lęku. Niestety także przykleiło do podłogi – czuła się taka ciężka, że nie mogła się podnieść. Mgła przesłoniła jej oczy, w głowie panował miły zamęt, jakby śniła. Patrzyła na czerwone i żółte płomienie, które tańczyły na ścianach. Ich ciepło działało uspokajająco, jak ciepły wiatr w zimny dzień.

Zamknęła powieki. Słuchała trzasku i szumu, które wypełniały uszy. Pomyślała o Iggym w tych śmiesznych czerwonych szelkach.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Maggie prawie nie zauważyła, że boli ją głowa. Była kompletnie pozbawiona energii. Czuła się tak wyczerpana, że jechała do domu z opuszczonymi szybami, liczyła na to, że zimne nocne powietrze nie pozwoli jej zasnąć za kierownicą.

Widok doktora Kernana pozwolił spojrzeć na wszystko z właściwej perspektywy. Stary zrzęda okazał dużo uprzejmości i delikatności. Słyszał, że na oddział przyjęto Kathleen O'Dell i przyszedł sprawdzić, czy to matka Maggie.

– W zasadzie tutaj mieszkam, więc jeśli pani czegoś potrzebuje, proszę dać mi znać.

Nie musiał tłumaczyć, dlaczego rzadko bywa w domu. Dwa miesiące temu jego żona, z którą przeżył czterdzieści siedem lat, została wprowadzona w stan śpiączki farmakologicznej. Maggie nie zadawała żadnych pytań, a on nie miał ochoty podawać więcej szczegółów.

To była jedna z tych chwil, kiedy nic nie ma sensu. Maggie czuła się za bardzo zmęczona, żeby coś na to poradzić. Racine wyszła godzinę wcześniej, kiedy dostała jakieś informacje na temat Wesa Harpera. Tully dzwonił, żeby spytać o samopoczucie i powiedzieć, że Ganza i jego ludzie zostawili funkcjonariuszy Patrolu Stanowego na miejscu zbrodni do rana. Było zbyt wiele materiału do przerobienia, żeby robić to w środku nocy.

Maggie marzyła teraz tylko o powrocie do domu. Patrick zaoferował się, że na nią poczeka, ale ona kazała mu iść do łóżka, obiecując, że da mu znać, jak tylko będzie czegoś potrzebowała. W końcu zadzwoniła do Bena. Przez pół godziny rozmawiali o tym, jak bardzo James Kernan przypomina jej Spencera Tracy'ego, a potem powtarzali kwestie z filmów z Tracym i Hepburn. Dla innych nie miałoby to sensu, byłoby banalne, ale Maggie tego właśnie potrzebowała.

Spiesząc jak szalona do szpitala, zaparkowała na szpitalnym parkingu, nie patrząc, jaki to poziom ani w jakim miejscu zostawiła jeepa. Teraz chodziła po zimnym, betonowym budynku, który przypominał grobowiec. Zdawało jej się, że zaparkowała na poziomie drugim, ale kiedy przeszła słabo oświetlony poziom, stwierdziła, że się pomyliła. Poszła na poziom trzeci. Tam stało więcej samochodów, ale swojego nie znalazła. O tej porze nocy panowała kompletna cisza. Nie było słychać trzasku drzwi ani windy.

Może zaparkowała w przeciwległym krańcu. Odwróciła się, żeby zawrócić, i dojrzała cień znikający między autami. Natychmiast sięgnęła ręką do kieszeni kurtki i cofnęła się pod ścianę.

Nasłuchiwała, serce jej waliło. Gdzieś z góry słyszała cichy dźwięk budzącego się do życia silnika. Trzymając się ściany, ruszyła powoli w stronę, gdzie widziała cień. Mijała zderzaki samochodów i mało nie wdepnęła w porzuconą

papierową torbę z jakiegoś baru. Nie spuszczała wzroku ze swojego celu, nawet kiedy szybko się rozglądała.

Nikogo tam nie było. Tylko drzwi, wyjście na klatkę schodową. Czyżby ktoś uciekł, a ona nie słyszała nawet otwierających się ani zamykających się drzwi? Może cień to wytwór jej wyobraźni?

Ruszyła na kolejny poziom, trzymając palce na kolbie rewolweru. Kiedy znalazła swojego jeepa i zamknęła się w nim, była przekonana, że to wszystko to wyłącznie skutek wyczerpania. Próbowała się uspokoić. Włączyła muzykę i wyjechała na drogę międzystanową.

Kiedy usłyszała pierwszą syrenę, zjechała na pobocze i czekała, aż wóz ją minie. Im bliżej domu się znajdowała, tym więcej syren słyszała, w końcu poczuła ucisk w żołądku. Zacisnęła dłonie na kierownicy. Zdawało jej się, że czuje zapach dymu. Miała opuszczone szyby w oknach. Za jeepem pojawiło się więcej mrugających świateł. W ostatniej chwili gwałtownie zjechała na bok, gdy pędem mijały ją wóz strażacki i karetka.

Maggie pojechała za nimi. Z każdym zakrętem czuła coraz silniejszy skurcz serca. Z każdym zakrętem zbliżała się do domu, do swojej ulicy. Policyjne barykady zagrodziły jej drogę. Szybko wyskoczyła z samochodu. Nie zorientowała się nawet, że zostawiła auto na luzie, dopóki nie zaczęło toczyć się naprzód. W pośpiechu wskoczyła znów do środka, chwyciła za dźwignię zmiany biegów i zaparkowała.

Za barykadami błyskały niebieskie, czerwone i białe światła, a dalej na ulicy dojrzała płomienie wystrzelające

w niebo aż nad wierzchołki sosen. Wyjęła komórkę i próbowała dodzwonić się do Patricka, słuchała sygnału w telefonie, siedząc jak sparaliżowana za kierownicą. Serce jej waliło. Włączyła się poczta głosowa Patricka. Maggie spróbowała jeszcze raz.

Starała się oddychać spokojnie. Może to nie jej dom. Znów rozłączyła się ze skrzynką odbiorczą brata i znów wybrała jego numer.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Maggie pokazała odznakę i minęła pierwszą blokadę. Przy drugiej się zatrzymała, ze strachu ledwie trzymała się na nogach, spanikowana nie mogła oddychać. Tyle dymu i tyle płomieni, które pochłaniały coraz więcej. Widziała, że sąsiedni budynek jest cały w ogniu. Jej dom wypełniały złowrogie czarne chmury dymu.

– Proszę pani, nie może pani iść dalej – powiedział strażak, który stanął przed Maggie.

Uniosła dłoń z odznaką.

– To niebezpieczne, agentko... – pochylił się i przeczytał – agentko O'Dell.

– To mój dom – wyjaśniła szeptem. Nie była pewna, czy w ogóle słyszała własny głos.

– O'Dell.

Nie podniosła na niego wzroku, ale wiedziała, że mężczyzna zaczął coś kojarzyć. Każdy strażak w okolicy znał pewnie szczegóły ostatnich podpaleń.

– Ten program w CNN – przypomniał sobie. – Dobry Boże, więc panią też wziął na cel!

– Proszę mi powiedzieć, czy ktoś się uratował? – spytała skrzeczącym głosem przez zaciśnięte gardło. Umierała ze strachu o Patricka, a dopiero teraz zdała sobie sprawę, że w domu byli też Harvey i Jake. W ciągu jednej nocy straciła wszystkie dobra materialne i wszystkich towarzyszy życia. Poszli z dymem.

– Nikt stamtąd nie wychodził. Wciąż usiłujemy dostać się do obu budynków.

– Ten obok jest na sprzedaż. Chyba stoi pusty.

– Też tak myśleliśmy, ale pies tak szczekał, jakby ktoś był w środku. Próbujemy dostać się od tyłu.

– Chwileczkę? Pies?

Kiwnął głową.

– Duży czarny owczarek.

– Jake – powiedziała i się uśmiechnęła. – Jake się uratował.

Zobaczyła dwóch strażaków, którzy wynosili kogoś tylnym wyjściem z pustego domu. W tym samym momencie przez dach domu Maggie wystrzeliły płomienie.

– Muszę iść – rzucił strażak i pobiegł trawnikiem.

Maggie usiadła, a w zasadzie opadła na krawężnik. Nawet tam czuła gorąco płomieni za plecami. Ukryła twarz w dłoniach i próbowała wyciszyć tupot ciężkich butów, krzyki ratowników, syreny, wciąż więcej syren.

Przejmowała się cieniem w szpitalnym garażu, a tymczasem drań dopadł ją tutaj. Podłożył ogień w jej własnym domu.

Poczuła dłoń na ramieniu, a równocześnie mokry nos pod brodą.

– Nie udało mi się uratować frontu. Ale większą część tyłu zlałem jak diabli.

Podniosła wzrok na Patricka. Twarz miał umazaną, biały T-shirt podarty i szary, oczy załzawione i czerwone. Były z nim oba psy, Harvey i Jake.

Maggie stanęła na chwiejnych nogach.

– To tylko dom – powiedziała i uściskała brata. – Najważniejsze, co mam, jest tutaj.

TRZY DNI PÓŹNIEJ

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Quantico

Maggie i Tully siedzieli po przeciwnych stronach stołu konferencyjnego. U szczytu zajął miejsce zastępca dyrektora Kunze.

– Nie ma żadnych dowodów, które potwierdzałyby twierdzenie Samanthy Ramirez, że Jeffery Cole jest seryjnym podpalaczem – oznajmił.

Maggie nie mogła uwierzyć, że nikt nie traktuje słów tej kobiety poważnie. Kamerzystka leżała na intensywnej terapii, ledwie mówiła, a jednak wciąż się upierała, że Jeffery Cole spowodował pożar, w którym o mały włos nie straciła życia. Że sam przyznał się do podłożenia ognia w pozostałych miejscach.

– Cole uczył chemii w liceum. Wiemy już, że substancje chemiczne, jakimi się posłużono, to nadmanganian potasu i gliceryna. Pani Ramirez mówi, że w SUV-ie Cole'a widziała środek do czyszczenia basenów. Widziała też, jak polał czymś fioletowe kryształki. Nadmanganian potasu występuje w formie krystalicznej i jest składnikiem środka do czyszczenia basenów.

– To jest wasz dowód?

– Okej, więc co z Cornellem Stamoranem? Rozpoznał Jeffery'ego Cole'a jako człowieka, który rozlewał benzynę w alejce tuż przed pożarem magazynów.

– Sam pan powiedział, agencie, że Stamoran to alkoholik i schizofrenik.

– Dlaczego nie możemy przesłuchać Cole’a? – upierał się Tully.

– Cole dostał zlecenie na Bliskim Wschodzie.

To było bez sensu. Maggie oparła się i westchnęła sfrustrowana. Ten człowiek omal nie zabił jej brata, a Kunze wiąże im ręce. Kilka dni temu kazał Maggie i Tully’emu schwytać podpalacza. Powiedział, że jeśli tego nie zrobią, wpadnie w poważne tarapaty. Maggie pomyślała, że teraz pewnie okazało się to politycznie niepoprawne, by taki ktoś jak Jeffery Cole był podpalaczem. Chciała oświadczyć szefowi, że nie może sobie wybrać podpalacza wedle własnej woli.

– Przecież podpalenia się skończyły. To też nic nie znaczy?

– Agentko O’Dell – rzekł zastępca dyrektora, unikając kontaktu wzrokowego. Pokręcił głową. – Wszyscy wiemy, że to nic nie znaczy.

– Mamy wystarczające powody, żeby go przesłuchać. Nawet na obcym terytorium – oznajmił Tully.

Szef znowu potrząsnął głową.

– Mowy nie ma. Departament Sprawiedliwości do tego nie dopuści.

A więc już to sprawdził, pomyślała Maggie. Ktoś znów zamknął mu usta. A Kunze z kolei zamyka usta im. Zastępca dyrektora wstał i wziął kilka teczek z szafek za plecami. Rzucił wysoką na trzydzieści centymetrów stertę na stół między Tully’ego i Maggie.

– Na tym macie się skupić.

– Co to jest?

– Zarówno wy dwoje, jak i Keith Ganza mówiliście, że Gloria Dobson i Zach Lester nie zostali zamordowani przez tę samą osobę, która podpaliła magazyny. Zgadza się?

– Nie sposób połączyć tych dwóch rzeczy, to prawda – przyznał Tully. – Żadne z nas nie wierzy, że tych zbrodni dokonał Jeffery Cole.

I żadne z nich nie wierzyło, że to on śledził Maggie w kanałach czy kręcił się obok jej domu. Cornell Stamoran powiedział, że jego też śledził jakiś mężczyzna. Sądził, że to ten sam, który podrzucił ciało do jego kartonu, ten, który zabił Dobson i Lestera.

Kunze zignorował słowa Tully'ego o Jefferym i ciągnął:

– Ganza miał do czynienia z trzema podobnymi morderstwami na innych parkingach. W różnych częściach kraju. Jedno z ciał właśnie znaleziono jakieś półtora kilometra od międzystanowej, w przepuście przy drodze. Sądzimy, że ten człowiek zabił więcej osób, dużo więcej. Słyszeliście o projekcie związanym z morderstwami w okolicy autostrad?

Maggie i Tully skinęli głowami. Maggie pamiętała, że Ganza o tym wspominał, kiedy mówił o prostytutkach i kierowcach ciężarówek.

– Ponad pięćset niewyjaśnionych morderstw w pobliżu parkingów przy drogach międzystanowych w ciągu ostatnich dziesięciu lat. To tylko te, o których wiemy i które

wprowadziliśmy do bazy danych. Myślę, że trafiliście przypadkiem na jednego z tych morderców.

Przerwał im telefon. Zastępca dyrektora spojrzał na wyświetlacz i natychmiast odebrał.

– Dyrektor Raymond Kunze, słucham.

W milczeniu, z twarzą bez wyrazu słuchał rozmówcy. Maggie pomyślała, że byłby świetnym pokerzystą. Kilka razy kiwnął głową i rzekł:

– Rozumiem. – Rozłączył się. – W CNN właśnie powiedzieli, że nadadzą wywiad z Jefferym Cole’em.

– Na jaki temat? – spytała.

– Przyzna się do ośmiu podpaleń. Daje im wywiad na wyłączność.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Ściągnął niżej na czoło daszek czapki i szedł pod wiatr. Cieszył się, że tego dnia włożył rękawiczki. Tutaj nad strumieniem było jakoś zimniej. Pogoda znów się zmieniała. Na szczęście niedługo ruszy w drogę. Zasiedział się w tym miejscu, jakoś nie mógł jej zostawić.

Nad ogrodzeniem widział fragmenty dwóch pięknych zniszczonych przez ogień domów. Szkoda, że tak to się skończyło. Znalazł ścieżkę między dwiema posesjami. Tego dnia nikogo tam nie było. Domy wyglądały na opuszczone, ale wiedział, że ona przyjeżdża tam każdego dnia, żeby odzyskać to, czego płomienie albo woda nie zniszczyły.

Szczerze mówiąc, bardzo nie chciał jej zostawić. Wierzył, że są bratnimi duszami. Ta sroka to znak. Ale nie zły omen. Myślał, że teraz, kiedy jej życie wywróciło się do góry nogami, będzie potrzebowała czegoś – albo kogoś – co pomoże nie myśleć o własnych problemach.

Dotarł do drzwi od frontu, a raczej tego, co z nich pozostało. Przeszedł ponad żółtą policyjną taśmą i rozejrzał się. Zobaczył odpowiednie miejsce – to, co jeszcze niedawno było kuchennym blatem. Położył tam podarty fragment mapy z zakreślonym czerwonym kółkiem, a na niej kamień ze strumienia za domem. Mapa pomoże znaleźć worek na śmieci, który dla niej zostawił.

Wiedział, że kiedy O’Dell znajdzie ten worek, znów ją zobaczy.

Podziękowania

Płomienie śmierci to moja dwunasta powieść, a dziesiąta z serii, której bohaterką jest Maggie O'Dell. Prawdziwe osiągnięcie, biorąc pod uwagę, że nigdy nie zamierzałam tworzyć cyklu. Czasami jednak bycie pisarzem oznacza nie tylko pisanie, trzeba też umieć słuchać. A zatem można by powiedzieć, że wciąż opowiadam o Maggie, bo to wy, moi czytelnicy, domagacie się tego. Przyznaję, że z początku trzeba mnie było do tego namawiać. Nigdy nie czytałam żadnej serii powieściowej, nie miałam zatem pojęcia, jak się do tego zabrać. Myśl, że z jedną bohaterką, która jest mi dość obca, spędzę sporo czasu, nie budziła we mnie entuzjazmu. Stąd moja ogromna wdzięczność dla tych, którzy wytrwali z Maggie – i ze mną – od początku. Dzięki wam moje życie bardzo się zmieniło. Mam nadzieję, że razem z moją bohaterką nadal będziemy spłacać dług wdzięczności.

Jednym z moich ulubionych etapów pracy nad powieścią jest okres przygotowawczy, zbieranie materiałów. Cieszę się, że udaje mi się łączyć fakty i fikcję. Co nie znaczy, że nie pozwalam sobie na twórczą swobodę. Waszyngton rzeczywiście ma skomplikowaną sieć kanalizacyjną. Muszę jednak przyznać, że pozwoliłam moim bohaterom na niespotykanie swobodny dostęp do kanałów. Z kolei przedstawiając sytuację bezdomnych, opierałam się

głównie na faktach. W stolicy istnieje specjalna komunikacja dla bezdomnych, a ich „sypialnie” dzieli około dziewięciu kilometrów od darmowych jadłodajni w mieście.

Tak jak przy okazji każdej mojej powieści, wielu osobom należą się podziękowania. Niezmiennie zdumiewa mnie wspaniałomyślność ekspertów, którzy dzielą się wiedzą i doświadczeniem. Chcę podkreślić, że jeśli w książce są jakiekolwiek nieścisłości, znalazły się tutaj wyłącznie z mojej winy.

I tak, po pierwsze pragnę podziękować strażakom, z którymi miałam zaszczyt się spotkać. Należą do nich: Lee Dixon (emerytowany szef Straży Pożarnej w Pensacoli), Terry Hummel (Straż Pożarna, Dystrykt Kolumbii, emeryt), nieżyjący już Carl Kava (Straż Pożarna Omaha), David Kava (Straż Pożarna Omaha, emeryt), Rich Kava (Straż Pożarna Omaha, emeryt), Larry Wilbanks (Baza Lotnictwa Marynarki Wojennej Whiting Field, Milton na Florydzie).

Wyrazy wdzięczności dla moich wydawców: Phyllis Grann, Alison Callahan, Stephanie Bowen, Judy Jacoby i Kristen Gastler z Doubleday; Andrei Robinson z Anchor; Davida Shelleya, Catherine Burke i Jade Chandler z Little Brown UK.

Podziękowania dla nowych członków mojej drużyny: Scotta Millera z Trident Media Group i jego koleżanki, Claire Roberts.

Dziękuję doktor Liz Szelidze za informacje dotyczące działania ognia na uzębienie człowieka.

Annie Belatti i Sandy Powers za podzielenie się ze mną wiedzą na temat ofiar pożarów i tego, co ogień robi z ludzkim ciałem.

Cornellowi Stamoranowi za hojną dotację dla Save the Libraries.

Koleżankom po fachu: Patricii Bremmer, Erice Spindler i J.T. Ellison.

Raz jeszcze dziękuję Rayowi Kunzemu za użyczenie imienia i nazwiska szefowi Maggie.

Dziękuję przyjaciołom i rodzinie, którzy cierpliwie znosili moją nieobecność i moje kaprysy. To ich zasługa, że pozostaję przy zdrowych zmysłach i zachowuję poczucie rzeczywistości. Wyrazy wdzięczności dla Marlene Haney i Sandy Rockwood, Patricii Kavy, Sharon Car, Patricii Sierry, Leigh Ann Retelsdorf, Mariceli Barajas, Martina Bremmera, Cari Conine, Lisy Munk, Sharon Kator, Luann Causay i Andrei McDaniel.

Specjalne podziękowania dla doktor Nicole Snee i fantastycznego zespołu Szpitala Weterynaryjnego przy Uniwersytecie Stanowym w Kansas za wyjątkową opiekę nad Miss Molly i podarowanie mi dodatkowych pięciu miesięcy jej bezcennej obecności.

Na koniec nie mniej ważne podziękowania dla Deb Carlin. Bez ciebie nic nie byłoby możliwe.

Tytuł oryginału:
Fireproof

Pierwsze wydanie:
Doubleday, a division of Random House, Inc. New York, 2012

Opracowanie graficzne okładki:
Kuba Magierowski

Redaktor serii:
Jacek Fronczak

Opracowanie redakcyjne:
Joanna Morawska

Korekta:
Małgorzata Narewska

© 2012 by S.M. Kava
© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o., Warszawa 2013

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiejkolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B. V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-276-0162-9

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.